KIJÓW – WARSZAWA

W sprawie ludobójstwa na Wołyniu – na Ukrainie bez zmian

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 24/531 12–18 CZERWCA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Sekrety „Nigdy Więcej" – fundacji, która uderzyła w sędziego Marciniaka

WOJCIECH CEJROWSKI O USA, GDZIE WRESZCIE MAJĄ DOŚĆ DYKTATU TRANSÓW

Szwedzkie strefy no-go, po których Szwedzi boją się poruszać

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 52 000 egzemplarzy

Jak PiS ożywił bestię

SEMKA I ZIEMKIEWICZ ANALIZUJĄ STRATEGIĘ PARTII KACZYŃSKIEGO

eprasa.pl 831690520a

wPolsceNajlepiej.pl

Szykuj się na wymarzone **wakacje!**

eprasa.pl 831690520a

W RZECZY SAMEJ

Jak dobrze, że jesteśmy w Unii

PAWEŁ LISICKI

Trudno znaleźć bardziej wymowny znak niepowodzenia polskiej polityki wobec Unii Europejskiej niż to, co dzieje się z Mariuszem Kamińskim (szefem MSWiA) i Maciejem Wąsikiem (jego zastępcą). Decyzja Sądu Najwyższego, a ściślej mówiąc – jego trzech sędziów, pokazuje doskonale, do czego prowadzi europejska polityka rządu. Mimo że zostali oni ułaskawieni przez prezydenta i mimo że Trybunał Konstytucyjny ogłosił, iż decyzja prezydenta dotyczy procesu na każdym jego etapie, Sąd Najwyższy, mając za sobą poparcie Brukseli, stwierdził, że sprawa powinna się zacząć od nowa.

„Tylko sądy sprawują wymiar sprawiedliwości i żaden organ państwowy nie może im tego zakazać, zaś uchwała stwierdzająca brak skutków ułaskawienia przed prawomocnym wyrokiem nadal obowiązuje" – uznał SN, uchylając orzeczenie umarzające postępowanie w sprawie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Stołeczny sąd okręgowy musi się nią zająć ponownie.

Według Sądu Najwyższego… orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 2 czerwca br. nie wywołało żadnych skutków prawnych. Przypomnę: Trybunał Konstytucyjny uznał, że „prawo łaski jest wyłączną i niepodlegającą kontroli kompetencją prezydenta", a Sąd Najwyższy „nie ma kompetencji do sprawowania kontroli" nad tym działaniem. To wyrok w sprawie sporu kompetencyjnego między prezydentem a Sądem Najwyższym dotyczącym prawa łaski.

Trzy dni później trzech sędziów Sądu Najwyższego pokazało, że orzeczenie TK ma w głębokim poważaniu, i postanowiło, że – co się tyczy panów Kamińskiego i Wąsika – wszystko ma się zacząć od początku. Szukam właściwego słowa dla zachowania sędziów SN. Może najbardziej parlamentarnym określeniem będzie stwierdzenie, że uznają oni tak prezydenckie ułaskawienie, jak postanowienie TK za nieważne. Na Kamińskiego i Wójcika od razu rzuciła się opozycja, która wezwała, żeby ich z rządu wyrzucić. Nic to obecnie nie znaczy. Ale jeśli PiS władzy nie utrzyma?

Przypomnę, że historia ma już niemal 10 lat. W marcu 2015 r. Sąd Rejonowy Warszawa-Śródmieście skazał w I instancji byłego szefa CBA Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika na trzy lata więzienia za przekroczenie uprawnień i nielegalne działania operacyjne CBA podczas „afery gruntowej" w 2007 r. Wtedy do gry wkroczył prezydent Andrzej Duda, który w listopadzie 2015 r. ułaskawił nieprawomocnie skazanych. Jak widać po wyroku Sądu Najwyższego z 5 czerwca 2023 r. – nie miało to znaczenia.

Tak, wiem, że to hucpa i naigrawanie się z prawa przez politycznie pobudzonych sędziów. Wiem, że to rokosz i bunt. Ale obstaję przy tym, że władza PiS jest sama sobie winna. Dlatego kiedy słucham niektórych komentarzy liderów partii rządzącej, ogarnia mnie pusty śmiech. Ledwo informacja o skandalicznej decyzji SN dotarła do opinii publicznej, głos zabrał premier Mateusz Morawiecki. „Decyzja Sądu Najwyższego to kuriozalna próba zainstalowania w Polsce sędziokracji. Usta mają pełne frazesów o obronie konstytucji, a w istocie robią z wymiaru sprawiedliwości prywatny folwark. Prawo łaski to wyłączna prerogatywa prezydenta. Kto tego nie rozumie, nie rozumie demokracji" – stwierdził złotousty premier. Doprawdy? Biedak teraz dopiero przejrzał na oczy?

Przykro mi to powiedzieć, ale tego rodzaju pokrzykiwania drażnią bardziej niż mściwa satysfakcja opozycji. Ci drudzy wiedzą, czego chcą, i krok po kroku dążą do celu. Czego jednak chce rząd PiS pod przywództwem premiera, nie potrafię pojąć. Ile by bowiem retorycznych wygibasów nie zaprezentował szef rządu, banalna prawda jest taka, że to on właśnie, wskutek błędnej i kunktatorskiej polityki wobec Unii, ośmielił polskich sędziów do działania. Człowiek, który niedawno twierdził, że „nie chce umierać za wymiar sprawiedliwości. Naprawdę. Nie opłaca się", teraz ogłasza, że walczy z sędziokracją. Człowiek, który podpisał się pod mechanizmem „pieniądze za praworządność", teraz się oburza. To się nazywa kabaret. Albo to by się nazywało kabaretem, gdyby nie działo się na poważnie. Już widzę oczami wyobraźni tę scenę, kiedy to panowie Kamiński z Wąsikiem lądują w więzieniu, a premier Morawiecki, lejąc łzy, ogłasza, że jest z nimi do końca, żeby się trzymali i że ich nie opuści w myślach (a może nawet w modlitwach). Kto wie, może nawet uda się na spotkanie z nimi, pomstując na Unię i sędziów?

Szczerze mówiąc, niewiele różni się od niego pan prezydent. W dniu, kiedy sędziowie SN go wyszydzili, czując za sobą poparcie Trybunału Sprawiedliwości UE, głowa państwa wygłosiła pean na rzecz Unii Europejskiej. W dniu, kiedy sędziowie, czując poparcie Unii, zabrali mu jedną z jego podstawowych prerogatyw, prezydent… postanowił opiewać Unię. Nie wiem już, co gorsze. Udawane prężenie muskułów przez premiera czy radosne przyjmowanie poniżeń przez prezydenta. ©℗

eprasa.pl 831690520a

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA
MARSZ SAMCA ALFA
Krajobraz polityczny po marszu 4 czerwca

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PO-PIS: WSPÓLNY MARSZ

KRAJ

24 ROZMOWA Z ANNĄ MARIĄ SIARKOWSKĄ
NIE BĘDĘ BRONIĆ ZŁEJ SPRAWY
Trzeba jak najszybciej zażegnać ten kryzys

28 TOMASZ ROWIŃSKI
KOMISJA DO SPRAW ROZRYWKI PRZEDWYBORCZEJ?

30 ZUZANNA DĄBROWSKA
TROPICIELE UROJONEGO FASZYZMU

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZAWODY O PRAWDĘ

KULTURA

34 KRZYSZTOF MASŁOŃ
PIĘKNA CHOROBA
Siedem szkiców z książki „Klątwa sprzeczności"

40 PIOTR GOCIEK
TANIEC Z GWIAZDAMI

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 WOJCIECH GOLONKA
WSPARCIE NA SKRZYDŁACH
Myśliwce dla Ukrainy – rok temu nie, dzisiaj tak

51 ŁUKASZ WARZECHA
SZWECJA ZMIENIA KURS

HISTORIA

54 ROZMOWA Z PROF. TOMASZEM PANFILEM
FIRMY HITLERA
Dla Niemców człowiek nie ma godności – ma wartość

58 JACEK PRZYBYLSKI
NAJGROŹNIEJSZY KRET W FBI

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
W SPRAWIE WOŁYNIA NA UKRAINIE BEZ ZMIAN
Symetria win i niepogrzebane ofiary

65 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
FRANCJA WYBIERA CYWILIZACJĘ ŚMIERCI

EKONOMIA

70 ROZMOWA Z SERGIEJEM DRUCZINEM
UKRAIŃSKA GOSPODARKA WOJENNA
Rosja ma jeszcze pieniądze na agresję

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
CICHY LUKSUS – NOWA OBSESJA MODY
Jak się ubierają bogaci

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 831690520a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Brukselo)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Paweł Supernak/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK DO CENTRUM DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziś dwa listy, ale jeden temat. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Chwała aktorom!

Wiele osób poczuło się zbulwersowanych ostatnim występem p. Andrzeja Seweryna, zachęcającym do przyp...dolenia władzy i jej sympatykom. Wcześniej z podobnych występów zasłynęli m.in. Daniel Olbrychski, Janusz Gajos, Olgierd Łukaszewicz, a także liczne panie: m.in. Krystyna Janda, Maja Ostaszewska, Barbara Kurdej-Szatan. Lista jest długa. Ludzie! Spokojnie! To przecież aktorzy. A od czego są aktorzy? ONI GRAJĄ! Im większe nazwisko, tym lepsza gra. A czym jest gra? Oszustwem, udawaniem. Widać, że używają całego swojego kunsztu aktorskiego, skoro tysiące, dziesiątki i setki tysięcy ludzi biorą na poważnie ich słowa. Należy takich aktorów podziwiać i być im wdzięcznym, że tak skutecznie używają swojego talentu do zohydzenia drugiej strony sporu politycznego, tych koalicji nazywających siebie obywatelską, polską, demokratyczną. Panie Andrzeju, dobra robota! Częściej! Ostrzej! Chwała aktorom! **Adam Zubek, Warszawa**

Artysta czy sobowtór?

[...] To żeśmy się doczekali elit! [...] Rzecz nie dotyczy poglądów politycznych. Nie chodzi tu nawet o różnicę systemów moralnych. Jakiż bowiem system moralny można mieć na myśli, gdy wprost, z naciskiem podkreślając, iż nie chodzi o żadne metafory, a o najbardziej dosłowną realność – podżega się w wulgarnych słowach do mordobicia, w dodatku namawia się do tego ludzi młodych. [...]

Zauważmy dwie rzeczy: p. Seweryn to przedstawiciel środowiska, które tak wiele ma do powiedzenia na temat tzw. mowy nienawiści. Tymczasem, gdybym miał szukać współczesnych analogii dla „stylistyki" tej oracji, to enuncjacje Jewgienija Prigożyna – „kucharza rzeźnika" Putina – pasują jak ulał. Druga rzecz, już całkiem „na zimno": bez wątpienia podpada to pod formalny zarzut podżegania do użycia przemocy. Aż tak bardzo ufacie w przychylność sądów? Zwykle macie rację, ale możecie się kiedyś przeliczyć.

Mam też z p. Sewerynem i jego „przemową" pewien osobisty kłopot – i zapewne nie ja jeden. Otóż mam bardzo krytyczny stosunek do rządów tzw. prawicy. Kiedyś się z nimi identyfikowałem, ale z roku na rok coraz bardziej mnie rozczarowują, brzydzą i bulwersują. Jest wiele ku temu powodów – i na tych łamach często są one przedstawiane. Jednak nigdy, przenigdy nie przystąpię do „partii chamów", nawet – i szczególnie takich – którzy epatują swoją kulturą, którzy traktują sztukę jak pałkę, tarczę i parawan, którzy wykorzystują swoją pozycję dla knajackich praktyk.

Przy okazji pozwolę sobie na cierpką uwagę: p. Seweryn zrobił „niedźwiedzią przysługę" środowisku aktorskiemu, dodając niejako paliwa dość powszechnemu (a jakże niesprawiedliwemu) poglądowi, że aktorzy są mądrzy, ale jedynie we własnym mniemaniu.

W znanym filmie p. Seweryn wcielił się w postać Prymasa Tysiąclecia. W tymże filmie wcielił się także w postać jego ubeckiego sobowtóra, sprytnego chama i zarazem wulgarnego prostaka, czyniącego małpie przygotowania do zastąpienia Prymasa po jego planowanym morderstwie. Obie role były niezłe. Oczywiście aktor jest „od tego", żeby grać i świętych, i nikczemników, i mędrców, i prostaków. Nic jednak na to nie poradzę, że po ostatnim swoim „występie" p. Seweryn kojarzy mi się jednoznacznie z sobowtórem kardynała.

Z wyrazami szacunku dla Redakcji
Maciej Rybicki

Wyjaśnienie

Do mojego tekstu pt. „Mistrz i propaganda" w „Do Rzeczy" 23/2023 wkradł się przypadkowy i oczywisty błąd. Pierwsze wzmianki o Moskwie pochodzą rzecz jasna nie z połowy XX w., ale z połowy XII w. (dokładniej z 1147 r.). **Maciej Pieczyński**

eprasa.pl 831690520a

NA PIERWSZY OGIEŃ

Teraz okup, relokacja odłożona

PIOTR SEMKA

Unijni ministrowie spraw wewnętrznych przyjęli reformę migracyjną opartą na „obowiązkowej solidarności". Polega ona na założeniu, że udział w relokacji danego kraju może być zastąpiony ekwiwalentem pieniężnym. Nasz kraj, reprezentowany przez wiceszefa MSW Bartosza Grodeckiego, był przeciw zarówno przymusowej relokacji, jak i wykupywaniu się z parytetu uchodźców. Próbował też forsować, by sprawę tę rozstrzygnąć w formule szczytu szefów pastw UE, gdzie wymagana jest jednomyślność.

Nic to nie dało. Polska została przegłosowana. Jeszcze późnym popołudniem 8 czerwca przeciw reformie oprócz Polski opowiadały się Węgry, Litwa, Austria, Dania oraz Włochy, a wstrzymały się Słowacja, Bułgaria, Malta. Jak chwali się prasa niemiecka – ostatecznie premier Meloni przekonać miał kanclerz Olaf Scholz i uzyskał kluczową dla sprawy zgodę Włochów.

Ten sukces Berlina potwierdził, że włoska premier pod naciskiem Paryża i Berlina w końcu zazwyczaj „pęka". Włochy są uzależnione w wielu ważnych sprawach ekonomicznych od decyzji czołowych unijnych graczy na tyle, że mimo „germanosceptycznych" deklaracji wypowiadanych na politycznym rynku wewnętrznym premier Meloni, nie pierwszy już raz, decyduje się na kompromisy. Jak można podejrzewać, Scholz użył metody „książeczki czekowej" – gdy Niemcom na czymś zależy, bywają hojni. Jako gest wobec Rzymu zgodzono się na szybką ścieżkę zawracania imigrantów z Tunezji. Ugoda mówi też, że osoby czekające na decyzje azylowe mogą być utrzymywane w warunkach obozu przejściowego.

Scholz potrzebował porozumienia unijnego w sprawie nasilonej imigracji, aby uspokoić rosnącą irytację Niemców, do których ciągną uchodźcy z całej Europy. Niemiecki kanclerz pokazuje teraz ugodę jako przykład, że coś zaczyna się z tym robić. Rząd czerwono-żółtej koalicji chce, by zaczął działać system umożliwiający odsyłanie nielegalnego imigranta do kraju, gdzie pierwszy raz przekroczył granicę Unii.

Jak pisze Deutsche Welle: „Eksperci Komisji Europejskiej w ostatnich dniach wyliczali, że przyjęta w dzisiejszym kompromisie jednorazowa wpłata 20 tys. euro jako ekwiwalent za nieprzyjęcie jednego migranta w rzeczywistości nie pokryje kosztów jego przyjęcia w innym kraju Unii. Pomimo to polska dyplomacja protestowała, że chodzi o »karę«. Ile wyniosłaby ta opłata dla Polski? [...] 40 mln euro. I to w przypadku, gdyby w ogólnym rozrachunku nie uwzględniono kosztów ponoszonych np. na ochronę granicy z Białorusią".

Wydźwięk opinii niemieckiego portalu rządowego jest jasny. I tak cieszcie się, że policzono was „po taniości". Kolejny raz Unia ustawia się wobec Polski w roli poborcy podatkowego. Jeśli coś teraz niepokoi Scholza, to tylko to, czy umowę unijną zaakceptuje Parlament Europejski. Europarlamentarna lewica i Zieloni już oburzają się na „niehumanitarne" wobec uchodźców zapisy umowy i zapowiadają protesty. ©℗

FOT. ADRIEL PERDOMO/EPA/PAP

DECYZJA RADY UE: ALBO MIGRANCI, ALBO WYSOKIE KARY

Mimo sprzeciwu Polski oraz Węgier ministrowie spraw wewnętrznych krajów Unii Europejskiej zgodzili się w czwartek na tzw. pakt migracyjny, który zawiera m.in. system „obowiązkowej solidarności". Przewiduje on, że kraje członkowskie będą mogły wprawdzie odmówić przyjęcia migrantów z południa, ale będą musiały zapłacić po ok. 20 tys. euro kary za każdego migranta, którego nie przyjęły. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 831690520a

NARODOWY BANK POLSKI

NBP

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Inflacja w Polsce jest typowa dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej sąsiadujących ze strefą konfliktu wojennego.

Inflacja w krajach Europy Środkowo-Wschodniej

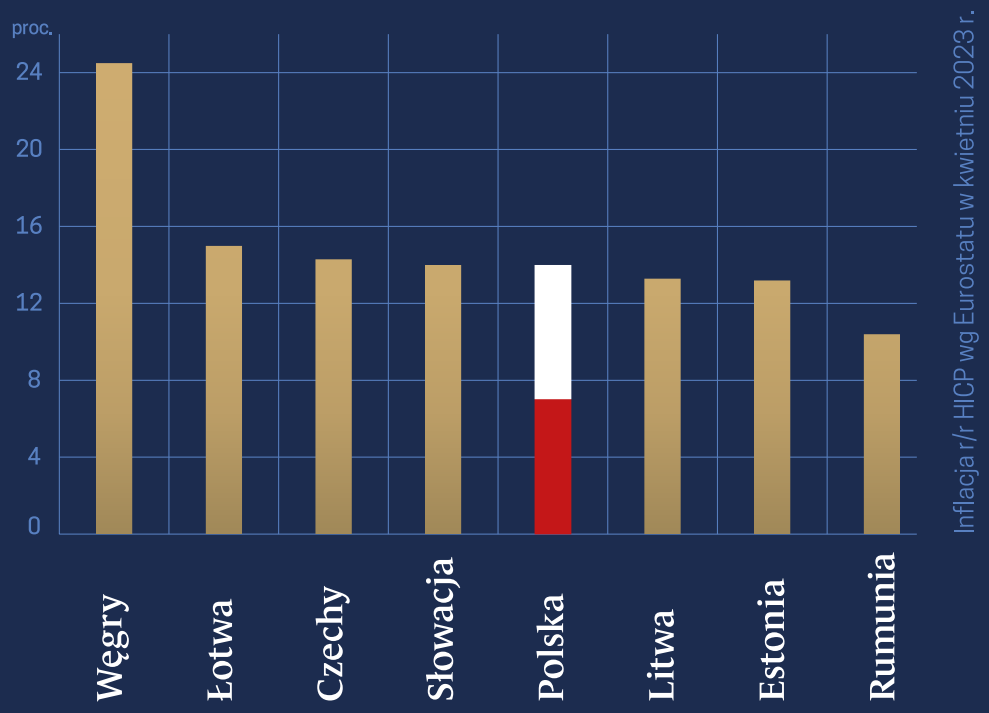

Węgry	Łotwa	Czechy	Słowacja	Polska	Litwa	Estonia	Rumunia
6.2021	7.2022	6.2021	7.2022	10.2021	7.2022	7.2022	10.2021

Daty rozpoczęcia cyklu podwyżek stóp procentowych.

eprasa.pl 831690520a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Polska czeka

Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, gdy dowiedziałem się, że wyrokiem Jarosława Łuczaja, sędziego Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, Polska ma pod pretekstem jakichś „decyzji środowiskowych" zamknąć elektrownię w Turowie, zasilającą prawie jedną dziesiątą kraju, brzmiała: ten Putin to jednak frajer. Zamiast tracić tyle pieniędzy, sprzętu i ludzi, mógł zainwestować w ukraińskich sędziów i znaleźć takiego, który by mu orzekł, że ogłoszenie niepodległości przez Ukraińską SSR w latach 90. było niepraworządne i „sąd stoi na stanowisku, że nie rodzi ono skutków prawnych".

Druga myśl była taka, że może jednak tego próbował – przypomniało mi się, że Ukraińcy aresztowali niedawno prezesa swojego Sądu Najwyższego podczas przyjmowania 3 mln dol. łapówki; nie podano, od kogo i za co. Tak czy owak, nękane ostrzałami państwo ukraińskie znów okazało się sprawniejsze od polskiego.

Trzecia myśl nęka mnie do dziś: Właściwie to dlaczego tylko Putin? Przecież taka decyzja, jak ta podjęta jednoosobowo przez pana Łuczaja, warta jest miliardy złotych i rodzi poważne skutki polityczne. Jaka jest ochrona antykorupcyjna i wywiadowcza takich decyzji? Poza starą mantrą Michnika „wyroków sądów się nie komentuje" oraz wiarą w nieskazitelną reputację pana sędziego, dowiedzioną choćby jego podpisem pod wiernopoddańczym adresem stowarzyszenia Iustitia z ubiegłego roku, którego sygnatariusze zapewnili urzędników unijnych, że uznają „prawo unijne" i orzeczenia TSUE za nadrzędne wobec lokalnego prawa polskiego i tubylczej konstytucji. O ile się orientuję, sędzia nie przechodzi w Polsce żadnej weryfikacji innej niż rekomendacja jego kolegów/koleżanek z kasty. A praktycznie każdy taki kolo w todze może – jak pokazały ostatnie dni – uznać się za władnego, by unieważniać konstytucję, prezydenta i Trybunały, zamykać kluczowe sektory gospodarki, i kto wie, co jeszcze – zmienić wynik wyborów? Nakazać nam wypłatę reperacji Niemcom za Holokaust?

Polska czeka na swojego Erdoğana. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Skoro mowa o zasadach

Jest rzeczywista solidarność i są jej pozory. Przy czym pozory często wyglądają efektowniej od autentycznej pomocy. Realna pomoc ma z reguły granice, fatamorgana solidarności może przybierać nieograniczone rozmiary. Napoleon III być może z dobrymi intencjami zachęcał powstańców styczniowych do wytrwania i rozszerzania partyzanckiej wojny, ale z pewnością rząd Chamberlaina nie zachęcał szczerze Polski w 1939 r. do wojny z Niemcami, zapewniając o gwarancjach dla naszej niepodległości.

Warto o tym przypomnieć, gdy pochopnie krytykuje się wypowiedzi gen. Milleya, szefa amerykańskiego sztabu generalnego, przeciw rozszerzaniu wojny na terytorium Rosji. Oczywiście Ukraina ma prawo przerzucać wojnę na terytorium wroga. Zawsze uważałem, że lepiej bronić porządku międzynarodowego daleko od własnych granic niż niepodległości – na swoim terytorium.

Tyle że z prawa Ukrainy do wyboru sposobu prowadzenia i celów wojny nie wynika, że można innym państwom dyktować, w jakim zakresie i ze względu na jakie cele mają Ukrainę wspierać. Dostarczanie broni, tym bardziej podejmowanie narodowego ryzyka, jest aktem solidarności, a nie obowiązkiem, którego można żądać. Stany Zjednoczone mają prawo udzielać warunkowej pomocy, tym bardziej jeśli jej warunki proponują otwarcie i gdy ma ona kluczowe znaczenie dla obrony Ukrainy. Amerykanie mogą wszystkich uczyć odwagi, a państwo, które podejmuje globalną odpowiedzialność, ma nie tylko prawo, lecz także obowiązek rozważania globalnych konsekwencji swoich działań.

Internacjonalizm oddawania „wolności naszej za waszą" jest tylko inter-nacjonalizmem, nawet jeśli to słowo przedzielimy małym łącznikiem. Internacjonalizm zaś zawsze oznacza podważanie praw państw, szczególnie najważniejszego – prawa do suwerennych decyzji chroniących przyszłość własnego narodu. ©℗

eprasa.pl 831690520a

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O faszystofobii

To włoska choroba, która przechodzi w stan pandemiczny, gdy lewica przegra wybory. Postępowcy doznają wówczas niebywałego wzmożenia i formują oddziały Nieustraszonych Łowców Faszystów. Ta ciężka choroba umysłowa dotyka głównie intelektualną czołówkę progresistów w polityce i mediach, a także harcowników w necie.

2 czerwca, w rocznicę referendum z 1946 r., w którym zniesiono monarchię, Włosi jak zwykle hucznie obchodzili Święto Republiki. W Rzymie w obecności prezydenta i premiera odbyła się parada wojskowa. „Nieustraszeni" zamieścili filmik w sieci, z którego ma wynikać, że żołnierze elitarnej jednostki marynarki i przewodniczący Senatu Ignazio La Russa wymienili faszystowskie pozdrowienia. Widać, jak oficer prowadzący kompanię elitarnej brygady marynarki unosi rękę przed trybuną, rozlega się okrzyk: „Dziesiąta brygada", a przewodniczący Senatu Ignazio La Russa bije brawo i pokazuje palcami „V" – znak zwycięstwa. Z oburzenia zatrzęsły się postępowe elity, w tym pisarze Michela Murgia, Roberto Saviano i wszystkie lewicowe media: „Uwaga! Faszyzm wraca!".

Tyle że salut wykonany przed trybuną honorową nie ma nic wspólnego z faszyzmem. Był regulaminowym oddaniem honorów najważniejszym osobom w państwie i fladze Republiki. Tak było podczas tej samej parady w ubiegłym roku, 10 lat temu i podczas wielu innych, w których brała udział „Dziesiąta brygada". Wówczas jednak nikomu nie przyszło do głowy, że wraca faszyzm. Ba! Podobny salut uniesioną ręką wykonuje wiele włoskich formacji wojskowych, i to poczynając od drugiej połowy XIX w. Uznanie churchillowskiego symbolu „V", który pokazał La Russa na trybunie, za symbol faszystowski chyba żadnych komentarzy nie wymaga. Pojawiły się głosy, że jeśli postępowcy tak działają, to prawica będzie rządzić przez najbliższe trzysta lat.

Gdy papieżem został Joseph Ratzinger, obrani z rozumu i wszelkiej przyzwoitości „Nieustraszeni" wrzucili do sieci tak zmontowane zdjęcie braci Ratzingerów z nabożeństwa, że wyglądało, jakby „hajlowali". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 831690520a

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

PRZEZ PIS NIE MOŻNA MIEĆ MARZEŃ

Celebryci nie lubią PiS. A celebrytki to już w ogóle. Truizm, prawda? Absolutnie nie przeszkadza to jednak, by wciąż na nowo „zachwycać" się ich antyrządowymi mądrościami. A w te – przy okazji marszu Donalda Tuska i spółki – minione dni obrodziły. Przyznam, że gdyby chcieć zebrać je wszystkie, mogłoby nie starczyć tygodnika, tak więc autorka dokonała nie lada poświęcenia, aby wybrać dla państwa te najbardziej smakowite. Zacznijmy więc od Martyny Wojciechowskiej, która niestety nie uczestniczyła w pochodzie ciałem, ale za to duchem jak najbardziej. „Jestem w kolejnej podróży,

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

w trakcie realizacji programu KOBIETA NA KRAŃCU ŚWIATA. Ale to w Polsce dzieją się teraz rzeczy najważniejsze. 4. czerwca w Warszawie, na wczorajszym MARSZU WOLNOŚCI, w rocznicę pierwszych wolnych wyborów było PÓŁ MILIONA LUDZI. Nawet jeśli, jak twierdzą niektórzy, było »tylko« 100 tysięcy osób, to i tak przez miasto przeszedł tłum, który wyraźnie domagał się demokracji, praworządności i wolności" – rozpoczęła wpis. Dalej gwiazda wymienia wszystkie grzechy rządzących. „Dość braku szacunku do ludzi, dość odbierania nam praw i ośmieszania Polski na arenie międzynarodowej" – grzmi Wojciechowska (Ciekawe, czy widziała zdjęcia uchachanych premierów: Polski – Mateusza Morawieckiego – i Kanady – postępowego Justina Trudeau – lepiących wspólnie pierogi w polskiej restauracji w Toronto?). „Jestem patriotką i mój kraj jest dla mnie ważny. A najważniejsze jest to, jaki będzie kiedy dorośnie moja córka Marysia. Nie chcę żeby żyła w strachu, nietolerancji, w szalejącej inflacji, niestabilnych relacjach z innymi państwami, żeby bała się zajść w ciążę i mieć marzenia. Wierzę, że demokracji trzeba bronić jak niepodległości!" – podsumowała. Najlepiej na odległość, wiadomo.

PRZYGODA Z POLICJĄ

Teraz na tapetę weźmy Kingę Rusin. Bez niej żadne wydarzenie „opozycji demokratycznej" odbyć się przecież nie może. Była dziennikarka TVN nie kryje zachwytu. „Warszawski marsz 4 czerwca 2023 przejdzie do historii. Takiego zrywu prodemokratycznej siły nie było jeszcze w wolnej Polsce! Tego nie można było nie zauważyć (choć tvpis bardzo się starała), tego nie wolno zignorować, choćby PiS zaklinał rzeczywistość. Tak jak wszyscy, których dziś spotkałam i z którymi rozmawiałam – wierzę, że zmiana jest możliwa, że »zła zmiana« i złe czyny zostaną rozliczone" – podkreśla Kinga. Dalej moje ulubione, czyli wstawka o „uśmiechniętej Polsce". „My wybieramy uśmiechniętą, tolerancyjną, europejską Polskę z dobrą edukacją, historyczną prawdą, szacunkiem dla lekarzy, naukowców, nauczycieli, sędziów, z rządem przestrzegającym prawa i parlamentem stojącym na straży konstytucji oraz z prezydentem, z którego będziemy dumni! Polska zasługuje na najlepsze" – przekonuje celebrytka. Na koniec Rusin opisała tajemniczą sytuację z policjantami w roli głównej. „Mnóstwo osób prosiło o pamiątkowe zdjęcie, co, szczególnie w tym dniu, było bardzo miłe. Ale największą radość sprawili mi policjanci, którzy lekko zakłopotani spytali, czy możemy się razem sfotografować, ale prosili żeby nie publikować ich wizerunków... (»bo wie Pani jak to się może skończyć...«). Czyż to nie najlepsze podsumowanie obecnej władzy?" – pyta retorycznie. Faktycznie, aż można poczuć na karku dreszcz grozy. Kaczor dyktator czai się wszędzie.

DEMOKRATYCZNY DUET

Żeby nie było – absolutnie nie mam nic do kobiet. Cóż jednak poradzić, że to one są autorkami najbardziej „wzmożonych" wpisów? „Masa spotkanych przyjaciół. Serdeczność i dobra energia. Niech zostanie z nami do jesieni, a potem na zawsze. Dla wolności, praw człowieka, wolnych sądów, dobrej polityki humanitarnej, antydyskryminacyjnej, antyprzemocowej, klimatycznej. Dla równości. Jeszcze Polska nie zginęła" – ekscytuje się aktorka (bądź co bądź aktorka świetna) Maja Ostaszewska. Na marsz opozycji wybrała się z koleżanką, również aktorką, Magdaleną Boczarską, która także nie kryje zachwytu: „To był bardzo wzruszający »spacer«. Było nas pół miliona w samej Warszawie!!!". Ciekawe, czy panie, pisząc o „dobrej energii", „serdeczności" i „wzruszeniach", mają też na myśli skandowanie hasła „je..ć PiS" oraz plakaty, jak ten z symbolizującą wiadomo kogo kaczką kąpielową na szubienicy? Nie wiem, choć się domyślam.

I NIECH BĘDZIE KOLOROWO

Na koniec „truskawka na torcie". Celebrytki na marsze chodzą stadami. Dlatego Ostaszewska i Boczarska wzięły pod rękę Beatę Tadlę. Po marszu dziennikarka opublikowała tylko krótki wpis z fotorelacją, ale warto sięgnąć do wyznania sprzed 4 czerwca. „Dlaczego tam będę? [...] Nie idę dla partii, polityki, to nie te motywacje. Idę, bo jestem Polką, dla której ważna jest rodzina, praca, zdrowie, kultura, edukacja, komunikacja, relacje... Zawsze się wzruszam, kiedy wspominam tamtą energię, wspólnotę, przekonanie, że przyszłość jest nasza – otwarta, kolorowa, wolna, bliska demokratycznemu światu. Jaka byłam dumna podczas wyjazdów na zachód! Słyszałam o Polsce, że jest odważna, że jest przykładem. A dziś muszę się za Polskę tłumaczyć i nie lubię tego" – stwierdza gorzko Tadla. Tulimy. ©℗

eprasa.pl 831690520a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, śmieszy nas trochę ta najnowsza dyskusja na temat gotówki, a zwłaszcza Ziobro, który naopowiadał o tym, jak to fajnie jest mieć 100 zł w banknocie. No to przypomnijmy, iż żeby wyprodukować jeden banknot stuzłotowy, trzeba wyciąć 100 stuletnich dębów i pozyskać z nich ten specjalny papier z Włodzimierzem Jagiełłą. Szokujące, prawda?

W każdym razie nas to of kors bawi dlatego, iż wiadomo przecież, że wszyscy wykształceni, bywali w świecie ludzie, którzy wyściubili nos dalej niż poza obszar jurysdykcji swoich ośrodków pomocy społecznej, preferują płatności bezgotówkowe.

Zwłaszcza teraz, kiedy zapłacić za zakupy w byle spożywczaku (nie żebyśmy tam chodzili, kolega opowiadał) można zapłacić zbliżeniowo telefonem, zegarkiem, a nawet opaską.

No sorry, ale gotówka nam się kojarzy obecnie tylko z wyborcami PiS, którzy pobierają „500+", a potem, stojąc w kolejce po porannego żubra i pięćdziesiątkę orzechowej, ściskają je mocno w spoconej dłoni. Płatności bezgotówkowe nie są więc jedynie nowocześniejsze, ale są też bezpieczniejsze, bardziej higieniczne i ekologiczne.

A ostatnio, jak była awaria terminala w sklepie, to wszyscy ze zrozumieniem odłożyli zakupy i poszli gdzie indziej, a jacyś starsi niewykształceni z gotówką jak gdyby nigdy nic, nie widząc niestosowności swojego zachowania, płacili tymi papierkami i bilonami. Naprawdę niesmaczne i ciągle jesteśmy chyba jeszcze daleko za Europą.

Kiedy my się w końcu wyleczymy z tej ksenofobii? Czytaliśmy właśnie artykuł, iż w Łodzi tylko 6 proc. zagranicznych lekarzy zdało polski egzamin weryfikacyjny.

Innymi słowy, państwo polskie pozwoliło tylko sześciu na 100 zagranicznych medyków na podjęcie pracy w tym kraju. Czy za tym krokiem stoją na pewno tylko względy merytoryczne? Widzimy, iż padały argumenty, że zagraniczni lekarze nie mieli odpowiedniej wiedzy lub nie znali języka polskiego w stopniu pozwalającym na rozwiązanie testu.

Kochani, czy w ochronie zdrowia naprawdę to jest najważniejsze? A gdzie miejsce na takie wartości jak otwartość, tolerancja, poszanowanie odmiennego punktu widzenia?

Może to, co bierzemy w tym kraju za niewystarczającą wiedzę medyczną, w rzeczywistości jest alternatywnymi teoriami medycznymi, nowatorskim punktem widzenia, którego lekarze z tego kraju po prostu jeszcze nie ogarniają?

No i przede wszystkim – więcej zaufania. Przecież test nie musiał być po polsku. Można przecież pokazać, co boli, można porozumiewać się wspólnym językiem człowieczeństwa. Czy naprawdę chcemy kraju, w którym lekarzy z zagranicy dyskryminuje się ze względu na braki w arbitralnie ustalanej i ocenianej wiedzy, zwłaszcza w sytuacji, kiedy lekarzy w ogóle jest coraz mniej? A polskich lekarzy ktoś w ogóle ocenia? No dramat. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Twarde łokcie

Szymuś, czego płaczesz?
A, bo... bo... mi Donek nie dał nic powiedzieć! Daj no, Michał, chusteczkę.

No przecież ci mówiłem, żebyś się dopchał przed Wałęsą.
No chciałem... Ale Wałęsa mnie kopnął w kostkę. No przecież nie będę się z noblistą kopał.

Raczej nie... Ale trzeba było potem spróbować.
Chciałem... Ale najpierw mi Trzaskowski nogę podstawił i się przewróciłem. Marynarkę sobie ubrudziłem, tę szarą, ulubioną.

Trzeba było zdjąć, ciepło było. I dalej się pchać.
Chciałem! Ale mi sam Donek wsadził łokieć, i to tak mocno, tutaj. Obdukcję sobie zrobiłem, ziobro mam złamane... żebro, znaczy się.

Mówiłem ci: w polityce trzeba mieć twarde łokcie. Chcesz apap? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS najwyraźniej dąży do tego, żeby Polska była krajem niepracujących wyborców PiS-u".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 831690520a

dwaj panowie g

Nasza rubryka ma zazwyczaj charakter żartobliwy, ale dziś zaczynamy poważnie. Otóż w Instytucie Pamięci Narodowej przygotowywano pieczołowicie od dłuższego czasu broszurę na 80. rocznicę rzezi wołyńskiej. Ze względu na wojnę na Ukrainie cyzelowano każde zdanie. Tak, aby nie wywołać napięcia na linii Polska – Ukraina. Ostatecznie jednak uznano, że nie da się tego zrobić. W rezultacie projekt trafił do kosza.

Natomiast inny zgrzyt polsko-ukraiński jest zdecydowanie przeceniany. Chodzi o starcie rzecznika MSZ Łukasza Jasiny z ambasadorem Ukrainy Wasylem Zwaryczem. Wedle obiegowych domniemań z tego powodu rzecznik musiał udać się na urlop. Cóż, wiemy z okolic Nowogrodzkiej, że nie o to chodziło.

Już wyjaśniamy. Przyczyną irytacji najważniejszych czynników było oświadczenie MSZ dotyczące opinii i uwag naszych sojuszników na temat przepisów krajowych. A konkretnie zdanie, od którego się zaczynało: „Polska szanuje opinie i uwagi naszych sojuszników dotyczące przepisów krajowych". W szczególności zwrot „przepisów krajowych". Niektórzy zastanawiają się, z jakiej niby okazji MSZ miałoby się w tej sprawie wypowiadać. No i uznano też, że rzecznik wyrwał się zanadto.

Jakoś pusto teraz w Warszawie, kiedy Marsz Trzydziestu Milionów się zakończył. Że co? Że niby za dużo? Mamy inne zdanie. Pół miliona, dziesięć, trzydzieści milionów uczestników – a kto nam zabroni? Domagamy się takich samych praw jak Eine Totalopposition. Skoro oni mogą zmyślać, to nam tym bardziej wolno. Gwoli ścisłości zaznaczamy jednak, że nawet zakochany bez pamięci w Donaldzie portal OKO.press twierdzi, że maksymalnie 380 tys.

Oczywiście tak naprawdę zmyślać nie będziemy, tylko sięgniemy do pamięci, a tę mamy jak słonie (i Jarosław Kaczyński). W kwietniu 2016 r. „Newsweek" zapowiadał ustami Grzegorza Schetyny „marsz miliona". Marsz odbył się 7 maja 2016 r. Post factum ratusz twierdził, że było na nim 240 tys. ludzi. Co z tego wynika? Że Donald jest nieco bardziej popularny od Grzegorza. Co było do przewidzenia.

Historia marszów o wolność i demokrację jest jednak dużo dłuższa. Jak nie Marsze Wolności, to Marsze Europejskie, a w obronie „wolnych sądów" to nawet był Marsz Tysiąca Tóg (to prawda, nie żartujemy, wyguglajcie sobie). Jak by tu powiedzieć, same gamechangery. Najbardziej podobał nam się komentarz Wojciecha Szackiego w „Polityce" po marszu z maja 2017 r.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

„Marsz był w pewnym sensie imprezą rutynową. Ani się PiS od niego nie zawali, ani opozycja nie zbuduje". Samo złoto.

Wracając do konkretów z marszu A.D. 2023. Nawet jeśli przyjąć narrację hurraoptymistyczną (nie 150, nie 280, a „prawie pół miliona"), to efekt pryska w konfrontacji z faktami. Oto fakt: Rafcio Trzaskowski wygrał wybory na prezydenta Warszawy, zdobywając 505 tys. głosów. Oznacza to, że połączonym siłom Donalda, Rafcia, Szymona Płaczliwego oraz Kosiniaka-Tygrysa i TVN nie udało się nawet skłonić do ruszenia tyłka wszystkich mieszkańców stolicy, którzy na Trzaskowskiego głosowali w październiku 2018 r. Wstyd. A weźcie jeszcze uwagę, ilu uczestników nawiozły autokary.

Zamykając temat: największą tajemnicą marszu pozostaje odpowiedź na pytanie, dlaczego to akurat Bartosz Arłukowicz pierwszy policzył, że na marszu jest pół miliona, i ogłosił to w Internecie. Wzniecając nagłówki portali: „Arłukowicz podał pierwsze liczby". Jak to było w „Sposobie na Alcybiadesa"? (Pamiętacie chyba powieść Edmunda Niziurskiego). Nauczyciel matematyki, niejaki Dziadzia, pytał Pędzelkiewicza, jakie to liczby to są liczby pierwsze. „No, te na początku: jeden, dwa... – odparł Pędzelkiewicz i utknął. Dziadzia zaśmiał się wtedy straszliwie". My w sumie robimy to, co Dziadzia.

Tymczasem w opozycyjnym planktonie (tak, istnieje plankton jeszcze drobniejszy od Arłukowicza). Rysiek Petru, kiedyś szef Nowoczesnej Kropki, okazał się wyrodnym ojcem. I ogłosił, że uwiąd jego dawnej partii to wina obecnego jej szefa, niejakiego Adama Szłapki. „Nie ze wszystkich moich wychowanków jestem dumny – rzekł w Zetce. – Przepraszam za tego wychowanka". I tak to idzie, z pokolenia na pokolenie. Balcerowicz wyrzekł się Petru, Petru wyrzekł się Szłapki. Robota w opozycji, widzicie, pełna jest ciężkich wyrzeczeń.

Teraz nasz konik – trudne relacje polsko-niemieckie. Nie wiemy, czy pamiętacie awanturę sprzed kilku lat. Otóż po nastaniu „dobrej zmiany" jedną z pierwszych decyzji było odwołanie szefowej Instytutu Polskiego w Berlinie. Była to niejaka Katarzyna Wielga-Skolimowska. Ależ wybuchła burza! Przez kilka dni z oburzenia nie posiadały się niemieckie media plus „Gazeta Wyborcza", co w sumie na jedno wychodzi. „Dobra zmiana" argumentowała, że Wielga-Skolimowska bardziej reprezentuje opcję niemiecką niż polską, co wywoływało oczywiście u powyższych jeszcze większe paroksyzmy wściekłości. Aż tu nagle… (przerwa na suspens).

Aż tu nagle w minionym tygodniu przyjechała do Polski Claudia Roth, minister kultury Niemiec. W związku z pełnioną funkcją, złożyła wizytę

eprasa.pl 831690520a

u swojego polskiego odpowiednika, znaczy ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego. I teraz najpiękniejsze: w skład delegacji niemieckiej, u boku Claudii Roth, wchodziła ni mniej, ni więcej, tylko Katarzyna Wielga-Skolimowska. Naprawdę nie mamy nic więcej do dodania.

Dwa słowa o przebiegu spotkania, pomijając kwestię Wielgi. Claudia, zanim została ministrem kultury, robiła za wicemarszałkinię Bundestagu. A od zawsze zaś robiła za aktywistkę. Ów aktywizm skutecznie stanął jej na przeszkodzie w zdobyciu wykształcenia wyższego. Nie przeszkodził jej za to przed wielu laty stanąć na czele Marszu Równości. Nie, nie w Berlinie. W Warszawie, kiedy prezydentem stolicy był Lech Kaczyński. Wicepremier Gliński wykazał się jednak taktem i nie wypominał Claudii ani braku cenzusu akademickiego, ani zwalczania Lecha Kaczyńskiego. Nie omieszkał jej jednak wypomnieć niemieckiego złodziejstwa w czasie drugiej wojny światowej.

Wogóle to dziwiliśmy się trochę ministrowi Glińskiemu, że zgodził się spotkać w Claudią Roth, bo były powody, żeby nie. Zasłużone. Otóż ledwie kilka miesięcy temu została wygwizdana przez Żydów za tolerowanie w Niemczech antysemityzmu. Jednakże wręczenie jej raportu o stratach wojennych, w tym utracie wielu bezcennych polskich judaików zrabowanych przez Szkopów, było tego poświęcenia warte.

Jedni mówią, że klimat w relacjach polsko-niemieckich jest chłodny, a my mamy jednak dowód, że gorący. Jak pogoda. Minister Anna Moskwa zasłabła kilka dni temu podczas wspólnej konferencji ze swoją niemiecką odpowiedniczką Steffi Lemke. Wybaczamy z pełnym zrozumieniem. Niemcy bardzo często sprawiają, że nawet my czujemy się słabo.

Słabo było we Wrocławiu w ostatnich tygodniach rozgrywek piłkarskiej Ekstraklasy, bo WKS Śląsk do ostatniej chwili zagrożony był spadkiem z ligi. (Przy okazji: Czy wiecie, co znaczy WKS? Wszystkim Kręci Schetyna). Cudem uniknięto spadku, ale Grzegorz Skorpion okrutnie się nadenerwował. Słyszeliśmy nawet od naocznych świadków, że krzyczał na niektórych PiS-owców, że to wszystko przez nich, bo nie dają kasy spółek Skarbu Państwa na jego ukochany klub. Ci, na których krzyczał, to wcale nie byli lokalni PiS-owcy, tylko tacy znaczniejsi. No bo i Grzegorz nie jest politykiem lokalnym. Chyba.

Na koniec życzenia. Wielu pomyślnych lotów i licznych nominacji na różne kolejne stanowiska życzymy Rychowi Czarneckiemu z okazji 30. rocznicy. Nie, nie chodzi o urodziny ani ślub. 17 czerwca 1993 r. Rychu mianowany został wiceministrem kultury. Co prawda, był nim tylko chwilkę, bo rząd Hanki Suchockiej upadł we wrześniu, ale był! Mimo to są tacy, którzy nie wierzą, że Rychu zna się na wszystkim. Wstydźcie się. Happy anniversary, Richard Henry! ©℗

REKLAMA

Książka ukazuje zupełnie nowy pogląd strony niemieckiej na kwestię powojennego długu wobec Polski i innych europejskich krajów

Jedyna taka publikacja

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

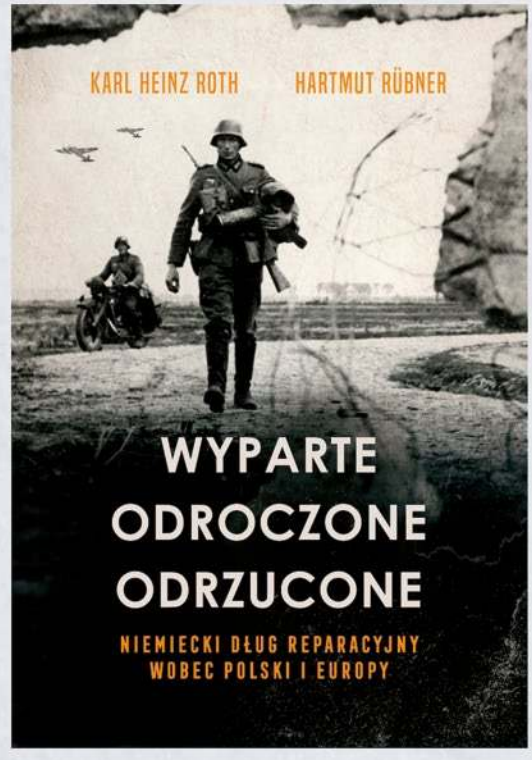

eprasa.pl 831690520a

ZBRODNIA WOJENNA W NOWEJ KACHOWCE

Prezydent Ukrainy oskarżył rosyjskiego przywódcę Władimira Putina o ekobójstwo po tym, jak 6 czerwca zapora w Nowej Kachowce i stacja hydroelektryczna zostały w dużej mierze zniszczone przez ładunki podłożone prawdopodobnie przez rosyjską grupę dywersyjną. Również zdaniem wywiadu USA, na którego źródła powołała się brytyjska BBC, bardziej prawdopodobnym winowajcą wysadzenia tamy na Dnieprze w Nowej Kachowce jest Rosja. O winie Rosjan świadczyć mają także opublikowane przez norweską agencję NORSAR dane sejsmiczne, jednoznacznie świadczące, że doszło do wybuchu. Z kolei Kreml zniszczenie zbudowanej w 1954 r. ogromnej tamy nazwał aktem sabotażu, który ma pozbawić dostępu do wody pitnej Krym, nielegalnie anektowany przez Rosję w roku 2014.

Fala powodziowa zalała ponad 50 tys. ha lasów oraz co najmniej 50 miejscowości, w tym częściowo również miasto Chersoń. Z powodu zniszczenia zapory tysiące Ukraińców mają utrudniony dostęp do wody pitnej. Zanieczyszczona woda powoduje również katastrofę ekologiczną i przesuwa miny pozostawione wcześniej w okolicy przez rosyjskich okupantów. Władze w Kijowie szacują, że w rejonie tragedii mieszka ok. 40 tys. osób, z czego mniej więcej połowa na terenach kontrolowanych przez ukraińską armię.

„Dziękuję wszystkim na świecie, którzy potępiają zbrodnie rosyjskich okupantów! Rosja musi zostać pociągnięta do odpowiedzialności za wszystko, co robi przeciwko życiu i ludziom" – oznajmił na Twitterze ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski, przekonując, że choć wysadzenie tamy doprowadziło do tragedii ekologicznej oraz humanitarnej, to reakcja organizacji takich jak ONZ czy Czerwony Krzyż była – jego zdaniem – niewystarczająca.

(jap) © ℗

FOT. AFP/EAST NEWS

FOT. OLEXANDER KORNYAKOV/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 8316905 20a

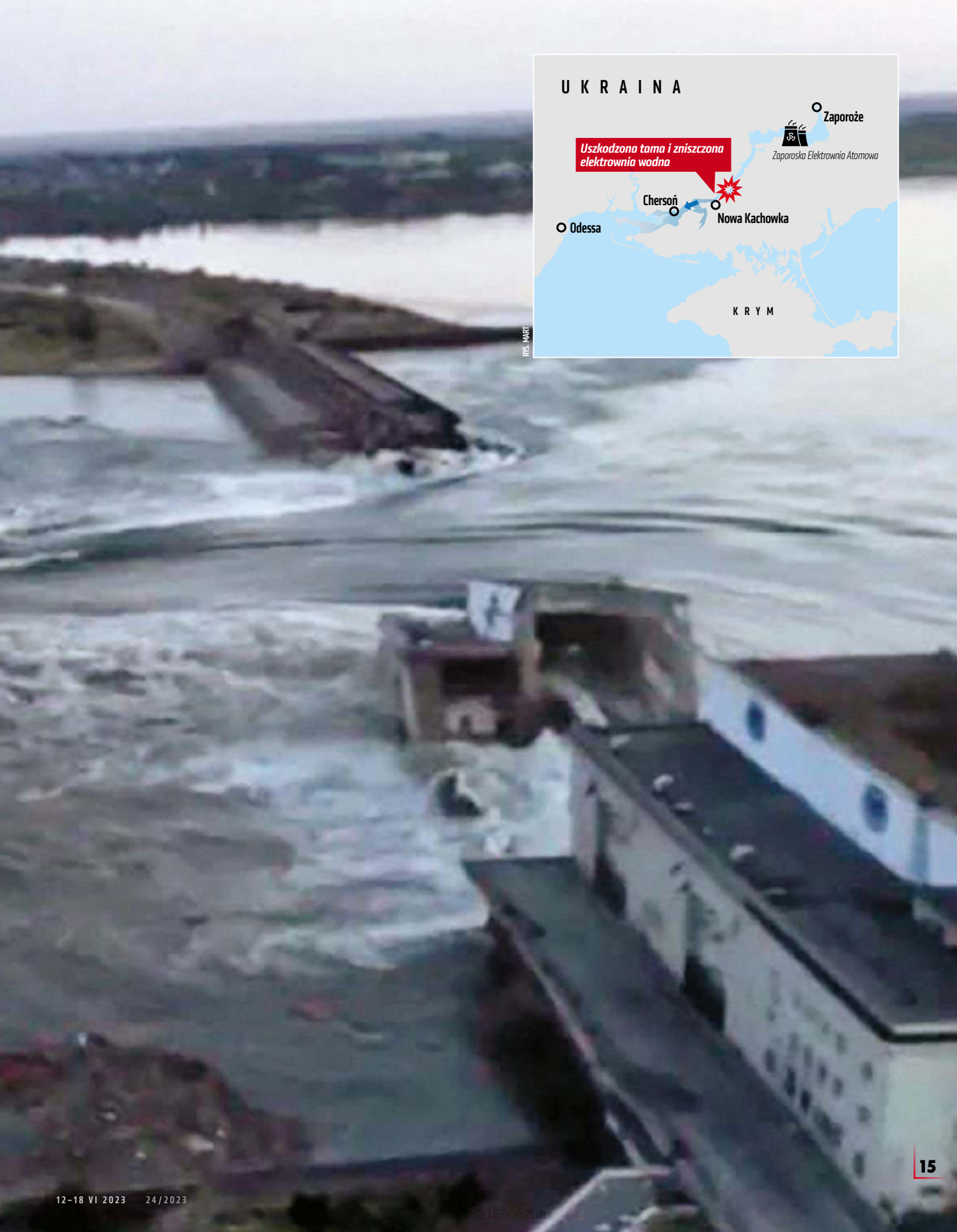
UKRAINA
Zaporoże
Zaporoska Elektrownia Atomowa
Uszkodzona tama i zniszczona elektrownia wodna
Chersoń
Nowa Kachowka
Odessa
KRYM

RYS. MART

Marsz samca

Piotr Semka

Jeśli Jarosław Kaczyński wsparł pośrednio Tuska ustawą o komisji badającej wpływy rosyjskie, to po marszu 4 czerwca ma już to, czego chciał. Stoi twarzą w twarz z nieprzychylnym mu gdańszczaninem i może być spokojny, że ani Hołownia, ani PSL nie odbiorą mu centrowych wyborców. Pytanie tylko, czy sztabowcy PiS mają już plan, jak kontrować kolejne pomysły Tuska

Tusk osiągnął swoje. Potwierdził status opozycyjnego samca alfa. Teraz może czekać, aż sojusz Trzeciej Drogi z Hołownią i Kosiniakiem-Kamyszem spadnie na tyle w sondażach, by obaj liderzy zaczęli błagać go o łaskawe wpuszczenie na wspólną listę. W stosunku do lewicy może prowadzić dalej politykę ignorowania, wiedząc, że jej liderzy wypadli blado na tle jego triumfu.

Przyciągnął do marszu innych liderów opozycji, ale nie dał im żadnej ważnej roli w tym show. Tylko dla siebie zarezerwował finałowy speach. Jak zmienia to sytuację na opozycyjnym podwórku?

BEZ PRACY NIE MA KOŁACZY

Każdy sukces już po tym, jak stanie się sukcesem, wydaje się łatwy. Ale jeśli spokojnie zastanowimy się nad rozmaitymi elementami marszu 4 czerwca, to widać, że taki efektowny akcent polityczny był na wyciągnięcie ręki Donalda Tuska i tylko on jeden mógł coś podobnego zorganizować. Tylko Platforma miała wystarczające fundusze i strukturę organizacyjną, aby zorganizować przyjazd tak dużej liczby przeciwników PiS w jedno miejsce.

Jednak było i parę dodatkowych czynników ułatwiających Tuskowi zadanie. Po pierwsze, dawno już nie było masowych marszów opozycji. Te organizowane przez Komitet Obrony Demokracji z lat 2016–2017 zatarły się już w pamięci, choć były porównywalne pod względem

eprasa.pl 831690520a

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

frekwencji. Marsze KOD sprzed pięciu lat zbladły dlatego, że zderzyły się one w tamtych latach ze spokojną determinacją PiS, aby nie ulegać samemu wrażeniu rzeki ludzi płynących Alejami Ujazdowskimi ku Nowemu Światu. Wtedy to Jarosław Kaczyński słusznie był uspokajany przez Viktora Orbána, który też miewał takie duże pochody swojej własnej, węgierskiej opozycji i przekonywał lidera PiS, że o wiele ważniejsze jest posiadanie realnej władzy.

Na demonstracjach z lat 2016–2017 odbił się też brak wyłonienia się realnego lidera kontestacji PiS. Kreowany na „nowego Wałęsę" Mateusz Kijowski szybko został wciągnięty w wewnątrzkodowskie spory i wzajemne oskarżenia o malwersacje. Z kolei grupka polityków z twarzami Grzegorza Schetyny, Władysława Kosiniaka-Kamysza i Włodzimierza Czarzastego, która też próbowała firmować różne marsze, nie kojarzyła się z niczym specjalnie atrakcyjnym. A późniejsze marsze strajku kobiet miały twarz ordynarnej i wulgarnej Marty Lempart.

Sam Tusk zresztą od powrotu do kraju w 2021 r. tylko parę razy zorganizował demonstracje, i to w jesiennych szarych miesiącach. Teraz jego sztab przygotował wszystko w bardzo drobiazgowy sposób. Było wiadomo, że demonstracja na trasie plac Na Rozdrożu – plac Zamkowy przebiegać będzie wąskim traktem, który w naturalny sposób stworzy wrażenie długiego węża ludzkich tłumów, o którym będzie można mówić, że „ciągnął się bez końca".

Na sam finał demonstracji wybrano stosunkowo niewielki plac Zamkowy, który bardzo łatwo wypełnić szczelnie ludźmi. Jeśli do tego dodać bardzo rygorystycznie pilnowany plan ściągania ze wszystkich regionów ogromnej liczby autokarów z członkami i sympatykami PO, to tak naprawdę sukces demonstracji zależał jedynie od niezwykle drobiazgowej logistyki przewiezienia takich mas ludzkich ze wszystkich województw Polski. A dodatkową premią było dołączenie do demonstracji iluś osób, które uległy rozkręconej przez media liberalne atmosferze politycznego wzmożenia po stworzeniu komisji do spraw badania rosyjskich wpływów.

Czy Kaczyński z premedytacją dolał oliwy do ognia, aby pomóc swojemu „ulubionemu wrogowi"? Jest to bardzo możliwe. Liderowi PiS zależało, aby to Donald Tusk był jedyną twarzą pojedynku tytanów, który w końcowej fazie rozegra się między wrześniem a październikiem bieżącego roku. O tym, że Tuskowi zależało na sukcesie właśnie teraz, świadczy to, że wybrał datę 4 czerwca, którą wcześniej czcił zazwyczaj w Gdańsku, z samorządowcami. Datę wbrew pozorom mało przydatną, gdyż sukces demonstracji może (choć nie musi) „rozładować się" wobec nadchodzących trzech miesięcy wakacyjnych.

Tyle że Tusk chciał uzyskać wizualny bardzo wyrazisty dowód na swoją supremację właśnie teraz, kiedy zaczyna on układać listy wyborcze. Bo przecież mógłby zrobić demonstrację np. w pierwszą albo drugą niedzielę września. To wciąż bardzo ciepłe dni z dużą szansą na piękną, słoneczną pogodę. I zrobienie takiego udanego marszu we wrześniu w o wiele większym stopniu zapewniałoby wykreowanie meksykańskiej fali, która miałaby ponieść wyborców w nastroju entuzjazmu do październikowej wyborczej niedzieli.

Jednak oczywiście każda okazja do zmobilizowania elektoratu jest dobra. Kto wie zresztą, czy Tusk na wrzesień nie planuje jakiegoś dodatkowego marszu? Nie zmienia to jednak podstawowego faktu: lider PO potrzebował dowodu swej dominacji właśnie teraz. I go otrzymał. Można podejrzewać, że hasło półmilionowej frekwencji było przygotowane z góry. I tak naprawdę wypuszczone było stosunkowo wcześnie przez Bartosza Arłukowicza, który niczym polityczny DJ zabawiał tłum z wysokiego autobusu jadącego środkiem pochodu. A potem już wszyscy powtarzali liczbę pół miliona z groteskowym, solennym podkreśleniem: „jak podają organizatorzy".

Scenariusz eventu był więc zaprojektowany bardzo sprawnie. Z drobiazgowym umieszczeniem w scenariuszu nawet takiego akcentu, jak uścisk dłoni Tuska dla sprzątaczy ulic następnego dnia po pochodzie o godz. 5. Tak naprawdę jedyne dwa kiksy, które się zdarzyły Tuskowi, to nie najszczęśliwszy pomysł pozwolenia na przemawianie Lechowi Wałęsie, który zanudził nawet tłum zasadniczo mu przyjazny. I drugi kiks: milczenie tłumu po wezwaniu Borysa Budki do odśpiewania hymnu narodowego. Poza tym Tusk ugrał swoje. A co z pozostałymi liderami opozycji?

TRZECIĄ DROGĄ DONIKĄD

Jeżeli jest się średniej wielkości graczem, to trzeba umieć nadrabiać swe słabości determinacją. A liderzy Trzeciej Drogi – Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz – zapłacili upokarzającą cenę za brak konsekwencji. Na początku Hołownia wydawał się zdeterminowany, aby nie dać się zagnać pod kuratelę Tuska. Rzeczowo wskazywał, że marsz jest inicjatywą Platformy i innym partiom nic do tego. Skoro przyjęło się już takie stanowisko, to trzeba było się go trzymać. A tymczasem liderzy Trzeciej Drogi szybko ulegli atmosferze emocji wokół komisji do spraw badania rosyjskich wpływów i w końcu zadeklarowali udział w marszu.

Do dziś stanowić może zagadkę, dlaczego Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz nie przemawiali obok

eprasa.pl 831690520a

Tuska przed rozpoczęciem marszu. Bartosz Sienkiewicz z PO twierdzi, że Tusk osobiście ich zaprosił do zabrania głosu, ale oni nie skorzystali z tej oferty. Po prostu nie przybyli na czas. Potem Kosiniak-Kamysz i Hołownia tłumaczyli się, że ich przeciskanie się w kierunku mikrofonu zostało spowolnione przez to, iż rzekomo każdy w tłumie chciał się z nimi przywitać. Ale przeczy temu to, że najpierw zrobili konferencję gdzieś na obrzeżach tego marszu – która została absolutnie zlekceważona przez media – a potem szybko się rozjechali – Szymon Hołownia do wyborców w Lesznie, a lider PSL na spotkanie w Białej Podlaskiej.

Gdyby liderzy Trzeciej Drogi potraktowali zaproszenie Tuska serio, to dogadaliby się z organizatorami, jak sprawnie przebić się do miejsca, w którym przemawiali Wałęsa, Trzaskowski czy np. Włodzimierz Czarzasty. Tymczasem tłumaczenia Hołowni były wręcz groteskowe: „Ustaliliśmy, że jak już to wszystko się uformuje, będziemy przebijać się w tamtą stronę. Na scenę nie zdążyliśmy dojść, tym bardziej że tam już ludzie krzyczeli, żeby iść [...]. Próbowaliśmy się przebić do tego autobusu, ale się nie przebiliśmy". Wspomniany autobus to piętrowy pojazd, na którym swój wodzirejski show prowadził Bartosz Arłukowicz.

Analiza gości, których wpuszczał, też była bardzo charakterystyczna. Jedną z osób, której pozwolono tam przemawiać, był Jacek Karnowski, prezydent Sopotu, który jeszcze pół roku temu snuł marzenia o tym, by reprezentowany przez niego samorządowy ruch „Tak! Dla Polski" był dla PO takim samym partnerem, jak inne duże partie. Teraz, wysyłając Jacka Karnowskiego do autobusu Arłukowicza, Donald Tusk jeszcze raz przypomniał ambitnemu włodarzowi Sopotu, gdzie jest jego polityczne miejsce.

Wróćmy jednak do liderów Trzeciej Drogi. Sondaże sojuszu Polski 2050 i PSL systematycznie spadają. Obecnie utrzymują się na poziomie 11–13 proc. Dla ugrupowania koalicyjnego, które musi zdobyć przynajmniej 8 proc., to otarcie się o wizję niewejścia do Sejmu. Hołownia i Kosiniak-Kamysz smakują dzisiaj, co znaczy być ugrupowaniem, które nie ma za sobą poparcia w mediach. Większość tytułów liberalnych, od „Polityki" do „Gazety Wyborczej", zaakceptowała hasło dyktatury Donalda Tuska nad całą opozycją. Kosiniak-Kamysz, który uwierzył, że jest nowym wcieleniem Wincentego Witosa, i były gwiazdor programu „Mam talent" mogą dziś zobaczyć, co to znaczy bazować na sympatii proopozycyjnych mediów.

LEWICA NIEPOTRZEBNA NIKOMU

Teoretycznie Włodzimierz Czarzasty powinien odczuwać satysfakcję po 4 czerwca. Wielki Donald łaskawie pozwolił przemawiać przed marszem i jemu, i Robertowi Biedroniowi, którym jakoś udało się przepchać przez tłum, co dla liderów Trzeciej Drogi okazało się przedsięwzięciem ponad ich siły.

Czarzastego demonstracja 4 czerwca zachęciła do zorganizowała w Sejmie konferencji prasowej, na której po raz któryś już wezwał do podpisania opozycyjnego „paktu sejmowego". Jak z emfazą podkreślił, obok sprzeciwu wobec rządów PiS „była jeszcze druga sprawa, która wybrzmiała w ustach pół miliona osób. To żądanie współpracy na opozycji".

Lider lewicy wyciągnął z tego wniosek, że trzeba podpisać już teraz pakt sejmowy, w którym będą dwa punkty. Zobowiązanie, aby się nie atakować wzajemnie, i deklaracja, że jak opozycja wygra, to podpisze pakt o współrządzeniu.

Czarzasty sprawia wrażenie natrętnego gościa, który na długo przed imprezą sylwestrową chce uzyskać od gospodarza zapewnienie, że zostanie zaproszony na bal. A Tusk demonstracyjnie Czarzastego lekceważy, bo wie, że i tak ma jego akces do koalicji na talerzu i nie musi się zawczasu deklarować. Co może zrobić Czarzasty? Dokładnie nic. Jeśli już – to napinać muskuły.

Tym bardziej że jeśli spojrzeć na „Krytykę Polityczną" przedstawiającą się jako „największy lewicowy dziennik w Polsce", to dominuje tam dosyć mało refleksyjny zachwyt nad sukcesem Tuska. Katarzyna Przyborska, jedno z czołowych piór „Krypola", z przejęciem pisze: „Jasne, że największy kapitał polityczny na marszu 4 czerwca zbił Donald Tusk. Co mają zrobić inne partie opozycyjne, by nie musieć za chwilę prosić Tuska o wpuszczenie na wspólną listę lub chociaż do koalicji?". I odpowiada tonem nudnym jak niegdysiejszy „Notes agitatora PZPR": „Pamiętać o swoich wyborczyniach i pracowicie przekuwać ich postulaty na język polityczny. [...] Lewica powinna iść va banque, to znaczy zawalczyć o kobiety i cały antyklerykalny elektorat, w tym młodzież i akademię. Kto, jak nie lewica zdoła w jasny sposób, bez uników i krętactwa, mówić o prawach człowieka, prawie do dobrej edukacji publicznych, o prawie do aborcji, małżeństw jednopłciowych i prawie do życia, nawet jeśli przekroczy się zieloną granicę i żelazną kurtynę?". Pani Przyborska ma też praktyczne rady: Czarzasty ma oddać pierwsze miejsce na liście wyborczej Agnieszce Dziemianowicz-Bąk, a Adrian Zandberg przekazać pierwszeństwo w Warszawie Magdzie Biejat.

Resztki godności lewicy postanowił bronić na łamach „Krytyki Politycznej" Tomasz Kozak: „Po marszu 4 czerwca Tusk awansuje na Bonapartego. Jeśli tak, to lewica powinna grać makiaweliczną księżniczkę. [Tusk] skąpił solidarności bitym i upodlonym. Lecz po lex Tusk chce jej dla siebie. Dlaczego ma od nas dostać za friko kolejny kredyt zaufania? Skąd nadzieja, że jutro zda egzamin, który oblewał w przeszłości?".

Tuska nie muszą zachwycać takie słowa, ale doskonale wie, że w razie wygranej to on trzyma bank. Czarzasty jest na tyle wyposzczony po wielu latach opozycyjnego cienkiego wiktu, że za naprawdę niewielką cenę poprze każdą polityczną inicjatywę Tuska. A ponieważ Tuskowi udało się uczynić z antypisizmu podstawową emocję po opozycyjnej stronie, to lewicowy pryncypializm zawsze będzie przegrywać z hasłem rozliczenia „kaczystów".

TWARZĄ W TWARZ

Jeśli Jarosław Kaczyński wsparł pośrednio Tuska ustawą o komisji badającej wpływy rosyjskie, to teraz ma już to, czego chciał. Stoi twarzą w twarz z nieprzychylnym mu gdańszczaninem i może być spokojny, że ani Hołownia, ani PSL nie odbiorą mu centrowych wyborców. Pytanie tylko, czy sprawność zorganizowania przez Tuska demonstracji 4 czerwca uświadamia PiS-owcom, jak skuteczny w kampanii może być przybysz z Brukseli. Po liderze PO można się spodziewać naprawdę jeszcze wielu pomysłów. Pytanie: Czy sztabowcy PiS mają już plan, jak je kontrować? Bo gra będzie naprawdę ostra.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

Fundusze Europejskie

Fundusze Europejskie wspierają innowacje

Co kryje się pod słowem innowacyjność? Czy warto inwestować pieniądze w badania? Jak Fundusze Europejskie mogą pomóc polskim przedsiębiorcom we wdrażaniu nowych rozwiązań, produktów, usług? Czy bycie „zielonym" także może oznaczać innowację?

Jacob Lund/Getty Images

Innowacja i innowacyjność

Według definicji stosowanej w Unii Europejskiej, innowacja to wdrożenie nowego lub znacząco udoskonalonego produktu (wyrobu lub usługi) lub procesu, nowej metody marketingowej lub organizacyjnej, organizacji miejsca pracy lub w stosunkach z otoczeniem. Jej celem jest osiągnięcie tzw. przewagi konkurencyjnej.

Innowacyjność jest pojęciem szerszym, ale ściśle z innowacją związanym. Można je określić jako zdolność określonej organizacji (np. przedsiębiorstwa) do tworzenia, wdrażania i adaptacji innowacji. Oznacza to, że dana organizacja tworzy nowe pomysły, poszukuje nowych rozwiązań, przekształca wiedzę wypracowaną jako rezultat badań w praktyczne działania oraz jest zdolna do zmian. Innowacyjność to proces, w którym bardzo ważna jest także kultura organizacyjna danej jednostki – chodzi o eksperymentowanie, twórcze podejście, zdolność do uczenia się, dostosowanie się do zmieniających warunków, itp.

Innowacyjność w Polsce

Innowacyjność rozumiana jest jako zdolność do wprowadzania nowych rozwiązań, technologii i procesów w celu podnoszenia konkurencyjności gospodarki, tworzenia nowych miejsc pracy i zwiększania efektywności poszczególnych sektorów. Pojęcie to jest też często kojarzone ze wspieraniem badań naukowych, rozwojem technologii, a także tzw. „transferem wiedzy" między przedsiębiorstwami a sektorem naukowym (np. uczelniami wyższymi, instytutami badawczo-rozwojowymi).

Program wspierający rozwój

Innowacyjność jest jednym z ważniejszych priorytetów dla Polski i całej Unii Europejskiej, stąd jeden z nowych programów – **Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki na lata 2021-2027 (FENG)** – mocno wspiera badania i rozwój firm. Budżet tego programu wynoszący około 7,9 mld euro finansuje działania, które mogą wpływać na konkurencyjność polskich przedsiębiorstw. Stawia na projekty, które zwiększają potencjał w zakresie badań i innowacji oraz wykorzystują zaawansowane technologie.

Ambicją Polski jest **przekształcenie gospodarki w kierunku Przemysłu 4.0**. Pojęcie to oznacza tzw. czwartą rewolucję przemysłową, czyli wykorzystanie zaawansowanych technologii cyfrowych (takich jak sztuczna inteligencja i robotyka) w różnych dziedzinach gospodarki. Większa automatyzacja procesów przekłada się na poprawę jakości produktów, zwiększenie elastyczności procesów, zwiększenie produktywności czy poprawę bezpieczeństwa pracy, a także otwiera nowe możliwości rozwoju. Należy pamiętać, że Przemysł 4.0 ma szerokie zastosowanie w różnych sektorach gospodarki, takich jak np. energetyka, logistyka, opieka zdrowotna czy transport.

Wsparcie dla wspierających

Na specjalne środki z programu mogą liczyć także Ci, którzy pomagają innym – zajmują się transferem technologii, dostarczaniem usług proinnowacyjnych oraz współpracą z biznesem. Są to m.in. ośrodki innowacji, parki technologiczne i naukowe, inkubatory, centra innowacji oraz wszystkie organizacje, które świadczą różnego rodzaju usługi doradcze, szkoleniowe w zakresie transferu wiedzy i kojarzenia przedsiębiorców z pracownikami naukowymi.

Środki dla przedsiębiorców

Program FENG wspiera nie tylko uczelnie, ośrodki badawcze czy duże firmy. Z finansowania mogą skorzystać firmy różnej wielkości, także te początkujące. W ramach programu dostępne są także środki dla tych mniejszych przedsiębiorstw, które chcą sfinansować różne procesy badawczo-rozwojowe, rozwijać infrastrukturę w tym zakresie, a także wspierać tzw. „zieloną" i cyfrową transformację. W przypadku zielonej transformacji chodzi o stosowanie takich rozwiązań i technologii, które będą miały neutralny wpływ na środowisko, zmniejszą emisję gazów cieplarnianych, a także wpłyną pozytywnie na oszczędzanie zasobów naturalnych. Program FENG mocno wspiera także samą współpracę sektora nauki i biznesu.

Vladimir Borovic/Getty Images

Jak pozyskać fundusze?

Większe szanse na wsparcie w ramach programu mają duże innowacje, na skalę krajową. W związku z tym na początek należy odpowiedzieć sobie na pytania, jak zaawansowana jest działalność, jaki potencjał ma innowacja i w jaki sposób chce się ją wprowadzić.

Niezależnie od wielkości przedsięwzięcia, przy planowaniu pracy i staraniach o fundusze warto skorzystać z bezpłatnej porady ekspertów w Punktach Informacyjnych Funduszy Europejskich. Ich adresy znajdziemy na **www.funduszeeuropejskie.gov.pl/strony/o-funduszach/punkty**.

Do dyspozycji przedsiębiorcy mają również szereg usług informacyjnych, dzięki którym ubieganie się o fundusze staje się prostsze. Wśród nich warto sprawdzić **Innovation Coach** oraz **STEP**.

Więcej o samym programie FENG, harmonogram składania wniosków, informacje o usługach informacyjnych STEP, Innovation Coach oraz ankietę potrzeb przedsiębiorcy można znaleźć na stronie **www.nowoczesnagospodarka.gov.pl**.

Kampania finansowana z Funduszu Spójności Unii Europejskiej i budżetu państwa

Fundusze Europejskie | Rzeczpospolita Polska | Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej | Unia Europejska Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne

eprasa.pl 831690520a

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

PO-PiS: wspólny marsz

Rafał A. Ziemkiewicz

Umożliwiając rozkręcenie na wielką skalę narracji „PiS chce wyeliminować Tuska z życia publicznego", Kaczyński świadomie pomógł Tuskowi w realizacji jego planu wyeliminowania antypisowskich konkurentów. To wciąż powtarzana gra w „Kaczora" i „Donalda", która polaryzuje społeczeństwo wobec dwóch sił

Zapewne ostatnią rzeczą, jaką chcieliby usłyszeć i jaką gotowi byliby przyjąć do wiadomości uczestnicy „wielkiego marszu", jest to, że nie tylko wcale znienawidzonemu Kaczyńskiemu nie zaszkodzili, lecz także wręcz są częścią realizacji jego planu. A przecież logiczna analiza nie pozostawia co do tego wątpliwości. Triumfalistyczne tezy o „przebudzeniu olbrzyma", o „narodzinach wielkiej siły" i z dawna oczekiwanym „gamechangerze", którymi ma być wielka frekwencja na marszu, są, delikatne mówiąc, chciejstwem. Oczywiście trudno się dziwić, że po latach rozczarowań i frustracji wyborcy lewicowo-liberalnej opozycji, chcąc nacieszyć się triumfem, opowiadają sobie bajki, jaki to na Kaczyńskiego padł blady strach, i w marzeniach już wsadzają politycznych przeciwników do więzień. Jednak nawet w części antypisowskich mediów pojawiają się głosy próbujące oględnie wytłumaczyć im, że marsz był sukcesem Tuska i PO, ale niekoniecznie opozycji jako takiej.

KONFLIKT TOŻSAMOŚCI

Polski spór polityczny od dawna już nie jest napędzany starciem idei, programów

eprasa.pl 831690520a

czy „narracji" – jego dominantą stał się konflikt między tożsamościami, nazwijmy je: patriotyczno-tradycjonalistyczną oraz europejsko-liberalną. Każda z nich krzepi się poczuciem moralnej wyższości i wykluczeniem przeciwnika. Ponieważ moralna wyższość – w przeciwieństwie do programów i wizji przyszłości – nie podlega dyskusji, a zmiana tożsamości wymaga pokoleń, oparcie sporu partyjnego na sporze tożsamości dało efekt „na zachodzie bez zmian": wielkie polityczne ofensywy, choćby wystrzelono nie wiedzieć ile amunicji, powodując przy okazji największe nawet szkody da państwa, nie dają żadnej ze stron niczego. Walka polityczna stała się rodzajem rytualnego tańca i – niczym wieczna wojna w „1984" Orwella – bardziej służy utrzymywaniu własnego wojska w stanie mobilizacji niż wyrządzaniu szkód przeciwnikowi.

Przepraszam, że powtarzam truizmy, ale wiele medialnych komentarzy sprawia wrażenie kompletnie od tych oczywistych faktów oderwanych. Tymczasem punktem wyjścia każdej analizy musi być to, że dwóch dominujących w Polsce polityków zbudowało partyjne perpetuum mobile – samonapędzającą się maszynę wzajemnej nienawiści i pogardy, w której wystarczy przypominać swoim zwolennikom, jak bardzo nienawidzą ich ci drudzy, gorsi. „Patrzcie, nazwał was gorszym sortem!" – „Patrzcie, oto marsz nienawiści". Nieustanne grzanie mniej lub bardziej „podkręcanych", a coraz częściej autentycznych przejawów nienawiści „onych" skutecznie intensyfikuje pogardę i nienawiść do nich we własnym plemieniu. Nawet człowiek, było nie było z najwyższej społecznej półki, za jakiego można uznać Andrzeja Sewerynа, potrafił w nagraniu dla siedmioletniego wnuczka pouczać go z błyskiem fanatyzmu w oczach, że jak dorośnie, to ma „przy-pie.-do-lić! tym Kaczyńskim, Orbánom i Trumpom", a nie wdawać się z nimi w żadne dyskusje. Mało kto zauważył, że nieświadomie dał tu mistrz wyraz przekonaniu, że i za kilkanaście lat „Kaczyńscy, Orbánowie i Trumpowie" będą co najmniej równie silni jak dzisiaj – czyli gdzieś w tyle mózgu ma on świadomość jałowości wojny, którą prowadzi i na którą posyła wnuczka, ale w żaden sposób go to nie mityguje.

To nagranie wzbudziło żywiołowe reakcje po stronie zwolenników PiS. Trudno nie zgodzić się z wyrazami potępienia, ale trudno też nie przypomnieć, jak oni sami w analogicznej frustracji przed rokiem 2015 nasładzali się w artykułach, memach, na plakatach i okładkach tygodników przypisywanym Piłsudskiemu paracytatem, że cały program partii patriotycznej to „bić ku.wy i złodziei".

Kaczyński i Tusk swą dzisiejszą pozycję zawdzięczają temu właśnie, że odkryli to perpetuum mobile i – świadomie intensyfikując emocje plemienne – stopniowo wysiudali z polityki konkurencję. Można by – choć rzecz przerasta możliwości niniejszego artykułu – prześledzić pod tym kątem przebieg ich karier, w których nic początkowo nie zapowiadało roli, jaką ostatecznie mieli odegrać. Obaj zaczynali jako centryści. Jarosław Kaczyński wraz z bratem byli predestynowani do przywództwa nad obozem późniejszej Unii Demokratycznej, który, gdyby ich wtedy posłuchał (przypomnijmy: zamiast iść na z góry przegrany konflikt z Wałęsą, wybrać go na prezydenta głosami kontraktowego parlamentu jak Jaruzelskiego, dobić układ postkomunistyczny, przejąć podstawy jego siły i poczekać z ogłoszeniem wyborów powszechnych, aż Wałęsa da się Polakom lepiej poznać), miałby zapewne te wymarzone przez Michnika „12 lat niczym niezakłóconej władzy". Nawet po tym, jak za naruszenie świętej dla środowiska hierarchii towarzyskiej został z niego Kaczyński wypchnięty, długo jeszcze starał się odwoływać do elektoratu umiarkowanego, zanim w poszukiwaniu szerszego zaplecza przesunął się ku postawie, którą sam początkowo nazywał „najkrótszą drogą do dechrystianizacji Polski". Polityczny życiorys Tuska był bardziej zygzakowaty i pełen politycznych wolt, ale i on wyciągnięty został przez Wałęsę z grupki marginalnej wobec salonu Geremka, Kuronia i Michnika i długo grał rolę pragmatyka, umiarkowanego i dalekiego od „ideologicznych" sporów.

NARASTAJĄCA BRUTALIZACJA

Nie ma powodów sugerować, jak jest to popularne w kręgach Konfederacji, że podzielenie się przez Kaczyńskiego i Tuska polskimi plemionami politycznymi miało charakter perfidnego układu. Właśnie prześledzenie dróg, które przeżyli, dopiero od pewnego momentu stając się swymi lustrzanymi odbiciami, dowodzi, że do decyzji o obstawieniu „twardych" tożsamości i zastąpieniu dawniejszego „podziału postkomunistycznego" podziałem nowym PiS-PO dochodzili stopniowo. Narastająca brutalizacja plemiennej wojny przyszła jeszcze później, w dużym stopniu chyba pod wpływem zachwytu skutecznością, z jaką na agresji i brutalnym łamaniu norm zbudował swą krótką, ale błyskotliwą karierę Andrzej Lepper.

Zabawną anegdotą może być to, że – wedle jego ówczesnych współpracowników – do takiego właśnie lepperowskiego porzucenia wszelkich skrupułów w walce z Kaczyńskimi miała namówić Tuska doradzająca mu wtedy psycholog Natalia de Barbaro, dziś znana jako autorka świętojękliwych książek o kobiecej czułości i delikatności. Ale nie przeceniajmy roli doradców: gdy pojawił się jasno zarysowany podział na „faszystów zagrażających demokracji" i „zdrajców wyprzedających polską niepodległość" (a tę retorykę sformułowano już w czasach „wojny na górze"), eskalacja nienawiści była tylko kwestią czasu, nawet gdyby nie doszło do tragedii w Smoleńsku, która pchnęła obie strony do sięgnięcia po najmocniejsze znaki emocjonalne, jakie umiały sobie wyobrazić (jednych – by wynieść katastrofę i zmarłego prezydenta do panteonu narodowych świętości, drugich – by ich pamięć jak najszybciej zniesławić i zadeptać).

Marek Migalski, politolog szukający swego miejsca najpierw po stronie PiS, a później PO, sformułował wtedy pobrzmiewającą cynizmem zasadę: „Gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają". Jak bardzo miał rację, dowiodło wydarzenie o kilka lat późniejsze. Kiedy Tusk, realizując swoje europejskie marzenia, porzucał PO i Polskę, zostawiając premierostwo w rękach Ewy Kopacz, ta ostatnia zaskoczyła wszystkich – podobno namówił ją do tego Michał Kamiński, aspirujący do roli jej spin doktora z obietnicą „efektu papieża Franciszka" – nie tylko złożeniem obietnicy „zakończenia wojny polsko-polskiej", lecz także wezwaniem, by obecni na sejmowej sali Jarosław Kaczyński i Donald Tusk podali sobie ręce. Zaskoczonym liderom nie pozostało nic innego niż spełnić to żądanie. Obraz bratających się wrogów obiegł media i w ciągu kilku następnych tygodni we

eprasa.pl 831690520a

wszystkich sondażach notowania PO oraz PiS poleciały na łeb na szyję, a inne partie dostały tlen. Dopiero gdy Kopacz porzuciła „franciszkową" retorykę pojednania i zaatakowała ostro Kaczyńskiego – nawiasem mówiąc, z braku aktualnych powodów wypominając mu rzekomą „lojalkę" ze stanu wojennego, o której od lat wiadomo było, że została sfałszowana – a PiS odpowiedział na ten atak kontratakiem, sytuacja wróciła do normy.

Zapewne zarówno Kaczyński, jak i Tusk wierzyli kiedyś, że są w stanie swojego wroga zniszczyć. Wierzyli też, że hasła, które zmonopolizowali, gwarantują, iż – co najmniej – wróg będzie trwale zmarginalizowany. Podzielenie Polski na „liberalną" i „solidarną" miało być w przekonaniu PiS formułą na zawsze spychającą „liberałów" do wielkomiejskich gett; radosna konsumpcja europejskich funduszy w parze z rewolucją obyczajową „młodych, wykształconych i z wielkich miast" miała sprawić, że PiS – jak zapowiadał Tusk otwarcie – „wymrze jak dinozaury".

Z czasem jednak każdy z plemiennych władców Polski musiał zrozumieć, że nie tylko nie jest w stanie zniszczyć przeciwnika, lecz także więcej – „zabijając" go politycznie, zabiłby siebie samego. Racją istnienia każdego z nich jest powstrzymywanie zagrożenia uosabianego przez tego drugiego.

Doświadczenie niedoszłego „efektu Franciszka" na pewno miało wpływ na decyzję Kaczyńskiego, by w 2020 r. podtrzymać istnienie Platformy Obywatelskiej. Można dyskutować, czy zgoda na wymianę pierwotnej, fatalnej kandydatki PO do prezydentury na Rafała Trzaskowskiego nie była wymuszona okolicznościami – koniecznością wybrnięcia przez PiS z pułapki „pocztowych wyborów" (moim zdaniem PiS mógłby to jednak zrobić bez głosów PO). Ale poza dyskusją pozostaje, że gdyby nie ta zmiana, gdyby do drugiej tury weszli Hołownia albo Kosiniak-Kamysz, to jeśli nawet Andrzej Duda wygrałby ostatecznie kolejną kadencję (co poszłoby trudniej niż z Trzaskowskim), PO przestałaby rozdawać karty na opozycji.

A dla PiS opozycja nieodpowiadająca za rządy przed rokiem 2015, zdolna narzucić agendę inną niż plebiscyt „Czy jest lepiej niż za Tuska, czy chcesz, żeby znowu było, jak było wtedy?", stanowiłaby katastrofę. Cała narracja rządzących nastawiona jest na regularne powtarzanie tego plebiscytu. Także w najbliższych wyborach.

CHODZI O PRZYWÓDZTWO

Wszystkie okoliczności „wielkiego marszu" PO nie zostawiają złudzeń, co było jego celem: odzyskanie przez Tuska hegemonicznego przywództwa nad obozem lewicowo-liberalnym. Zarówno moment – przed wakacjami, co sprawi, że emocjonalny efekt mobilizacyjnego sukcesu do wyborów i tak wygaśnie, jak i sposób ogłoszenia marszu, i – wreszcie – potraktowanie liderów Polski 2050, PSL i Lewicy podczas samej manifestacji nie pozwalają w to wątpić ani przez chwilę. Pytanie, czy mobilizacja anty-PiS na rzecz Tuska byłaby równie wielka, gdyby nie wrzucona w odpowiedniej chwili ustawa o powołaniu „komisji do zbadania wpływów rosyjskich" i gdyby nie skwapliwość, z jaką prezydent natychmiast zapowiedział jej podpisanie i rzeczywiście podpisał, także jest pytaniem retorycznym. Umożliwiając rozkręcenie na wielką skalę narracji „PiS chce wyeliminować Tuska z życia publicznego" oraz wezwanie w sukurs Unii Europejskiej i nawet Ameryki, Kaczyński świadomie pomógł Tuskowi w realizacji jego planu wyeliminowania antypisowskich konkurentów. Poniósł przy tym straty, ale widocznie uznał, że warto.

Tusk może mieć pomysły sięgające dalej niż eliminacja Lewicy i Trzeciej Drogi, obliczone na pozyskanie „normalsów"

Zresztą największe straty poniósł prezydent, który podpisując ustawę i po kilku dniach uznając ją za wymagającą nowelizacji, najdelikatniej mówiąc, nie przysłużył się swojej powadze. Problemem będzie też dla PiS wzrost notowań Konfederacji, który wszystkie możliwe badania wskazują jako nieuchronny skutek uboczny „jednej listy" lewicowo-liberalnej opozycji. A po kapitulacji Kosiniaka-Kamysza i Hołowni w chwili powołania komisji i wobec rosnących kłopotów Lewicy z zachowaniem spójności, zwłaszcza w obliczu wyroków „wolnych sądów" stwierdzających bezprawność działań Czarzastego, których skutkiem może być nawet w skrajnym wypadku uniemożliwienie Lewicy w obecnym kształcie zarejestrowania list w PKW, widać już wyraźnie, że zapowiedź złożona przez Tuska: „Będzie jedna lista opozycji i będzie to partyjna lista PO" nie była rzucona na wiatr.

Oczywiście Kaczyński, odgrywając tę rolę politycznego doktora Frankensteina, ożywiającego monstrum Wielkiej Polaryzacji, wierzy, że przyniesie mu to zwycięstwo. W zanadrzu ma pomysły na ściągnięcie do wyborów tych, którzy dali PiS zwycięstwo w 2019 r., a od dłuższego czasu deklarują się w badaniach jako niezainteresowani udziałem w wyborach – ale nie jako wyborcy anty-PiS. Jednak Tusk też może mieć pomysły sięgające dalej niż eliminacja Lewicy i Trzeciej Drogi, obliczone na pozyskanie „normalsów". Najbardziej niemiłą niespodzianką dla PiS związaną z marszem Tuska wcale nie była ogromna frekwencja, ale niezwykle spokojny przebieg manifestacji – w porównaniu z dotychczasowymi wiecami i marszami opozycji wydawała się ona omalże piknikiem; kamerzyści TVP musieli się tym razem naszukać haseł w stylu Lempart czy Seweryna i znajdowali niemal wyłącznie jakieś amatorskie improwizacje na kartonie opakowaniowym. W dodatku zebrany tłum spędził ze sceny Wałęsę i cały tonął w barwach biało-czerwonych; flag Unii Europejskiej i LGBT praktycznie nie dało się zauważyć! Dla PiS to niepokojący sygnał, że plany rozegrania kolejnej kampanii z Tuskiem według dotychczasowych wzorów mogą być zagrożone jakąś woltą z jego strony – uwolnienie go od antypisowskiej konkurencji zwiększa zarazem jego autonomię wobec histerycznie antypisowskich mediów. Gra może więc jeszcze przynieść niespodzianki. Co nie zmienia faktu, że w generalnych zarysach wciąż jest to ta sama gra „w Kaczora" i „Donalda", prowadzona już od 18 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

UGODA lepsza niż PROCES
bankiwpolsce.pl/ugoda

UGODA LEPSZA NIŻ PROCES

Coraz więcej frankowiczów zawiera ugodę z bankiem. Do końca marca 2023 r. zdecydowało się na to niemal 60 tys. kredytobiorców. Kwoty korzyści dla klientów sięgają w indywidualnych przypadkach nawet 100 tys. zł. Przeciwnikami ugód są kancelarie frankowe zarabiające na sporach

Kredytobiorcy walutowi coraz chętniej wybierają ugodę frankową zamiast sporu sądowego. Pozew przeciwko bankowi to wysokie koszty, niepewność i czas mierzony w latach. Dlatego banki przygotowały atrakcyjne oferty ugód, a kwoty korzyści dla klientów sięgają od kilkudziesięciu do ponad 100 tys. zł. Jeśli klientowi zależy na obniżeniu raty, to także jest to możliwe – w indywidualnych przypadkach rata może zmniejszyć się nawet o 1,3 tys. zł.

ZYSK I OSZCZĘDNOŚĆ

Ugoda frankowa z bankiem może się opłacać. Przekonało się o tym niemal 60 tys. kredytobiorców, którzy zdecydowali się szybko i tanio pozbyć się kredytu frankowego.

Poza wymiernym zyskiem ugoda to także oszczędności. Ich źródłem jest pozbycie się kredytu bez ponoszenia kosztów sądowych i opłacania pośredników oraz uniknięcie długotrwałej ścieżki rozliczeń z bankiem.

BEZ NERWÓW, KOSZTÓW I NIEPEWNOŚCI

Stres, niepokój i nerwy – tym, poza kwotami liczonymi w tysiącach, kredytobiorcy płacą za udział w procesach. Wszystkich tych negatywnych czynników można uniknąć dzięki ugodzie. Proces z bankiem może trwać nawet sześć lat. W dużych miastach ok. dwóch lat czeka się na termin pierwszej rozprawy. Sprawa w pierwszej instancji trwa ok. dwóch lat, w drugiej instancji – kolejne dwa. Ponadto przy ugodzie frankowicz może negocjować jej kształt, natomiast w procesie sądowym do końca trwa w niepewności co do ostatecznego wyroku.

Wbrew twierdzeniom kancelarii frankowych ugody nie są „prezentem dla banków". Bank, zawierając ugodę, bierze na siebie znaczny koszt przewalutowania kredytu frankowego na złotowy. Według szacunków łączny koszt ugód po stronie banków może wynieść nawet 57 mld zł.

UWAGA NA KANCELARIE FRANKOWE!

Ugody mają swoich przeciwników – to głównie kancelarie frankowe, które na sporach frankowych zarabiają krocie. Rynek pozwów frankowych jest wart co najmniej 3,5 mld zł. Opłaty wstępne mogą sięgać nawet 20 tys. zł, a success fee – kolejnych kilkudziesięciu tysięcy. Warto pamiętać, że kancelarie frankowe mogą przedstawiać klientom niejasne zasady wynagrodzenia lub zawyżone stawki za success fee. Z tego powodu od 2019 r. skierowano wiele zawiadomień do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. UOKiK ukarał część kancelarii za stosowanie w umowach niedozwolonych zapisów oraz wprowadzanie konsumentów w błąd. Problem ten dostrzegł również Rzecznik Finansowy.

Kancelarie frankowe od kilku lat uprawiają agresywny marketing. Prasa, Internet i media społecznościowe pełne są płatnych reklam zachęcających frankowiczów do pozwania banku i obiecujących im „pewną wygraną", „sfinansowanie procesu" albo „unieważnienie kredytu w 60 minut" (!).

Reklamy kancelarii frankowych nie tylko są sprzeczne z zasadami etyki, które obowiązują adwokatów i radców prawnych, lecz także naruszają one ustawę o ochronie konkurencji i konsumentów – są nierzetelne, udzielają niepełnych informacji i wprowadzają w błąd. A jednocześnie mają na celu zniechęcić frankowiczów do zawierania ugód i zachęcić do składania pozwów. Skłaniają więc konsumentów do nabycia usług, które wcale nie muszą odpowiadać ich potrzebom.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 831690520a

Z Anną Marią Siarkowską, posłem Suwerennej Polski
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nie będę bronić złej sprawy

FOT. CARLOS LUJÁN/AP/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Podczas głosowania w Sejmie nad ustawą o badaniu wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Polski jako jedyna parlamentarzystka Zjednoczonej Prawicy wstrzymała się pani od głosu. Dlaczego?

ANNA MARIA SIARKOWSKA: Przede wszystkim chcę podkreślić, że opowiadam się za identyfikacją wpływów wszelkich agentur na nasze życie społeczne, polityczne czy gospodarcze. Jednak ustanawianie prawa, które ma walczyć z rosyjskimi wpływami, nie może się dokonywać na podstawie rosyjskich standardów stanowienia prawa. I tak jak książki nie ocenia się po okładce, tak ustawy nie powinno oceniać się po tytule. Ta ustawa w kształcie przyjętym przez Sejm w żaden sposób nie przyczyni się do identyfikacji rosyjskich wpływów i walki z nimi, ale wprost przeciwnie – do destabilizacji wewnętrznej naszego państwa. Uznałam tego rodzaju działania za przeciwskuteczne i nie poparłam w moim przekonaniu złego rozwiązania.

Co konkretnie zarzuca pani tej ustawie?

Mam wobec niej kilka zasadniczych zastrzeżeń. Po pierwsze, komisja weryfikacyjna powołana na mocy ustawy w trakcie swoich prac nikomu niczego nie musiałaby udowadniać. Efektem jej prac będzie złożenie do prokuratury zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa, natomiast prokuratura będzie dopiero rozstrzygać, czy zawiadomienie jest zasadne czy nie. Tymczasem ustawa daje komisji możliwość karania osób, które zostałyby uznane za pozostające pod rosyjskim wpływem, bez uprzedniego rozstrzygnięcia przez prokuraturę i sąd, że te zarzuty są zasadne, poprzez zastosowanie wobec nich środków represji nazywanych w ustawie środkami prewencji. Mówię tu chociażby o zakazie pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi przez okres 10 lat. Kolejną sprawą, która budzi poważne wątpliwości, jest to, że decyzje komisji miałyby formę decyzji administracyjnych. Odwoływać się od decyzji komisji weryfikacyjnej można by więc tylko do sądu administracyjnego, który nie rozstrzygałby co do meritum sprawy, tylko oceniałby, czy zachowane zostały odpowiednie procedury. To ewidentne ograniczenie kilku zasadniczych praw przysługujących obywatelowi. Mamy tu do czynienia chociażby ze złamaniem zasady domniemania niewinności czy prawa do sprawiedliwego procesu, które przecież są podstawą funkcjonowania każdego demokratycznego państwa. To najistotniejsze mankamenty tej ustawy, ale oczywiście jest ich znacznie

eprasa.pl 831690520a

więcej. Dlatego też wstrzymałam się od głosu w ostatecznym głosowaniu, kiedy decydowaliśmy o dalszych losach weta Senatu. Chciałam w ten sposób pokazać dwie kwestie. Z jednej strony, że wspieram sam pomysł powołania komisji, która weryfikowałaby rosyjskie wpływy, ale z drugiej strony nie zgadzam się z zasadami, na jakich miałaby funkcjonować.

Czy po kilku istotnych poprawkach, które ostatnio wniósł prezydent Duda do tej ustawy, zmieniłaby pani zdanie czy nadal podtrzymuje pani swoje zastrzeżenia?

Zdecydowanie moja decyzja mogłaby być inna, gdyż poprawki wniesione przez prezydenta w znacznej mierze niwelują zarzuty, które są stawiane tej ustawie. Szkoda, że moi koledzy klubowi, gdy pracowaliśmy nad tą ustawą w grudniu i styczniu, nie zdecydowali się uwzględnić zgłaszanych przeze mnie uwag i nie zadbali o to, by stworzyć ramy dla tej ustawy z uwzględnieniem troski o wspólne dobro i o skuteczność stanowionego prawa. Niestety, zabrakło wówczas tej refleksji. Zamiast tego usunięto mnie z sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych. Myślę, że gdyby ówczesna decyzja moich klubowych kolegów byłaby inna, uniknęlibyśmy awantury, którą mamy obecnie, i wszystkich fatalnych konsekwencji, które spowodowało przyjęcie tej ustawy w nieprzemyślanym brzemieniu.

Bardzo szybki podpis prezydenta pod ustawą, a ledwie kilka dni później zmiana stanowiska przez głowę państwa tworzą wrażenie działania „łapu-capu", co musi narażać na szwank powagę jego urzędu...

Byłam zaskoczona decyzją prezydenta o szybkim podpisaniu tej ustawy. Przecież przyjęta została przez Sejm w piątek, a już w poniedziałek prezydent zadeklarował, że tę ustawę podpisuje i w trybie kontroli następczej kieruje ją do Trybunału Konstytucyjnego. Myślę, że to było duże zaskoczenie nie tylko dla polityków, lecz także wielu Polaków, którzy liczyli, że prezydent podzieli zastrzeżenia wobec tej ustawy i wprost skieruje ją do Trybunału Konstytucyjnego bez swojego podpisu. Zastrzeżenia wobec ustawy były formułowane przecież nie tylko przez partie opozycyjne, lecz także Rzecznika Praw Obywatelskich i środowiska konserwatywne, które wspierają Zjednoczoną Prawicę.

Tym środowiskom, o których pani mówi, raczej trudno zarzucić, że kamuflują rosyjską agenturę.

Dokładnie tak. Krytyka tej ustawy ze strony konserwatystów podyktowana

eprasa.pl 831690520a

była troską o dobro wspólne. Intencją tej krytyki było to, żeby podejmować takie działania związane ze zwalczaniem rosyjskiej agentury, by były one skuteczne, a nie przeciwskuteczne. Przy okazji tej sprawy widzimy, że jako Polska w zasadzie od 1989 r. mamy problem w tym obszarze. Wszelkie działania zmierzające do zdemaskowania rosyjskiej agentury w Polsce na ogół kończą się fiaskiem. Począwszy od sprawy lustracji czy dekomunizacji, gdzie po wielkich hasłach niewiele zostało.

Ta niemoc instytucji polskiego państwa dobitnie pokazuje, jak aktualnym problemem jest rosyjska agentura w Polsce, jak silnie jest ona u nas umocowana.

W tym kontekście trzeba postawić pytanie: Kto pisał tę ustawę? Kto rzeczywiście miał wpływ na jej ostateczny kształt? Kto odpowiada za kryzys polityczny, który mamy w następstwie przyjęcia tej ustawy zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i zewnętrznym? Jest reakcja Komisji Europejskiej, która grozi nam wstrzymaniem środków finansowych. Jest także rekcja administracji USA, naszego najważniejszego sojusznika w obszarze bezpieczeństwa, która niedwuznacznie sugeruje, że wojska amerykańskie stacjonują tylko w państwach, które stosują demokratyczne zasady i respektują prawa człowieka.

Nie napawa pani niepokojem bezceremonialna, żeby nie powiedzieć – brutalna forma krytyki formułowana w Brukseli czy Waszyngtonie? O ile w Polsce możemy spierać się do upadłego o demokrację i prawa obywatelskie, bo jesteśmy u siebie, o tyle arbitralne oceny Komisji Europejskiej czy administracji amerykańskiej polskiego ustawodawstwa wskazują wprost, że wiąże nas doktryna ograniczonej suwerenności. Polacy w swoim kraju mają coraz mniej do powiedzenia...

Niestety, można odnieść takie wrażenie. Przykro się na to wszystko patrzy. Zawsze staję po stronie Polski, jednak w tym wypadku jest to o tyle trudne, że merytoryczne zarzuty, które są stawiane tej ustawie, mają pokrycie w rzeczywistości. Co nie znaczy, że Unia Europejska czy Stany Zjednoczone powinny sobie rościć prawo do stanowienia prawa w Polsce. Niemniej musimy pamiętać o tym, że to Stany Zjednoczone decydują o tym, gdzie będą stacjonować ich wojska. To nam zależy, żeby Amerykanie utrzymywali swoje zaangażowanie w naszym regionie. Jeżeli chcemy, żeby USA nie przesunęły z powrotem swoich wojsk do Niemiec, to trzeba się liczyć z pewnym poziomem zależności, który musimy brać pod uwagę. W moim przekonaniu w tym wypadku powinniśmy jak najszybciej wycofać się ze złych rozwiązań. Nie bronić złej sprawy, tylko stworzyć takie prawo, które w sposób skuteczny pozwoli walczyć z obcymi wpływami w Polsce, w tym rosyjskimi, lecz według standardów, które są przyjęte w państwach demokratycznych.

Czy to w Polsce w ogóle możliwe, skoro – jak się wydaje – istotna część sceny politycznej zainteresowana jest utrzymaniem status quo i ani myśli walczyć z obcymi wpływami?

Wierzę, że to możliwe.

Na razie ustawa, która – co tu dużo mówić – miała być przed nadchodzącymi wyborami mieczem na opozycję totalną, stała się jej orężem...

No tak. Jak powiedziałam wcześniej, można tylko ubolewać, że moi klubowi koledzy nie chcieli zapobiegać katastrofie, którą jest przyjęcie tej ustawy. Zamiast jej zapobiec, teraz trzeba sprzątać mleko, które się rozlało.

Czy kryzys polityczny, z którym mamy do czynienia po przyjęciu ustawy o badaniu rosyjskich wpływów w Polsce, może zaważyć na wyniku jesiennych wyborów? Czy zaszkodzi Zjednoczonej Prawicy? Niektóre sondaże wskazują, że to możliwy scenariusz. Ponadto do wyborów pozostały ponad cztery miesiące, dużo może się jeszcze wydarzyć...

Awantura wokół tej ustawy przede wszystkim zniechęca wyborców, którzy nie stanowią twardego elektoratu Prawa i Sprawiedliwości, którzy są ludźmi centrum, wyborcami „do zagospodarowania". Z kolei odpowiadając wprost na pańskie pytanie: Czy ta ustawa sama w sobie wpłynie na wynik wyborów? Nie sądzę. Przeważy to, czy Zjednoczona Prawica będzie sobie chciała uświadomić to, że na własne życzenie sprokurowała kryzys polityczny, którym trzeba umiejętnie zarządzać, który trzeba jak najszybciej zażegnać, czy też będzie się nadal upierała przy tym, że żadnego kryzysu nie ma, że wszystko jest w porządku. Teraz priorytetem dla Zjednoczonej Prawicy powinno być uprawianie polityki „ciepłej wody w kranie", zwłaszcza że sprzyjają temu relatywnie dobre wyniki gospodarcze. To powinno być dyskontowane w kampanii wyborczej, a nie angażowanie się w sprawy, które z natury rzeczy są kontrowersyjne i mogą wywoływać protesty społeczne, co tylko będzie dostarczało paliwa opozycji.

Skoro mówimy o politycznym paliwie dla opozycji. Marsz, który przeszedł przez Warszawę 4 czerwca, może ponieść totalną opozycję do sukcesu w wyborach? Słowa Tuska, że po tym marszu „nic w Polsce nie będzie już takie samo", to tylko powiecowy efekt czy sygnał, że coś się w Polsce przełamało?

Nie odczytuję tego w ten sposób. Nie sądzę, że po marszu 4 czerwca nastąpiła w Polsce jakaś totalna zmiana, że to był punkt zwrotny. Jednak trzeba przyznać, że marsz był sukcesem frekwencyjnym opozycji, która zjednoczyła się pod przywództwem Donalda Tuska. Można powiedzieć, że 4 czerwca Platforma „zjadła" w dużej mierze swoje satelickie partie, zarówno PSL, jak i ugrupowanie Hołowni. Tusk zdołał skoncentrować wszystkich pod swoim sztandarem. Trzeba jednak pamiętać, że w przeszłości pielgrzymki Radia Maryja, marsz w obronie Telewizji Trwam czy organizowane przez prawą stronę sceny politycznej Marsze Niepodległości także były olbrzymim sukcesem frekwencyjnym. Reasumując, warszawski marsz opozycji z 4 czerwca w żadnym razie nie przesądza o losach rozgrywki politycznej, która toczy się w ramach obecnej kampanii wyborczej.

Można tylko ubolewać, że moi klubowi koledzy nie chcieli zapobiegać katastrofie, którą jest przyjęcie tej ustawy

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne

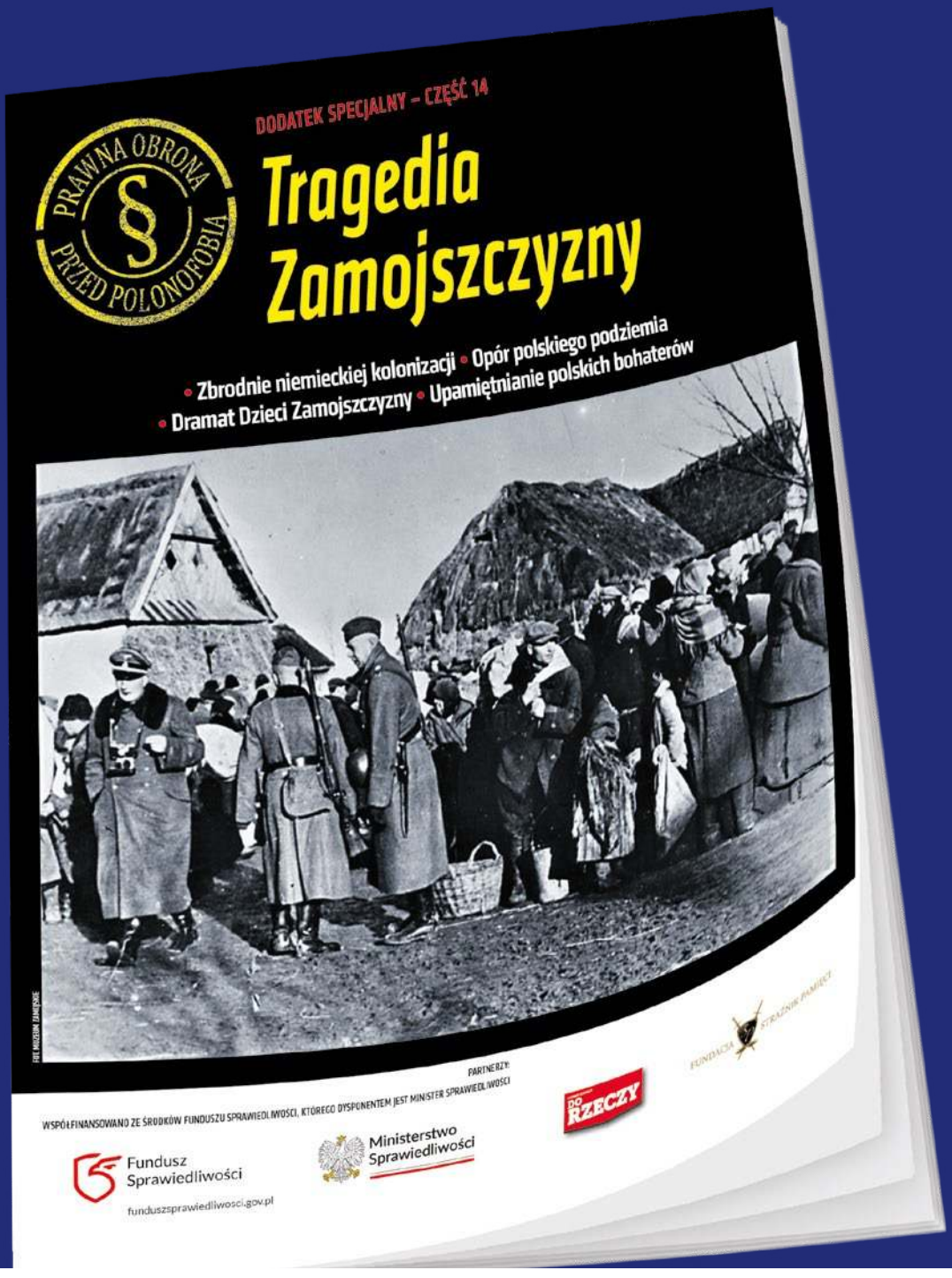

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 831690520a

Komisja do spraw rozrywki przedwyborczej?

Nie wiadomo, kto w PiS wpadł na pomysł powołania komisji do spraw badania rosyjskich wpływów FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Tomasz Rowiński

Z perspektywy jesiennych wyborów uruchomienie i działanie komisji do spraw badania rosyjskich wpływów może mieć bez porównania większe znaczenie niż marsz Donalda Tuska, który przeszedł ulicami Warszawy 4 czerwca

Po ostatnim tygodniu dwie największe partie mogą być zadowolone. Bardzo możliwe, że tym zadowoleniem właśnie należy wytłumaczyć brak bardziej zdecydowanej reakcji polityków PiS na tłumy, które przeszły ulicami Warszawy w pierwszą niedzielę czerwca. Pierwszy sondaż (pracowni IBRiS dla Radia Zet), opublikowany po „marszu Tuska" we wtorek 6 czerwca, wskazywał, że PO zyskała w krótkim czasie 3 punkty procentowe poparcia, PiS zyskał 0,5 punktu procentowego, a Konfederacja zyskała 2 punkty procentowe. Za to koalicja PSL i Polski 2050 (Trzecia Droga) straciła aż 3,5 punktu procentowego, a Lewica osunęła się o 0,5 punktu procentowego.

Sondażowe osuwanie się ugrupowań o mniejszym poparciu jest oczywiście w interesie dwóch dominujących partii, zwiększa też szanse PiS na to, że nie tylko wygra wybory, lecz także będzie mógł po raz kolejny rządzić. Nie jest wykluczone, że efektem marszu okaże się uruchomienie procesu spychania Trzeciej Drogi pod próg 8 proc. określony dla komitetów koalicyjnych, a Lewicy pod zwykły próg 5 proc.

NARZĘDZIE DO ROZGRYWKI

Tymczasem komisja do spraw badania wpływów rosyjskich może się okazać narzędziem rozgrywki o ostateczne zwycięstwo. Z sondażu przeprowadzonego przez United Survey dla DGP i RMF FM i opublikowanego także 6 czerwca wynika, że aż 71 proc. wyborców opozycji uważa, iż działania komisji mogą zaważyć na wyniku wyborów, choć równocześnie aż 72 proc. badanych było zdania, że ustalenia komisja nie będą wiarygodne. Jeśli chodzi o elektorat PiS, to 44 proc. ankietowanych uważa, że komisja może wpłynąć na wyniki wyborów, a 45 proc. uważa, że tak się nie stanie. Aż 80 proc. ankietowanych wyborców PiS uważa, że komisja i jej ustalenia będą miały wiarygodny charakter.

Wyniki te można różnie odczytywać, ale jedną z możliwych interpretacji jest ta, że elektorat opozycji postrzega działanie komisji jako potencjalny mocny strzał w stopę obozu rządzącego. „Mimo wszystko ta komisja nie będzie korzystna dla PiS, bo potwierdza pogląd, że politycy tej partii są odrealnieni – chcą poszukiwać

eprasa.pl 831690520a

rosyjskich agentów, zamiast się zająć tym, czym naprawdę żyją Polacy" – powiedział cytowany przez portal Forsal.pl poseł KO Arkadiusz Myrcha.

Jaka będzie wiarygodność powstającej komisji? Sprawa wydaje się być złożona. Ustawa powołująca komisję do życia została skrytykowana nie tylko przez komentariat związany z twardym jądrem opozycji, lecz także przez autorów postrzeganych jako polityczni symetryści, a nawet prawica. Prezydent Andrzej Duda ustawę o powołaniu komisji podpisał, ale skierował ją także do Trybunału Konstytucyjnego.

Dość szeroko jest przyjmowana opinia, że uprawnienia komisji są zbyt duże i w zasadzie umożliwiają nękanie dowolnych osób, które wskażą decydenci obozu rządzącego. Powołanie komisji jest odbierane także przez niektórych komentatorów jako wotum nieufności liderów z PiS wobec polskich służb, nad którymi przecież centroprawica sprawuje kontrolę. Wizerunkowo nie wzmacnia to partii Jarosława Kaczyńskiego.

„Jeśli rząd PiS miał wątpliwości, czy jakiś urzędnik pod wpływem rosyjskim działał na szkodę interesów Polski, to przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego mógł polecić to zbadać. Przecież premierem do spraw bezpieczeństwa był Jarosław Kaczyński, ministrem koordynatorem służb jest Mariusz Kamiński, działa ABW. To służby w razie zastrzeżeń powinny sprawę prześwietlić i ewentualnie zawiadomić prokuraturę" – mówił w grudniu 2022 r. poseł Koalicji Polskiej Marek Biernacki pełniący w przeszłości funkcję koordynatora służb specjalnych, a dziś pracujący w sejmowej komisji do spraw specsłużb.

MACIEREWICZ, NAIMSKI, CENCKIEWICZ?

Klimat, jaki panuje wokół komisji do spraw wpływów rosyjskich, sprawia, że przynajmniej względna wiarygodność komisji musi zostać zbudowana np. przez jakość jej pracy, pojawiające się w toku działań dokumenty, merytoryczny charakter przesłuchań. Dlatego ten projekt jest dla PiS tak trudny. Politycy nawykli są raczej do młócenia w mediach przekazów dnia, a nie pracy wymagającej, owszem, politycznego obycia, a także sprawności intelektualnej. Poza tym posłowie każdej partii już dziś przełączają się w tryb pracy w terenie, która może realnie przełożyć się na ich osobisty wynik wyborczy. Kto może zatem trafić do komisji? I kto w ogóle wymyślił tak ryzykowny projekt?

Jeśli chodzi o to drugie pytanie, to trzeba przypomnieć potencjalnie niezwykle inspirującą wypowiedź Donalda Tuska z jesieni zeszłego roku. „Wzywam do powołania sejmowej komisji śledczej po to, żeby nikt w Polsce nie mógł snuć domysłów, że tak naprawdę władza PiS została zamontowana przez rosyjskie służby, a dzisiaj takie domysły są uprawnione" – mówił na jednej z konferencji prasowych lider PO. Komisja do spraw wpływów rosyjskich nie jest wprawdzie sejmową komisją śledczą – działanie komisji określa osobna ustawa – ale deklarowany sens jej powstania został bardzo dobrze wyrażony przez lidera opozycji.

W PiS powstanie komisji do spraw wpływów rosyjskich mieli popierać sam premier Mateusz Morawiecki, a także prof. Krzysztof Szczucki, prezes Rządowego Centrum Legislacji, który jest uważany za człowieka Jarosława Kaczyńskiego. Rzeczywiście Szczucki był jedną z tych osób, które najbardziej zdecydowanie broniły w mediach społecznościowych projektu. Wśród architektów komisji wymienia się także wiceministra spraw zagranicznych Pawła Jabłońskiego. Czy jednak Szczucki lub Jabłoński znajdą się w komisji? Nie wiadomo. Szczególnie w przypadku tego drugiego wydaje się to mało prawdopodobne.

Kto może pokierować pracami nowej instytucji? Na karuzeli nazwisk pojawili się m.in. Antoni Macierewicz czy Piotr Naimski. Suwerenną Polskę miałby reprezentować Piotr Sak, ale to raczej nie jest kandydat na przewodniczącego. Znacznie bardziej wiarygodnie wygląda kandydatura prof. Sławomira Cenckiewicza, który choć w mediach społecznościowych deklarował, że „zupełnie się tym nie interesuje", wciąż pojawia się w medialnych spekulacjach. „Jest on uznawany w obozie rządzącym za najsilniejszego merytorycznie w tej tematyce i takiego, który jako jedyny byłby w stanie udźwignąć ciężar. Zwłaszcza że zajmuje się tematem od dawna. Nasi rozmówcy z PiS mówią, że nikt nie nadaje się do takiej komisji lepiej niż właśnie on. Cenckiewicz nie jest członkiem PiS, ale identyfikuje się z prawicą" – pisał o tym pod koniec maja Jacek Gądek na portalu Gazeta.pl.

Innego zdania jest jednak cytowany przez portal DoRzeczy.pl politolog Olgierd Annusiewicz, który twierdzi, że „komisja ma zniechęcić potencjalnych wyborców PO do głosowania na tę partię. Macierewicz czy Cenckiewicz nie będą wiarygodni dla nikogo poza elektoratem PiS". Jak będzie, wkrótce się przekonamy.

Dziś można przyjąć, że w pracach komisji nie weźmie udziału żaden reprezentant opozycji, która uważa projekt PiS za krok w stronę autorytaryzmu. Niewątpliwie uprawnienia komisji są bardzo szerokie i wzbudzają kontrowersje. Jednocześnie jednak portal Prawo.pl zwraca uwagę, że komisja nie jest całkowitą nowością, ponieważ ma działać na podobnych zasadach jak komisja weryfikacyjna do spraw reprywatyzacji warszawskiej. Będzie złożona z dziewięciu osób, niekoniecznie posłów, które otrzymają możliwość stosowania środków zaradczych z pominięciem drogi sądowej wobec tych, którzy zostaną wskazani jako podejrzani o uleganie wpływom rosyjskim. Teoretycznie działania komisji mają się skupiać na funkcjonariuszach publicznych i przedstawicielach wyższej kadry kierowniczej spółek. Jednak ustawa została tak sformułowana, że weryfikacji podlegać mogą dowolne osoby czy grupy społeczne, np. dziennikarze.

Komisja będzie miała m.in. możliwość na 10 lat cofnąć certyfikaty bezpieczeństwa, które dziś są wydawane przez szefa ABW. Będzie mogła też zakazać pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi. Za niestawienie się przed komisją grozić będzie grzywna 20 tys. zł (a za ponowne niestawienie się – 50 tys. zł).

Komisja będzie mogła wnioskować do policji o zabezpieczenie danych teleinformatycznych, a do prokuratury o przeszukanie domu i przechwycenie dokumentów.

Decyzje komisji będą mogły być zaskarżone do sądu administracyjnego, jednak biorąc pod uwagę tempo działania wymiaru sprawiedliwości, komisja bez trudności będzie mogła nadszarpnąć wizerunek danej osoby publicznej lub funkcjonariusza.

Biorąc to wszystko pod uwagę, można sądzić, że najważniejsza w projekcie komisji weryfikacyjnej do spraw rosyjskich wpływów jest potencjalna możliwość sparaliżowania działalności przeciwników politycznych w kluczowych okresach kampanii wyborczej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

Tropiciele urojonego faszyzmu

Zuzanna Dąbrowska

Najbardziej znana „antyfaszystowska" organizacja w kraju nie ujawnia źródeł swojego finansowania, a jej wpływy sięgają tak daleko, że potrafi doprowadzić do międzynarodowego skandalu, nieomal niszcząc wypracowaną przez lata karierę. O co chodzi „Nigdy Więcej"?

Rafał Pankowski, szef stowarzyszenia „Nigdy Więcej" FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Sławomir Mentzen jest liderem skrajnie prawicowej partii Konfederacja, powstałej w 2019 r. Według współzałożyciela partii Janusza Korwin-Mikkego, jej nazwa została zainspirowana Konfederacją Południa, która broniła niewolnictwa podczas wojny secesyjnej. Partia znana jest ze swojego skrajnego stanowiska wobec mniejszości etnicznych, migrantów i uchodźców, osób LGBT i praw kobiet" – czytamy w donosie do UEFA, wystosowanym przez „Nigdy Więcej". Stowarzyszeniu nie spodobało się, że jeden z najlepszych sędziów piłkarskich na świecie pojawił się na stricte biznesowej imprezie, organizowanej przez Mentzena właśnie (w wydarzeniu „Everest" w Katowicach brali udział także m.in. założyciel kanału na YT „Dla pieniędzy" oraz twórca znanej imprezy biegowej Runmageddon). W wystąpieniu Marciniak nie zająknął się na temat polityki, opowiadając o swojej ścieżce kariery. To jednak nie przeszkodziło „antyfaszystom", aby chcieć odebrać mu sędziowanie najważniejszego meczu w piłce klubowej, czyli finału Ligi Mistrzów.
– Jesteśmy zszokowani i zbulwersowani publicznym skojarzeniem Marciniaka z Mentzenem i jego odmianą toksycznej skrajnie prawicowej polityki. Jest to niezgodne z podstawowymi wartościami fair play, takimi jak równość i szacunek. Wzywamy sędziego do przyznania się do błędu. Jeśli tego nie zrobi, to uważamy, że UEFA i FIFA powinny wyciągnąć konsekwencje – stwierdził szef stowarzyszenia Rafał Pankowski.

Po parogodzinnej burzy, w którą zaangażował się m.in. minister sportu, UEFA zdecydowała, aby oszczędzić sędziego Marciniaka. Ten jednak musiał się pokajać. Pewne jest także, że Marciniak już nigdy więcej nie weźmie udziału w żadnym wydarzeniu nie tylko organizowanym przez polityka kojarzonego z prawicą, lecz także takim, w którym ów polityk występuje jako jeden z gości.

IDEOLOGIA CZY BIZNES?

Co chcieli osiągnąć rodzimi „antyfaszyści"? Wydaje się, że reputacja Szymona Marciniaka oberwała rykoszetem, ponieważ celem było napiętnowanie konkretnego środowiska. Nie chodziło o zniszczenie kariery sędziego, ale sprawienie, aby nikt, kto na poważnie myśli o mię-

eprasa.pl 831690520a

dzynarodowej karierze, nie odważył się przyznać, że wyznaje konkretne – w tym przypadku konserwatywno-wolnościowe – poglądy. Cancel culture w pełnej krasie – wykreślanie z przestrzeni publicznej osób o niewłaściwych poglądach.

Można zapytać, jak to możliwe, że de facto niewielka, funkcjonująca gdzieś na obrzeżach organizacja ma tak gigantyczny wpływ na wielką federację, jaką jest UEFA. – „Nigdy Więcej" i UEFA to biznesowa relacja. UEFA już lata temu postanowiła zapłacić stowarzyszeniu kasę, aby polowało na czarownice. I to może się wydawać śmieszne, ale długofalowe konsekwencje wizerunkowe są takie, że tego już się nie da odkręcić. Mam za sobą kilka lat doświadczeń z „Nigdy Więcej". Parę milionów złotych mnie to kosztowało. Za tym nie ma ideologii. To zwykły, perfidny biznes nastawiony na wyłudzanie kasy na takich właśnie mechanizmach – opowiadał w programie „Stan futbolu" były prezes Legii Warszawa Bogusław Leśnodorski. Działacz miał na myśli zainicjowaną w 1996 r. akcję „Wykopmy rasizm ze stadionów", w ramach której lewaccy aktywiści „usuwają ze stadionów faszystowską symbolikę".

„Naszym celem jest przeciwdziałanie rasizmowi, neofaszyzmowi, ksenofobii i dyskryminacji" – reklamuje się „Nigdy Więcej", wskazując jako swoją misję „promowania wielokulturowości i szacunku dla odmienności". Stowarzyszenie zostało założone w 1996 r. przez nieżyjącego już dziś Marcina Kornaka. Był niepełnosprawnym poetą, który utworzył w Bydgoszczy nieformalną Grupę Anty-Nazistowską. Później przyszły „Nigdy Więcej", magazyn o tej samej nazwie (Kornak został jego naczelnym) i krajowa rozpoznawalność. W 2011 r. Kornak został odznaczony przez ówczesnego prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w działalności na rzecz budowania społeczeństwa obywatelskiego, za osiągnięcia w podejmowanej z pożytkiem dla kraju pracy zawodowej i społecznej". Obecnie szefem stowarzyszenia jest Rafał Pankowski, socjolog i politolog, profesor nadzwyczajny Collegium Civitas w Warszawie. Występuje w ogólnopolskich mediach jako specjalista do spraw przeciwdziałania faszyzmowi.

Samo stowarzyszenie nie jest organizacją pożytku publicznego, a więc nie można przeznaczyć na nie 1,5 proc. podatku, nie ma też obowiązku publikowania sprawozdań finansowych. Rzecz jasna, mogłoby to robić, jednak na próżno szukać w sieci dokumentów pokazujących, z czego utrzymuje się ta skrajna organizacja. Skarbnikiem stowarzyszenia jest Zygmunt Pankowski.

WIELE KONTROWERSJI

Kontrowersji wokół organizacji jest wiele. Najgłośniejszą była sprawa Kameruńczyka Simona Mola, który w 2003 r. otrzymał od „Nigdy Więcej" tytuł Antyfaszysty Roku (przyznawany w latach 2002–2006; wśród nagrodzonych był też m.in. Jerzy Owsiak). Mol podawał się za uchodźcę politycznego, który jako powód represji w ojczyźnie wskazywał swój rzekomy dziennikarski dorobek. Cała jego historia była oparta na kłamstwie – matka Mola przekazała, że syn jedynie dorywczo pisywał do gazet, a po skończeniu szkoły zawodowej pracował w rafinerii. Zdementowała informację, jakoby w 1996 r. został aresztowany w czasie pracy nad artykułem dotyczącym skandalu korupcyjnego w kameruńskim rządzie. W Polsce jednak zrobił karierę. Był współpracownikiem Polskiej Akcji Humanitarnej, założycielem Teatru Uchodźców, współzałożycielem Stowarzyszenia Uchodźców RP i założycielem Stowarzyszenia Pisarzy Zagranicznych w Polsce. Był współpracownikiem w Instytucie Psychologii Stosunków Międzykulturowych przy Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie.

Kontrowersji wokół organizacji jest wiele. Najgłośniejszą była sprawa Kameruńczyka Simona Mola

Kilka lat po przyznaniu mu tytułu Antyfaszasty Roku na jaw wyszły skandaliczne fakty. W 2007 r. został zatrzymany w związku z zarzutami o zarażanie licznych partnerek seksualnych złośliwym szczepem wirusa HIV-1. W wywiadzie z jedną z zakażonych kobiet pojawiały się sugestie, że Mol miał być „fanatycznym muzułmaninem", który zarażając białe kobiety, chciał uderzyć w kulturę Zachodu. Z kolei „Gazeta Wyborcza" broniła Kameruńczyka, twierdząc, że zgodnie z afrykańską mentalnością mógł wyprzeć ze swojej świadomości fakt, iż jest chory. Zmarł w 2008 r. „Nigdy Więcej" nie przeprosiło za uhonorowanie człowieka, który wyrządził tak wiele krzywd.

Stowarzyszenie prowadzi też „Brunatną księgę", czyli „dokumentację zdarzeń na tle rasistowskim i ksenofobicznym oraz aktów dyskryminacji". Co ciekawe, dobór zdarzeń wpisywanych do raportu wydaje się kompletnie losowy – zapisano tam np. „pobicie bezdomnego mężczyzny" z 13 stycznia 2022 r., do którego miało dojść w Sędzioszowie Małopolskim. Napadnięty – Sławomir K. – zmarł. Tragedia, ale wątpliwe, czy o jakimkolwiek zabarwieniu rasistowskim. Zwłaszcza że ofiarą był Polak. W „Brunatnej księdze" opisano także białostocki „marsz negacjonistów epidemii koronawirusa". Do spisu trafił też metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski za słowa o „tęczowej zarazie".

FASZYZM UROJONY

„Nigdy Więcej" podpiera się autorytetami: „Jednym z pierwszych sympatyków i przyjaciół naszego Stowarzyszenia był Jacek Kuroń. Wsparcia w różnej formie udzielali nam też między innymi Jan Karski, Szymon Wiesenthal i Jerzy Giedroyc. Uznanie wyraził też osobiście prezydent USA Barack Obama podczas wizyty w Polsce w 2011 r.". Stowarzyszenie jest traktowanie poważnie. W 2018 r. jego szef, Rafał Pankowski, wziął udział w obchodach 500-lecia Reformacji w Niemczech, w których uczestniczyli też Barack Obama i Angela Merkel. O akcji „Wykopmy rasizm ze stadionów" Pankowski mówił wtedy tak: „To manifestacja istnienia Polski tolerancyjnej i otwartej".

Choć „Nigdy Więcej" obrało sobie za cel walkę z faszyzmem (przede wszystkim tym urojonym), to modus operandi stowarzyszenia nie odbiega od modelu funkcjonowania generalnie pojętych aktywistów. Jest on prosty, ale niezwykle skuteczny – najpierw wymyśla się problem, z którym następnie bohatersko się walczy. Wszystko po to, aby uzasadnić w oczach opinii publicznej celowość swojego funkcjonowania. Pytanie, za czyje pieniądze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

Zawody o prawdę

Sędzia Szymon Marciniak został posądzony o wspieranie skrajnej prawicy

FOT. JAKUB STRZELCZYK/EAST NEWS

Łukasz Zboralski

W sporcie najtrudniej ukryć to, że płeć istnieje i ma wpływ na wiele rzeczy. To dlatego tam bitwa z konserwatyzmem przybiera najbardziej zaciekłą postać

Jeden z najlepszych sędziów piłki nożnej na świecie – Szymon Marciniak – o mały włos nie został odsunięty od prowadzenia finału Ligi Mistrzów. Stowarzyszenie „Nigdy Więcej" rozpętało nagonkę i domagało się reakcji od UEFA wobec Polaka. Powód? Marciniak wystąpił na spotkaniu biznesowym „Everest", organizowanym przez Sławomira Mentzena z Konfederacji. Choć Marciniak mówił tam o swoim sukcesie zawodowym, to przylepiono mu łatkę człowieka, który samą obecnością wspiera skrajną prawicę (przypomniano, że Mentzen sprzedawał piwo White IPA Matters, które „kpiło z ruchu Black Lives Matter", oraz słowa polityka o tym, że Konfederacja nie chce Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej").

Marciniak oficjalnie oświadczył, że udział w „Everest" był błędem. „Pragnę serdecznie przeprosić za moje zaangażowanie i wszelkie przykrości lub szkody, które mogło ono spowodować. Po refleksji i dalszym zbadaniu sprawy stało się jasne, że zostałem wprowadzony w błąd, będąc całkowicie nieświadomym prawdziwej natury i powiązań dotyczących tego wydarzenia. Nie wiedziałem, że jest ono związane ze skrajnie prawicowym polskim ruchem. Gdybym był tego świadomy, kategorycznie odrzuciłbym zaproszenie" – napisał. Wytłumaczył się też UEFA.

To nie przypadek, że polityczny spór dotknął akurat sportu. W tym obszarze życia ideologia najmocniej zderza się z rzeczywistością. I widać, jak do niej nie przystaje.

SPORT JEST PRAWICOWY

Można powiedzieć, że sport jest z natury prawicowy do imentu. Wiele dyscyplin opartych jest po prostu na naturalnych fizycznych predyspozycjach ludzi. Ten, kto jest bardzo niski, siłą rzeczy nie zrobi wielkiej kariery w koszykówce. Choćby nie wiem, jak się starał, nie będzie też najlepszym blokującym siatkarskiej ligi. Trudno również proponować komuś o takiej budowie ciała uprawianie skoku wzwyż. Z kolei przekraczający dwa metry wzrostu nie robią kariery np. w sprincie.

Sport jest także maksymalnie nierównościowy. Po pierwsze, tu ktoś musi wygrać. To chyba najmocniejsze zderzenie z lewicowymi wizjami w świata, w których stawia się na współpracę między ludźmi, a nie rywalizację. Tymczasem rywalizacja jest esencją sportu. Bez niej nie istnieje. A jeśli są wygrani, to są i przegrani. I choć właściwie pojmowana przegrana – czyli to, że umie się ponosić porażki i chce się walczyć o to, by porażkę przekuwać w sukces następnym razem – nie jest niczym złym, to współczesna edukacja odwodzi dzieci od rywalizacji, by o nikim nie mówiono, że jest w czymś gorszy.

Rywalizacja sportowa oznacza też… segregację. Przecież tylko oddzielenie osób z niepełnosprawnościami od w pełni sprawnych daje im pole do pokazania, co

eprasa.pl 831690520a

mogą osiągać w różnych dyscyplinach. Tak samo oddzielenie kobiet od mężczyzn pozwala im odnosić sukcesy w dyscyplinach, w których zmieszanie ich z zawodnikami płci przeciwnej (wymieńmy choćby tylko boks czy podnoszenie ciężarów) oznaczałoby, że nigdy nie zajmą pierwszych miejsc.

Gdy zatem sport zderza się z lewicową ideologią – np. forsowaniem tego, że płeć istnieje tylko w wyobraźni i można sobie ją przybierać dowolnie – najwyraźniej widać, że teorie nie wytrzymują zderzenia z faktami. Najczęściej jest to po prostu śmieszne, choć coraz częściej także groteskowe.

OD CASTER SEMENYI...

Oczywiście sport odzwierciedla życie, więc od dawna rodziły się w tej sferze pewne problemy związane ze skrajnymi przypadkami. Najbardziej znanym była Stanisława Walasiewicz. W latach 30. – choć mieszkała w USA – była polską gwiazdą sportu, wielokrotną mistrzynią olimpijską w biegach. W 1980 r. została napadnięta na ulicy i postrzelona. Gdy zmarła, zgodnie z amerykańskim prawem wykonano sekcję zwłok i podano szokującą wiadomość: Walasiewicz była „mężczyzną". To nie była cała prawda, bo mistrzyni miała akurat i męskie, i żeńskie narządy płciowe, nie w pełni rozwinięte.

Niecałą dekadę temu mieliśmy do czynienia z podobnym przypadkiem. Wówczas w biegach na średnich dystansach kobiety zaczęła gromić Caster Semenya z RPA. Po złotym medalu na 800 m na mistrzostwach świata w 2009 r. w Berlinie media zaczęły spekulować o tym, że Semenya jest prawdopodobnie mężczyzną. Międzynarodowe Stowarzyszenie Federacji Lekkoatletycznych (IAAF) zawiesiło ją prawie na rok i zarządziło badania płci. Ich wyniki nie zostały nigdy upublicznione. Jedynie z nieoficjalnych przecieków do mediów wynikało, że Semenya nie ma ani macicy, ani jajników, za to cierpi na hyperandrogenizm, czyli ma trzykrotnie wyższy limit testosteronu w organizmie. W 2019 r. zabroniono jej startu na mistrzostwach świata w Katarze. „Nie chcemy jej odmawiać kobiecości, ale pod względem biologicznym Caster Semenya jest mężczyzną. Ma ogromną przewagę nad kobietami" – tłumaczył Jose Maria Odriozola, członek rady IAAF.

Problemy dotykały też startu zawodników z niepełnosprawnościami, którzy

Lia Thomas jako mężczyzna nie osiągała za wiele. Jako kobieta wygrywa pływackie zawody w USA FOT. REUTERS PHOTOGRAPHER

korzystali z protez nóg. Pierwszą głośną sprawą była ta sprzed ponad dekady, dotycząca biegacza Oscara Pistoriusa. Po jego startach naukowcy orzekli, że protezy dają mu dużą przewagę nad w pełni sprawnymi biegaczami. Starano się go więc wykluczyć z igrzysk w 2008 r. Trybunał arbitrażowy przy Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim uznał jednak, że Pistorius może brać udział w igrzyskach w Pekinie (ostatecznie nie uzyskał wyniku, który by go tam kwalifikował). Biegacz sam wyeliminował się ze sportu – zabijając swoją dziewczynę modelkę, za co został skazany na wieloletnie więzienie.

Sprawy wspomagania protezami wracają jednak co rusz. W 2014 r. Niemiec Markus Rehm, skacząc w dal i wybijając się z protezy nogi, został wykluczony z rywalizacji z pełnosprawnymi skoczkami. Z kolei trzy lata temu Trybunał Arbitrażowy do spraw Sportu (CAS) uznał, że Blake Leeper, biegając na specjalnych protezach, jest za wysoki i nie może rywalizować z pełnosprawnymi biegaczami.

... DO LII THOMAS

Obecnie największym problemem w sporcie stają się transpłciowi zawodnicy, a dokładniej rzecz ujmując: mężczyźni, którzy w pewnym momencie uznali, że są kobietami, i zaczęli odnosić niesamowite sukcesy w konkurowaniu z kobietami.

Najgłośniejszym przypadkiem jest sprawa Lii Thomas. Urodził się jako mężczyzna, wychował jako chłopiec, okres dojrzewania też przeszedł jako chłopiec. Dopiero pod koniec liceum, gdy – jak wyznawał – naczytał się historii transkobiet, zaczął kwestionować swoją tożsamość płciową. Zaczął używać nowego imienia i rozpoczął terapię hormonalną. To spowodowało, że nagle stał się pływacką gwiazdą akademickich zawodów w USA. Jako mężczyzna – a trenował pływanie od piątego roku życia – nigdy nie osiągał wielkich sukcesów. W wyścigach na 200 jardów plasował się w szóstej setce męskiego rankingu. Jako „kobieta" w tym samym wyścigu zajął piąte miejsce. Jako mężczyzna w wyścigu na 500 jardów był 32., jako „kobieta" – stanął na najwyższym miejscu na podium.

Władze federacji pływackich i federacja Word Athletics ogłosiły, że jako kobieta będzie mogła startować tylko taka zawodniczka trans, która rozpoczęła tranzycję przed okresem dojrzewania. Kobiety sportsmenki przyjęły te regulacje z pewną ulgą, natomiast środowiska LGBT okrzyknęły je dyskryminacją. „Jestem wniebowzięta i płaczę ze szczęścia, bo kobiety odzyskały swoje prawa" – komentowała te zmiany w „Times" wicemistrzyni olimpijska z Moskwy, Brytyjka Sharron Davies.

Transpłciowe kobiety pojawiają się jednak wciąż w wielu dyscyplinach. W ubiegłym roku srebrny medal na mistrzostwach USA w kolarstwie torowym zdobyła Leia Genis. Następnego dnia przedstawiciel US Cycling poinformował, że jej wynik zostaje unieważniony, bo nie powinna startować z kobietami.

Problem mężczyzn uznających się za kobiety przenika też coraz częściej do amatorskiego sportu. Tu jeszcze trudniej wprowadzać regulacje. W ubiegłym roku 29-letnia transkobieta pokonała 13-letnią dziewczynkę w zawodach skateboardingowych w Nowym Jorku. Wówczas pękła jedna z zawodniczek, Tylor Silverman, która w sieci opisała, że przegrała już kilka zawodów z transkobietą, a nie mogła o tym mówić, bo m.in. uciszali ją sponsorzy.

Najdobitniejszym podsumowaniem przypadków mężczyzn, którzy postanowili zostać kobietami i pokonują je w sporcie, był chyba happening brytyjskiego rapera Zuby. W 2019 r. nagrał film, jak staje przed sztangą i bez większego wysiłku w martwym ciągu podnosi 238 kg. „Podobno biologiczni mężczyźni nie mają przewagi fizycznej nad kobietami. No to patrzcie, jak NISZCZĘ rekord Wielkiej Brytanii w martwym ciągu kobiet. Oczywiście na czas bicia rekordu określam moją tożsamość jako kobiecą" – napisał.

Nie wszyscy jednak mają odwagę mówić o tym wprost, a niektórzy spotkali się z ostracyzmem. Martina Navratilova, wielokrotna mistrzyni turniejów tenisowych, nie ukrywa, że jest homoseksualna i walczy o prawa mniejszości seksualnych. Jednak gdy otwarcie stwierdziła, że dopuszczanie transkobiet do zawodów z kobietami to oszustwo, została okrzyknięta w prasie jako „transfobka".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

Piękna choroba

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

KRZYSZTOF MASŁOŃ
„KLĄTWA SPRZECZNOŚCI"
ZYSK I S-KA 2023

O trzydziestu trzech pisarzach, którzy odcisnęli silne piętno na literaturze polskiej ostatniego stulecia, pisze Krzysztof Masłoń w wydanej właśnie „Klątwie sprzeczności", kontynuującej prezentację znaczących, a także zapomnianych postaci naszego narodowego piśmiennictwa, której dokonał w wydanych wcześniej książkach: „Od glorii do infamii" (2015) i „W pisarskim czyśćcu" (2017). Jak poprzednie, i ta pozycja ukazała się nakładem Wydawnictwa Zysk i S-ka. Pierwodruk wszystkich tekstów składających się na ten bardzo osobisty obraz XX-wiecznej literatury miał miejsce na łamach „Do Rzeczy" i „Historii Do Rzeczy"

Profesor Stefan Grajek, kardiolog, skądinąd autor „W poszukiwaniu utraconego smaku", skonstatował: „»Klątwa sprzeczności« to bolesne rozdarcie między wyborami etycznymi powikłanego życia a jakością artystyczną literackiego dzieła, między prawością a konformizmem, między zasadą a wyjątkowością. Autor nie osądza, stara się zrozumieć, przytacza fakty, które znać trzeba. Jest jak dobry lekarz, daje zapis choroby, ale nie gorszy się ani nie panikuje z powodu stanu pacjenta".

Przypominamy fragmenty siedmiu szkiców pomieszczonych w książce, informując, że wśród innych bohaterów i antybohaterów sportretowanych przez Krzysztofa Masłonia w „Klątwie sprzeczności" są m.in.: Ernest Bryll, Jan Himilsbach, Sławomir Mrożek, Jan Józef Szczepański i Aleksander Wat.

eprasa.pl 831690520a

RYS. 12 KREDEK/JAN

POZY WITOLDA GOMBROWICZA

Uważał się, bezwarunkowo, za geniusza, a że świat stosunkowo opornie przyjmował to do wiadomości, to jedynie dlatego – jak pisał – „żem pochodził z kraju szczególnie obfitującego w istoty niewyrobione, poślednie, przejściowe, gdzie na nikim żaden kołnierzyk nie leży, gdzie nie tyle Smęt i Dola, ile Niezguła z Niedojdą po polach snują się i jęczą". Trudno w pisarzu z takiego kraju doszukiwać się geniuszu.

Stało się wszakże, że to właśnie w tym kraju, w upośledzonej ojczyźnie owego pisarza, uznano go za alfę i omegę, krynicę mądrości wszelakiej, a jeśli kto chce, to i za wieżę z kości słoniowej. Nawet ci nieliczni, którzy zachowywali umiar w entuzjazmie wobec tego, co pióro jego wieczne na świat wydało, a i co on sam orzekł albo czego nie orzekł, plackiem padali przed gombrowiczowskością.

Ale czy naprawdę musimy bić pokłony przed „Dziennikiem"? Wojciech Tomczyk, który w swoim pisarstwie zmagał się z Gombrowiczem, i to wielokrotnie, ze szczególnym uwzględnieniem „Ferdydurke", sławny Gombrowiczowski zapis: „Poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – ja, czwartek – ja" zderzył z inną znaną „deklaracją ideową" – Edwarda Stachury: „Czas umarł na czas. Ja umarło na ja. Nie ma ja. Się jest. Się jest się. Się jest duch. Się jest nikt" i dopowiedział (w „Teologii Polskiej Co Tydzień" 37/2016), co następuje: „Te dwa cytaty opisują, nawet z pewnym naddatkiem, horyzonty i strategie współczesnej polskiej prozy. Przy tak określonych celach i środkach nie są potrzebne żadne lekarstwa, nawet aspiryna. Nie mówiąc o pigułkach Murti-Binga. Przecież samym sobą można się zabawiać całe życie, a słowem się wysławiać drugie tyle".

Co do mnie, powiem tu najwyraźniej, jak mogę: za najważniejsze dzienniki w literaturze polskiej zeszłego wieku uważam „Dziennik pisany nocą" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, a w dalszej kolejności „Dzienniki" Marii Dąbrowskiej, wsparte, przy dziesiątkach zastrzeżeń, „Dziennikami" Stefana Kisielewskiego. Gombrowicz jest dla mnie autorem „Trans-Atlantyku" i „Ślubu". Żal mi kolejnych roczników młodzieży, której bynajmniej nieprzekonani co do racji głoszonych prawd poloniści wmawiają, że mają kochać Gombrowicza i zachwycać się „Ferdydurke", a jak już się pozachwycają tak, że ze szczęścia womitować będą, niechaj sięgną do „Dzienników". Tylko z czcią należną, na kolanach. A w życiorys naszego geniusza niech lepiej się nie wczytują, a może inaczej – niech czytają, ale pod kierunkiem światłych przewodników, bo inaczej będzie bieda.

Jego twórczość to jeden wielki ciąg opowieści o zniewoleniu przez sytuacje, w których się znajdujemy. I o konwencjach, które zwalczamy, posługując się niczym innym, a konwencjami właśnie. W jego życiu najwięcej było pozerstwa, w książkach jadu. I taki jest jego tytuł do wielkości.

POZDROWIENIE ZOFII KOSSAK

Na emigracji Zofia Kossak przebywała od 1945 do 1957 r. Nie był to dla niej czas łatwy, choć udało się jej połączyć z mężem i synem Witoldem, którzy znaleźli się w Armii Andersa. „Polski Londyn" przywitał za to pisarkę jak najgorzej. Pod artykułem pomieszczonym w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza" wydrukowano przypis o tym, że była osobistą sekretarką Bolesława Bieruta. Zofia Kossak nie prostowała tego kłamstwa, ufając, że nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzy w nie. Myliła się. Pomówienie to wracało do niej jak bumerang, zrażając do środowiska emigracyjnego. Ponieważ dzięki zagranicznym edycjom jej książek otrzymała dużą, jak na tamte warunki, sumę pieniędzy, wraz z mężem weszli do spółki, która zakupiła w Kornwalii farmę hodowlaną Trossel Cottage. Sami zamieszkali tam i ciężko pracowali fizycznie. Po latach czytelnikom „Dziennika Polskiego" opowie: „Oporządzałam świnie, mąż doił krowy". W 1951 r. wspólnicy wycofali się z interesu; Szatkowscy zmuszeni zostali do sprzedaży większej części farmy, gospodarując odtąd na 40 akrach i pracując po 16 godzin dziennie. Z najwyższą trudnością Zofia Kossak znajdowała czas, by pisać artykuły do londyńskiego tygodnika religijno-kulturalnego „Życie" oraz słuchowiska i pogadanki dla Radia Wolna Europa.

RYS. 12 KREDEK/JAN

W kraju tymczasem z furią zaatakował jej wspomnienia z Auschwitz („Z otchłani") Tadeusz Borowski, twierdząc, że zafałszowała rzeczywistość obozową, a to dlatego, że za drutami należała do uprzywilejowanej kasty. Po tym, gdy odmówiła zmiany swoich zeznań na temat więźnia Auschwitz, lekarza Władysława Deringa, oskarżonego o współpracę z Niemcami, pozbawiono ją praw obywatelskich. A jej książki, jak za hitlerowskiej okupacji, znów wycofano z księgarń i bibliotek. I pomyśleć, że w październiku 1945 r. Polska Akademia Umiejętności w Krakowie przygotowywała wniosek o wysunięcie kandydatury Zofii Kossak do Literackiej Nagrody Nobla.

Pisarka zachowała głęboki żal do emigracji, niektóre z jej poczynań uważając za głęboko niesłuszne, jak choćby uchwałę Związku Polskich Pisarzy na Obczyźnie zalecającą żyjącym na uchodźstwie ludziom pióra nieogłaszanie w krajowych wydawnictwach swoich utworów, dawnych i nowych. Bardzo tęskniła do Polski, ale oburzały ją działania władz komunistycznych, szczególnie represje wobec hierarchów Kościoła i w ogóle ludzi wierzących.

Niemniej po Październiku '56 odliczali już Szatkowscy dni do wyjazdu; jeszcze tylko sprzedali ziemię, inwentarz, pożegnali się z pozostającymi za granicą krewnymi i znajomymi i z radością powrócili do kraju. Gdzie 21 lutego 1957 r. już na początku zetknęli się z murem.

eprasa.pl 831690520a

Oto udzielając na lotnisku pierwszego wywiadu dla Polskiego Radia, wzruszona Zofia Kossak zwróciła się do słuchaczy „z tysiącletnim polskim pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Zdanie to zostało wycięte przez cenzurę.

NIEPOKOJE STEFANA KISIELEWSKIEGO

W „Cieniach w pieczarze" z 1971 r., przywołując Borysa Pasternaka, pisał: „Przetrzymał i wygrał, jako że, o paradoksie, czy o logiko, w kolektywizmie wygrać może tylko jednostka, nigdy grupa". To była druga powieść Kisiela, którą, po „Widzianym z góry", opublikował w Instytucie Literackim w Paryżu u Jerzego Giedroycia – pod znaczącym pseudonimem Tomasz Staliński. Nawiasem mówiąc, u tego samego redaktora, tyle że w „Buncie Młodych", debiutował w 1936 r.: recenzjami muzycznymi i artykułem „Terroryzm ideowy". O książkach, które firmował jako Tomasz Staliński, autor mówił: „Chciałbym komunizm utrwalić, bo przeminie i nikt nie będzie wiedział, co to było!". Miał rację, dziś wśród mądrzących się na temat tego, czym była PRL, ewidentnie przeważają ci, którzy książek Stalińskiego nie czytali.

A było ich pięć: oprócz już wymienionych „Romans zimowy" (1972), „Śledztwo" (1974) i „Ludzie w akwarium" (1976). Bezpieka dokładała starań, by zidentyfikować autora świetnie znającego kulisy komunistycznej polityki. Podejrzewać można, że w końcu Kisiela namierzono, ale był to już inny czas i pisarz przestał się ukrywać pod pseudonimami. Wydaną w 1982 r. u Giedroycia „Podróż w czasie" podpisał już własnym nazwiskiem, podobnie jak opublikowaną sześć lat wcześniej w Londynie „Przygodę w Warszawie", swoją drogą drukowaną w odcinkach w „Tygodniku Powszechnym" jeszcze w 1959 r.

RYS. 12 KREDEK/JAN

Dwa miesiące przed śmiercią powiedział Piotrowi Gabryelowi, niejako podsumowując swoje wieloletnie „wołanie na puszczy" czy „bicie głową w ścianę" (tak tytułował cykle felietonów): „Boję się, że zmarnowałem życie. Z jednej strony moje akcje polityczne przyniosły pewien rezultat, z drugiej – wszystko to stałoby się również beze mnie. Dalej: w swoich książkach opisywałem głównie komunizm i marksistów – to było, według mnie, najciekawsze dziwactwo naszych czasów. Cóż z tego jednak, skoro w tej chwili to nikogo już nie interesuje, zostało zapomniane. A takie typy jak Kliszko, Strzelecki, Gomułka – dla mnie najosobliwsze twory, jakie chodziły pod słońcem – nikogo teraz nie zajmują. Zapomniano o nich i o tym, że miliony ludzi dawały im się robić w konia. Boję się więc, że w czarną dziurę niepamięci wpadnie również moja twórczość, tamtych dziwnych czasów i ludzi dotycząca. Trzecia rzecz, której się boję, to żeby z Polską nie stało się coś niedobrego, ale to już, oczywiście, bez mojego udziału".

Słowa te przypominają mi jedyną moją dłuższą rozmowę ze Stefanem Kisielewskim z roku 1988. Dotyczyć miała muzyki, a powodem do niej był wyjazd Teatru Wielkiego do Wilna, gdzie z powodzeniem wystawił „Straszny dwór" Moniuszki i „Jadwigę, królową polską" Karpińskiego. Do stolicy jeszcze sowieckiej Litwy zaprosił Kisiela ówczesny dyrektor warszawskiej opery Robert Satanowski. Ale wileńskie występy i gorące przyjęcie przez tamtejszych Polaków skwitował jednym słowem: „Wzruszające", długo i z wyraźnym przejęciem mówił za to o perspektywach dla Litwy, w tamtym czasie już mocno wzburzonej na moskiewskiego okupanta, o Polsce nie zapominając. I też dawał wyraz swoim niepokojom, stawiając duży znak zapytania o przyszłe stosunki Rosji z Niemcami, które zawsze uważał za najważniejsze dla nas. „Tak czy inaczej – sentencjonalnie zakończył naszą rozmowę czy raczej swój monolog – i w tej, i w innych sprawach zawsze skończy się na Niemcach".

Kiedy rok później upadające władze PRL postanowiły odznaczyć go medalem „Za wojnę obronną 1939", zwrócił uwagę, że brał udział w „wojnie polsko-niemieckiej", a nie żadnej innej.

SPRAWDZIAN BOHDANA CZESZKI

W latach 1965–1980, przez cztery kadencje, był posłem na PRL-owski Sejm. Trochę z tego dworowano. Krzysztof Mętrak w swoim „Dzienniku" zapisał: „Janusz Wilhelmi do Bohdana Czeszki: Będziesz Bodziu posłem w nowej kadencji? – Jak mnie wybiorą. – A kto miałby cię Bodziu wybrać? – Choćby i naród".

Jego „Pokolenie" – po części za sprawą Andrzeja Wajdy, który je sfilmował – całkowicie niezasłużenie wyniesione zostało na ideowe i artystyczne wyżyny. A rzecz jest trywialna, nachalna propagandowo, momentami ohydna. Jak wtedy, gdy Czeszko tak np. podsumowuje powstanie, w którym w końcu też walczył jako sierżant w AL-owskim batalionie szturmowym „Czwartacy". Jak czytamy, po kapitulacji powstania przyszłość najbliższa – dla bohaterskich AL-owców z „Pokolenia" – „rysowała się smutno. Przewidywali jesienne szarugi, które towarzyszyć będą głodowi i tułaczce. Wolność przystanęła w marszu. Wiedzieli, że nie ruszy ofensywa, zanim zostanie przygotowana i zanim lód skuje szerokie wody na Wiśle. »Bór« uścisnął dłoń junkra von dem Bacha. Dwaj arystokraci, dżentelmeńscy oficerowie starej daty, uśmiechnęli się do siebie jak po nocy spędzonej przy grze. Jeden z nich nie miał passy. Do dobrego tonu należało porażkę skwitować uśmiechem. W kancelariach zgrupowań powstańczych wypłacono stojącym w ogonkach żołnierzom po cztery tysiące złotych lub dziesięć dolarów. Piętnaście centów za dzień powstania.

Obliczano, że w Warszawie ćwierć miliona ludzi zostało zabitych. Stacho i Jurek uniknęli twardych doświadczeń, jakie były udziałem tych, którzy przeżyli warszawski exodus.

Starając się jak najciszej zanurzać pióra wioseł, przecinali Wisłę. Gdy osiągnęli drugi brzeg, Jurek obejrzał się. Rzeka, zabarwiona ogniem, płonęła czerwono i groźnie, tak jakby nigdy już nie miała zalśnić utopionymi w niej klingami srebrnego światła latarń, oświetlających spokojne bulwary.

Jurek odwrócił głowę. Przed nimi daleko w mroku płonęło kilka pożarów, wznieconych na polskim brzegu przez

eprasa.pl 831690520a

RYS. 12 KREDEK/JAN

artylerię niemiecką. Widok ten nie był posępny. Dla nich były to ognie wolności".

Naturalnie, wolność tę postrzegali jedynie świadomi komuniści i ich sympatycy. Tacy jak ci, których w powieści Czeszki pouczał niejaki Sekuła:

„– Katyń to było wielkie zagranie tej kulawej małpy – Goebbelsa. Ale czy wiesz, co to dla nas jest Katyń? To jest sprawdzian. Każdego Polaka możesz zapytać, co sądzi o Katyniu, nie dekonspirując go przed nim. Człowieka w tramwaju możesz zapytać. Jeśli powie: »To zrobili Rosjanie« – odejdź, masz do czynienia z wrogiem lub idiotą, jeśli powie: »To robota gestapo«, pogadaj z nim, choćby nie był nam bliski, może zyskasz człowieka, jeśli nie dla Partii, to na pewno dla Frontu Narodowego".

DEKORACJE JANUSZA GŁOWACKIEGO

Pisarsko pożegnał się z nami wydaną już pośmiertnie, w 2018 r., „Bezsennością w czasie karnawału". Pozornie było w niej to wszystko, za co polubili go czytelnicy: osadzenie we współczesnych realiach, celność obserwacji, barwny język, ironia z sarkazmem pospołu, dowcip. Że jednak żyjemy w społeczeństwie niesłychanie rozpolitykowanym, to i Głowa dał się ponieść politycznym emocjom, z fatalnym dla „Bezsenności…" skutkiem.

Wspomnienia Głowackiego są, jak można było się spodziewać, odpowiednio nasycone barwami; zdziwiła mnie wszakże pomieszczona na marginesie tego opisu następująca refleksja: „W dwudziestym pierwszym wieku, mimo że to początek, u nas same wątpliwości. To znaczy to, jak pić denaturat, żeby nie oślepnąć, wie każde dziecko, ale kto spalił kogo w Jedwabnem – Polacy Żydów czy Żydzi Polaków – to już niekoniecznie, żeby nie wpuszczać uchodźców, bo roznoszą wszystko, co najgorsze, to wiadomo, ale gdzie i jak umarł Mickiewicz, i za co, to już nie". No cóż, w sławnym poemacie „Moskwa – Pietuszki" Wieniedikta Jerofiejewa podobne przemyślenia brzmiały tak (w przekładzie Andrzeja Drawicza): „Sposobu oczyszczania politury nie będę wam przypominać, bo zna go każde dziecko. W Rosji nikt dlaczegoś nie zna przyczyny śmierci Puszkina, natomiast sekret oczyszczania politury znają wszyscy". Nie ukrywam, że wersja rosyjska – nie tylko dlatego, że wcześniejsza – podoba mi się bardziej, zwłaszcza w oryginale, w którym mowa jest – jeśli dobrze pamiętam – nie o denaturacie, nie o politurze, a o zwieroboju.

Głowacki przez lata przyzwyczaił nas, że swoim niepowtarzalnym poczuciem humoru potrafi zrównoważyć nawet swoje najbardziej ryzykowne pomysły. Któż nie pamięta, jeśli nie z opowiadania, to z filmu Wajdy „Polowanie na muchy", brawurowej sceny, w której synek bohatera opowiada o tym, jak dziadziuś pierdnięciem uratował Armię Andersa. No, był w tym cały beznadziejny antypatriotyzm tzw. szkoły polskiej, ale można było tę scenę odebrać jako parodystyczną, a wreszcie była nieodparcie śmieszna, a śmiech jak nic innego potrafi rozładować nawet najbardziej stężałą atmosferę. W „Bezsenności w czasie karnawału" nie jest już śmiesznie, wręcz przeciwnie. Bo jakoś dziwnie nie śmieszą kpinki z prezydenta (nie tego, którego popierał), przetykane po raz tysięczny cytowanym Himilsbachem, a na koniec opis snu z jakże wdzięcznymi dwuwierszami: „Dziś są Żydów imieniny, niech się palą skurwysyny!", „Jarosław, Polskę zbaw!", „Cała Polska śpiewa z nami, wypierdalać z uchodźcami!", „Żydzi, zwróćcie pieniądze za gaz!".

RYS. 12 KREDEK/JAN

I już nie umiem po tej książce pisać o Głowie jak kiedyś, z ogromną przyjemnością i podziwem, czasem chyba bezkrytycznie, ale to był w naszej warszawskiej rzeczywistości ktoś wyjątkowy. Dlatego dalej przykro mi słuchać – a i czasem czytać – o jego nie za pięknych czynach. I dlatego też nie piszę o nich, na koniec raz jeszcze oddając głos samemu pisarzowi, który w 2007 r. wydany przez Świat Książki tom swoich sztuk poprzedził wstępem zatytułowanym „Ściągawka", z takim oto finałem: „[…] chciałem zwrócić uwagę, że zebrane tu sztuki są całkiem dobrze rozumiane i grane w kilkudziesięciu krajach. Także w tych, w których nie zawsze cała widownia ma pewność, gdzie leży kraj nasz. Można więc odnieść wrażenie, że ja niekoniecznie piszę tylko i wyłącznie na przykład o Polakach, Rosjanach czy Portorykańczykach, ale trochę bardziej ogólnie, o ludziach. A Warszawa, Moskwa czy Nowy Jork to tylko dekoracje, między którymi ktoś sobie chodzi".

ŁASKA PAWŁA HERTZA

W Wikipedii, w poświęconym Pawłowi Hertzowi haśle, przeczytać można krzywdzącą go opinię Mariana Brandysa z 1978 r.: „Im się pozwala na mówienie takich rzeczy, jakich nie ścierpiałoby się od rdzennego polskiego oenerowca, bo nie traktuje się tego na serio. Ale już najwyższy czas, by to traktowanie zmienić, bo Krzeczkowski [Henryk – przyp. K.M.] i Hertz stali się najbardziej zdecydowanymi wrogami i paszkwilantami demokratycznej opozycji". Skąd ta hunwejbińska wypowiedź, wzmocniona sądem Andrzeja Kijowskiego o Hertzu – „wytwornym pięknisiu i snobie"? Z bardzo krytycznego stosunku do KOR, w którym z miejsca dostrzegł chęć do podporządkowania sobie opozycji wszelkiej maści. Wcześniej dystansował się od takich działań, jak List otwarty do Partii Kuronia i Modzelewskiego: „Rewizjonizm dość mnie odpychał, był postawą uczuciową, która wystawiała może najlepsze świadectwo poszczególnym osobom. Wychodziłem z założenia, że gesty w kraju podbitym są stratą sił. Zwłaszcza że były to gesty w obronie środowiska wyobcowanego z ogółu narodowego".

eprasa.pl 831690520a

Nie przeceniał marca 1968 r., do czego może – zastanawiał się – „przyczyniło się także to, że nigdy nie ukrywałem żydowskiego pochodzenia mojej rodziny. Nie zmieniałem nazwiska rodowego i nie miałem kompleksu antysemickiego, rozumiałem bowiem i rozumiem, że w swojej grzeszności i ułomności jedni ludzie nie zawsze miłują drugich". Rangę powstania Solidarności docenił, ale nie pchał się do rozmaitych komitetów eksperckich i ciał porozumiewawczych, jako że zawsze bliżej mu było do „spokojnej i rozumnej mniejszości".

Lewica laicka go nie znosiła, jak utrzymywał, jeszcze od czasów przedwojennych, kiedy to – opowiadał – „na prośbę współpracownika redakcji »Buntu Młodych«, Pawła Zdziechowskiego, którego nie pamiętam już, jak i kiedy poznałem, i z którym kilkakrotnie rozmawiałem, napisałem, jak tego chciał mój rozmówca, co myślę o modnej wtedy tak zwanej poezji proletariackiej. Nie były to myśli pochlebne, nade wszystko jedno zdanie, że rzecz bardziej nadaje się dla prokuratora niż dla krytyka literackiego, wywołało oburzenie. Sprawę trzeba traktować we właściwych proporcjach małego i zamkniętego środowiska. Naruszyłem jednak tabu tego środowiska, musiały więc spaść na mnie sankcje. Antoni Słonimski udzielił mi złośliwej nagany w jednej ze swoich kronik w »Wiadomościach Literackich«, a wielu tak zwanych intelektualistów lewicowych nie odkłaniało mi się na ulicy – jako zwykle najmłodszy kłaniałem się pierwszy. Byłem niezależny, nie miało to więc większego dla mnie znaczenia. Myślę, że w znacznym stopniu rozdrażniło tych ludzi, że podobne poglądy wypowiedział ktoś, kto w ich mniemaniu powinien ze względu na swoje pochodzenie być lewicowy, postępowy, awangardowy i tak dalej. A tu tymczasem wszystko było przeciwnie".

RYS. 12 KREDEK/JAN

W dzienniku publikowanym w 1982 r., w „Zeszytach Literackich", zapisał, że najważniejszym momentem jego życia był chrzest, który „może nie tyle mnie zmienił, ile ustawił na zawsze poczucie ciągłego długu wobec Boga, ludzi i samego siebie". A w wywiadzie rzece z Barbarą N. Łopieńską, 15 lat później, wskazał na trzech księży: Janusza Pasierba, Wiesława Niewęgłowskiego i Jacka Salija, których – powiadał – „przyjaźń, dobroć i wyrozumiałość sprawiły, że łaska nawrócenia, która spadła na mnie w pewnej chwili mojego życia, stała się radością w jej ziemskim, bezpośrednim wymiarze […]".

RECEPTA WŁODZIMIERZA ODOJEWSKIEGO

Z całą pewnością Włodzimierz Odojewski był pisarzem poważnym. Jego przeciwnicy utrzymywali, że pozbawiony był poczucia humoru. Mogę zaświadczyć, że to nieprawda, ale w tym, co pisał, trudno było doszukać się choćby nuty przekory. Owszem, bywał – i to często – liryczny, niekiedy – patetyczny, nader często – dramatyczny, a bywało – na co wskazywała Magdalena Rabizo-Birek – że elegijny. Ale nie szyderczy, a i nie groteskowy. Pytany o tę ostatnią pisarz mówił: „Nigdy nie czułem pociągu do groteski. Nigdy też nie miałem pokusy pisania pod [Witkacego, Mrożka, Gombrowicza – przyp. K.M.]. W Polsce co trzeci piszący pisze dziś pod Gombrowicza. Okropność! Byłem zawsze za zapisem świata takiego, jakim jest. Jest dostatecznie ciemny i niezgłębiony. Nie trzeba go jeszcze deformować i udziwniać".

Osobiście o hekatombę wołyńską pisarz, jako się rzekło, tylko się otarł. Jego późniejsze książki, a także liczne wypowiedzi publicystyczne sprawiły jednak, że uchodzić zaczął za specjalistę od stosunków polsko-ukraińskich, do tego mocno niepoprawnego. W 2001 r. w wywiadzie, który z nim przeprowadziłem, mówił, że Ukraińcy, a szczególnie ukraińska diaspora w Ameryce, wciąż hołdują „ideom, nad którymi ciąży cień Dymitra Doncowa, teoretyka nacjonalizmu ukraińskiego, groźnej odmiany faszyzmu. Współpraca z nazistowskimi Niemcami w dorżnięciu kresowych Żydów w latach 1941–1942, wyczyny hajdamackie wiejskich band nacjonalistycznych wśród ludności polskiej w następnych latach, a później zbrodnicze działania UPA, wszystko to jest coraz bardziej, w miarę jak czas zaciera kontury pewnych wydarzeń, przystrajane w szatki dumnej i szlachetnej walki wyzwoleńczej. Oczywiście, to była walka wyzwoleńcza, ale… jakimi metodami i za jaką cenę prowadzona! Duża część mniejszości ukraińskiej zamieszkałej w Polsce, w każdym razie jej inteligencji, każdego, kto tylko głosi trochę inne niż ona poglądy na temat tego, co na Wołyniu i Podolu zdarzyło się w latach 1939–1945, a nawet do 1947 roku, nazywa »ukrainożercą«".

RYS. 12 KREDEK/JAN

Ten pisarz jednej fabuły – jak czasem był nazywany – wychodził niekiedy poza swoją kresową krainę, choć też nie do końca. Tak właśnie się stało w „Oksanie" – zasadniczo traktującej o wojnie na Bałkanach, ale we wspomnieniach bohatera korespondującej z obrazami zbrodni, dokonanymi wcześniej na pograniczu polsko-ukraińskim.

Martyrologia był stale obecna w jego prozie. Uważał, że obowiązkiem polskiego pisarza jest nieunikanie takich tematów. Wręcz odwrotnie: „…nasza smutna historia odbijająca się w literaturze to jest to właśnie, co odróżnia literaturę polską od innych. Według recepty – opowiadał – jaką zalecałem kolegom w latach sześćdziesiątych, żeby ujść łapom cenzury: On, Ona, ten trzeci i Szczekający Pies, powstaje corocznie wiele setek książek na całym świecie, ludzie kupują je, wybierając się w podróż, czytają na letnisku, czasem do poduszki. To jednak nie literatura, to tylko książki".

Krzysztof Masłoń

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

eprasa.pl 831690520a

Taniec z gwiazdami

Światowy sukces serii „The Last Dance" (2020) Netflixa o karierze Michaela Jordana sprawił, że każdy nadawca chce mieć w ofercie podobny produkt

FOT. BRIAN DRAKE/GETTY IMAGES

Piotr Gociek

Sportowe seriale i filmy dokumentalne królują w streamingu – najczęściej to jednak dzieła PR-owców, a nie poszukiwaczy prawdy

Wszystko przez Michaela Jordana. Musiał tyle wygrywać? W dodatku w wielkim stylu i – co gorsza – fascynując miliony? Światowy sukces dokumentalnej serii „The Last Dance" (2020) Netflixa o karierze słynnego koszykarza oraz jego ostatnim sezonie w Chicago Bulls sprawił, że każdy nadawca chce mieć teraz podobny produkt w swojej ofercie. Nie wiem, jak poza Polską, ale u nas dodatkowym niespodziewanym efektem było też wzbogacenie dość ubogiego żargonu dziennikarzy sportowych. Do słynnych „zdecydują cechy wolicjonalne" oraz „mieszanka rutyny z młodością" doszło bowiem wypowiadane z emfazą zdanie: „To jest taki jego ostatni last dęs". Przy czym zdanie dewaluuje się z każdym dniem, bo nadużywane jest wielce; pada przy byle okazji, kiedy trzeba coś powiedzieć (cokolwiek) o gościu, który gra gdzieś ostatni mecz, sezon, zdobywa być może ostatnie trofeum albo po prostu aktywnie (tzn. z piłką przy nodze) się starzeje.

Jednak dość złośliwości. Saga o Michaelu Jordanie uświadomiła gigantom streamingu, że można eksplorować nową żyłę złota, w HBO Max pojawił się serial dokumentalny o konkurentach Bulls, czyli „Dziedzictwo: Prawdziwa historia LA Lakers" (2022), Disney+ ma swój „Witamy we Wrexham" (2022), Amazon Prime kusi polskiego widza laurką o naszym eksportowym napastniku wszech czasów („Robert Lewandowski nieznany", 2023), na szczęście w jednym kawałku, bo w odcinkach to byłoby nie do wytrzymania. Wraz z zakończeniem ligowych rozgrywek piłkarskich nad Wisłą Canal+ ogłosił, że przedłuża sezon dwoma serialami dokumentalnymi.

LICZĄ SIĘ EMOCJE

„Raków. Pierwszy wszystko!" to historia wzlotu nowego mistrza Polski pod wodzą trenera Marka Papszuna. Z kolei „Widzew. Razem tworzymy siłę" to historie comebacku po długim pobycie w czyśćcu niższej ligi oraz pierwszego sezonu po powrocie. Canal+ musi mieć dobre doświadczenia po poprzednich projektach dokumentalnych związanych z Ekstraklasą. A były to serie „Sędziowie" (2021) oraz „Piłkarze na podsłuchu" (2022). Ta pierwsza sprawiła, że zacząłem na jej bohaterów patrzeć dużo cieplej i z większym zainteresowaniem. Ta druga – wręcz przeciwnie. Jeśli komuś się wydaje, że zawodowi futboliści niewiele mają do powiedzenia w telewizyjnym studiu, to po „Piłkarzach na podsłuchu" dostrzeże, że mają do powiedzenia jeszcze mniej – poza wyklinaniem na siebie nawzajem oraz sędziów. Ale producentom w to graj – liczą się emocje. To się sprzedaje.

Ciekawe jest porównanie obu opowieści o polskich klubach. Perfekcjonista Marek Papszun (który po latach pożegnał się już z Rakowem, osiągnąwszy serię historycznych sukcesów) bardzo precyzyjnie ustalał, co, kiedy i w jakiej sytuacji mogą pokazać kamery. Sukces sukcesem, ale gra o przyszłość zaczyna się dziś, nie ma więc powodu, by dzielić się wszystkimi sekretami szatni i trenerskiego

eprasa.pl 831690520a

warsztatu. Z kolei władze Widzewa pozwoliły ekipie na dostęp właściwie nieograniczony, wyszła z tego niemal reality TV. Kto może być bohaterem kolejnych opowieści? Patrzę na bohaterów ostatniego sezonu i ostatnich lat. Na pewno Ruch Chorzów, którego zmartwychwstanie imponuje jeszcze bardziej niż to Widzewa. Pewnie Wisła Kraków, choć wiele zależy od tego, kiedy wróci do Ekstraklasy.

Jednocześnie, patrząc na cztery wyliczone wyżej produkcje Canal+, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to jednak półprodukty. Rzeczywiście przedłużenie sezonu, czyli ciąg dalszy opakowywania flagowego produktu stacji, którym są sportowe transmisje. Pogłębionej refleksji jest tu mało, do „The Last Dance" – bardzo daleko. Ba, daleko nawet do podobnych w zamierzeniu opowieści znanych z Amazona („Manchester: wszystko albo nic", 2018) czy Netflixa („Sunderland aż po grób", 2018). W innej, poważniejszej kategorii startował film „Robert Lewandowski nieznany", ale o ile dokumentacja projektu i liczba nagranych gości imponują, o tyle już efekt końcowy – nie bardzo. Zabrakło tej historii wyraźnej osi dramatycznej, punktu kulminacyjnego i finału – kariera RL9 wciąż przecież trwa.

Nowy segment rynku rozrasta się bardzo szybko, kolejne produkcje obsługują emocje następnych grup odbiorców. Fani Juventusu mogą wybierać między konkurencyjnymi seriami „First Team: Juventus" (Netflix, 2018) a „Wszystko albo nic: Juventus" (Amazon Prime, 2021). W dodatku w streamingu znajdą jeszcze pełnometrażowy dokument „Juventus: Czarno-biała historia" (2016). I tak dalej, i tym podobne. Oczywiście przodem wielkie marki, kluby znane na całym świecie. Ale nie tylko moją sympatię zaskarbiły sobie opowieści o outsiderach – wspomniany „Sunderland aż po grób" to rzecz o miłości do klubu w najczarniejszych jego chwilach.

A „Witamy we Wrexham" to krzepiąca historia reanimacji jednego z najstarszych zawodowych klubów piłkarskich w historii. Dokonują jej nowi właściciele walijskiego Wrexham AFC, aktorzy Ryan Reynolds oraz Rob McElhenney.

Wyszedłem od opowieści o legendach NBA, koncentruję się na piłce nożnej, ale oczywiście odcieni serialowych opowieści o legendach sportu jest dużo więcej.

Kadr z filmu „Witamy we Wrexham"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Baseball, tenis, Formuła 1. Seriale i filmy. Dokumenty współczesne, dokumenty historyczne, dokumenty traktujące sport nieco pretekstowo, by opowiedzieć historię kryminalną (od sprawy O.J. Simpsona do Pistoriusa). Dokumenty śledcze, w których tropione są łajdactwa kolarza Lance'a Armstronga albo demaskowany jest przemysł dopingowy w Rosji (rewelacyjny „Ikarus" Netflixa z 2017 r.). Dokumenty o sporcie, które mogą mówić o sporcie, ale mogą też opowiadać świat. Jak choćby głośny film „Sunakali" (2014) o dziewczęcej drużynie futbolowej z Nepalu.

Podczas gdy scenarzyści fabularnych filmów i seriali cierpią na ciężką zadyszkę, bo zajmują się głównie recyklowaniem tego, co już było, świat komercyjnego dokumentu (odcinkowego lub nie) niesie wielkie nowe możliwości. Niezwykłe historie rozgrywają się w każdym sezonie, bohaterowie się rodzą, bohaterowie upadają. Ci najbardziej znani już doczekali się swoich filmowych portretów: Lionel Messi (dokument BBC), Cristiano Ronaldo (z kilku filmów o Portugalczyku najlepszy jest ten dostępny obecnie w SkyShowtime). Chwalebna przeszłość też jest obecna. W polskim streamingu dostępne są dziś dwa dokumenty o Pelem oraz osiem filmów o Maradonie.

BIZNES WYGRYWA Z DOCIEKLIWOŚCIĄ

Skoro już padło nazwisko słynnego Argentyńczyka. Potrzeba czegoś więcej

Kadr z filmu „Wszystko albo nic: Juventus" (Amazon Prime, 2021)
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

niż tylko spoglądania w słupki oglądalności spotkań poszczególnych klubów czy chwilowa popularność sportowca, by film dokumentalny wzniósł się ponad sztampę. I właśnie opowieść o Maradonie, czyli film „Diego" (2019), jest według mnie najlepszym sportowym dokumentem, jaki zdarzyło mi się widzieć. Film w reżyserii Asifa Kapadii obywa się bez gadających głów, na ekranie widzimy jedynie archiwalne nagrania i zdjęcia, mnóstwo wypowiedzi samego Diega. Koncentrująca się na latach w Neapolu opowieść zamienia się w coś dużo więcej niż portret sportowca. Jest to rzecz i o fenomenie piłki nożnej w życiu lokalnej społeczności, i o związkach świata przestępczego z futbolem, i o sławie oraz jej pułapkach, i wreszcie o rodzinie (intymny portret Diega wzbogacony wątkiem jego nieślubnego dziecka). Piłka, życie, świat. Wszystko razem, wszystko w fenomenalnie nakręconej opowieści. Obejrzeć ją można aktualnie w Play Now, Polsat Box Go i CDA.

Czy będą następne, równie dobre? Obawiam się, że czekać będziemy długo. Im więcej oglądam sportowych dokumentów (a w tym krótkim tekście ledwie liznąłem temat), tym bardziej dostrzegam, jak biznes wygrywa z dociekliwością. Zdecydowana większość seriali i filmów ma być przedłużeniem działalności działów PR wielkich firm, w które zamieniły się dziś zarówno sportowe kluby, jak i najsilniejsze ligi.

A nadzieja na polską odpowiedź na film Kapadiego jest jeszcze mniejsza. Za wiele u nas wokół sportu tematów tabu. Szczery dokument o związkach SB z piłką nożną, dziwnych transferach czasów PRL, układzikach i korupcji po 1989 r., gangach narkopatusów, gościach z maczetami, egzotycznych i podejrzanych inwestorach, politycznych dealach ze spółkami Skarbu Państwa i miejskimi samorządami… Cóż, na pewno nie w Canal+. Gdzie indziej też pewnie nie. Kto chciałby mieć spalony dom albo – wersja najprzyjemniejsza – reputację szarganą każdego dnia w „Wyborczej" i TVN za zaglądanie do archiwów IPN tudzież wielotomowych akt śledztw lub przynajmniej za „upolitycznianie sportu"? Sport to jednak rzecz zbyt ważna, by zostawić ją sportowcom. Na dobre i – niestety – na złe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Disney+

Tańczący z warkoczykami

★★★☆☆☆
REŻ. JAMES CAMERON
„AVATAR: ISTOTA WODY" („AVATAR: WAY OF THE WATER")
USA 2023
wyst. Sam Worthington, Zoe Saldana, Sigourney Weaver

Nowa gwiazda na niebie oznacza na Pandorze jedno: statki wytracające prędkość. Ludzie z nieba wracają" – ponuro konstatuje pewnej nocy Jake Sully, były marine, który teraz żyje na planecie Pandora jako wódz plemienia Omaticaya. Ziemscy koloniści po 12 latach znów chcą zawładnąć bajkowym światem. Tym razem chodzi nie tylko o surowce, lecz także o przestrzeń życiową, bo na Ziemi nie sposób już wytrzymać.

Takie postawienie sprawy przenosi fabułę kolejnych „Avatarów" (Cameron obiecuje łącznie cztery sequele, ale jest otwarty na nakręcenie filmów numer sześć i siedem) na nowy poziom konfrontacji. Chciwych górników i ich wojskową eskortę można było przegonić. Ale jeśli intruzi nie mają dokąd wrócić, to nigdy nie ustąpią. Kurs na zderzenie musi przynieść tragiczne skutki.

Pierwszy „Avatar" był imponującą efektami specjalnymi przeróbką „Tańczącego z wilkami" – jeden z przybyszów staje po stronie tubylców i walczy ze swoimi dawnymi kamratami. Był też najbardziej kasowym filmem wszech czasów, zanim nie został zdetronizowany przez „Avengers: Koniec gry". „Istota wody" to produkt idealnie hollywoodzki i przewidywalny: to samo, za większe pieniądze, z równie dobrym skutkiem. Fabuła niczego nie wnosi: biedni niebiescy prześladowani są przez złych białych, efekty specjalne są jeszcze bardziej zapierające dech w piersiach, a wpływy niemal równe tym z poprzedniego filmu („Istota wody" to aktualnie trzeci najbardziej kasowy film w historii).

Jeśli przyjmiemy, że kino to spektakl, to nowy film Camerona jest wielki. Jednak czy każdy spektakl musi być tak wtórny i irytujący łopatologicznym przesłaniem? Dziś tak, mętny ekologizm bajki o szlachetnych dzikusach i przeklętej cywilizacji nie tylko zarobił w kinach krocie, lecz także doczekał się entuzjastycznych recenzji widzów. I części krytyków, choć niektórzy ośmielili się zakrzyknąć: „Król jest nagi!", a film śmiertelnie nudny, przewidywalny i tonący w sentymentalizmie. Co do widzów – nie zwykłem kłócić się z werdyktami widowni, ale tym razem muszę sarkastycznie mruknąć: „Oto kinowa rozrywka przeszła od Josefa von Sternberga do Grety Thunberg". ©℗

NOWE SERIALE: „W TŁUMIE"

tv+

Rzecz inspirowana głośną książką Daniela Keyesa „Billy Milligan", w której autor „Kwiatów dla Algernona" opisywał przypadek przestępcy cierpiącego na osobowość rozszczepioną – i uniewinnionego z tego powodu. To, co w filmach M. Night Shyamalana („Split", „Glass") zamieniało się w czysty horror, w serialu Apple TV+ jest thrillerem psychologicznym. Uwagę zwraca obsada: pacjentem/sprawcą jest Tom Holland, przesłuchuje go Amanda Seyfried. ©℗ **Piotr Gociek**

- *miniserial* ***„W tłumie" („Crowded Room")****, USA 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Franck Gastambide* ***„Medellin"****, Francja 2023* prime video
- *miniserial dokumentalny* ***„Arnold"****, USA 2023* N
- *sezon 2* ***„Star Trek: Strange New Worlds"****, USA 2023* sky SHOWTIME

eprasa.pl 831690520a

Kryzysowa narzeczona

▶ NINATEKA

Praktykant z toruńskiej apteki ubóstwia kasjerkę, lecz ona marzy o karierze w show-biznesie. Komedia „Kocha, lubi, szanuje" była dzieckiem epoki wielkiego kryzysu, również w branży kinematograficznej. Powstanie zawdzięczała finansowemu wsparciu z Ameryki. Z myślą o tamtejszej publiczności wyeksponowano wątek rewiowy, a Bodo – ucharakteryzowany na Murzyna – śpiewa po angielsku. Jak to często bywa, produkt eksportowy stał się przebojem tylko w ojczyźnie. Zresztą czy jankesów rozbawiłby greps o „jadłodajni dla niezamożnej inteligencji" albo wzruszyło wyznanie, że „dusza odmiany życiowej pożąda"? Fabuła, szczerze mówiąc, nie porywa. Reżyser udowadnia, że do Rene Claira mu daleko, a Bodo lepiej czuje się w skórze amanta niż safanduły. Film ratują 23-letnia Loda Halama, właścicielka najdłuższych nóg II RP, istny wulkan energii, naturalnością tuszująca aktorskie braki, oraz przebojowa muzyka Henryka Warsa. Ostatni raz na ekranie pojawiła się Zula Pogorzelska, w ostatniej scenie zaś możemy podziwiać całą filmową ekipę. Komedię Waszyńskiego długo uważano za bezpowrotnie straconą, ale niedawno we Francji znalazła się sfatygowana kopia. Mimo wysiłków renowatorów nie wszystkie uszkodzenia udało się naprawić. Można to uznać za memento. Wszak gdy kryzys minął, nadeszła wojna...

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. MICHAŁ WASZYŃSKI
„KOCHA, LUBI, SZANUJE"
POLSKA/USA 1934

wyst. Eugeniusz Bodo, Loda Halama, Michał Znicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KUKURUKUKU

arte

★★★☆☆☆

REŻ. ANNE-SOLEN DOUGUET
„JULIO IGLESIAS. MIŁOŚĆ, SŁAWA I ŚPIEW" („IGLESIAS. AMOUR, GLOIRE ET CHANSONS")
FRANCJA 2022

Wypełniał stutysięczne stadiony, śpiewał w 15 językach, sprzedał 300 mln płyt. A jednak twórcy biograficznego dokumentu opowiadają o życiu i sukcesach Julia Iglesiasa w tonie dość niechętnym. Wytykają mu mieszczańskie pochodzenie, takiż gust oraz polityczny indyferentyzm. Rzeczywiście, gwiazdorowi z każdym hiszpańskim rządem (od gen. Franco do socjalisty Gonzalesa) było po drodze. Miał romantyczny repertuar, a według Francuzów powinien śpiewać protest songi. Fenomen popularności „Julia konkwistadora" tłumaczą na różne sposoby. Po pierwsze, zawsze był we właściwym miejscu, we właściwym czasie. Po drugie, miał talent do autopromocji. Zawsze zrelaksowany, uśmiechnięty, elegancki, chętny do rozmowy z dziennikarzami. Po trzecie, aksamitnym głosem uwodził kobiety. Ciekawostka: podczas kryzysu irackiego Iglesias, niedoszły dyplomata, skutecznie godził ojczyznę z rządem USA. ©℗

PRAWEM I LEWEM

KINO

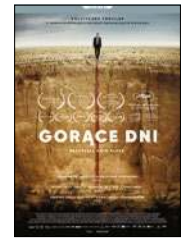

★★★★☆☆

REŻ. EMIN ALPER
„GORĄCE DNI" („KURAK GÜNLER")
TURCJA/ FRANCJA/ HOLANDIA 2022

wyst. Selahattin Paşalı, Ekin Koç, Erol Babaoğlu

Zręczna robota. Rzecz dzieje się w Turcji, czyli wszędzie. Młody, pryncypialny prokurator próbuje uporządkować stajnię Augiasza, którą jawi się mieścina dotknięta brakiem wody w kranach tudzież moralnym kryzysem. Jego poprzednik, zorientowawszy się w sytuacji, opuścił Yaniklar w szalonym pośpiechu, nie czekając na koniec kadencji. Nasz bohater ma jeszcze trudniej, jako że lokalsi za chwilę wybiorą nowego burmistrza (lub zostawią u władzy starego). Polityka zaś, jak wiadomo, polega na kupowaniu jednych, zastraszaniu drugich oraz szukaniu haków na dziwolągów, których kupić lub zastraszyć nie sposób. Nawet prokurator ze ścigającego może stać się ściganym. Dreszczowce w stylu „Gorących dni" największe triumfy święciły pół wieku temu. Na dwoje babka wróżyła: albo renesans tej formuły jest sezonową modą, albo szósty zmysł podpowiada filmowcom, że nadchodzi jakieś wielkie przesilenie. ***Wiesław Chełminiak***

GRA TYGODNIA: „LEGO 2K DRIVE"

Skoro w nazwie LEGO, to wiadomo, że gra nada się na rodzinne zgromadzenie przy konsoli albo na imprezę. I tak jest w istocie. Proste w założeniu i formie wyścigi, o niskim progu wejścia. Świetne, by gdy bawić się chcemy z osobą, która pada bierze w ręce okazjonalnie. Choć jeśli ktoś chce, to może podkręcić poziom trudności. Do dyspozycji kilka trybów – od pojedynczych wyścigów, poprzez turnieje, aż do prostej fabuły. Kolorowa, przyjemna dla oka oprawa dopełnia całości. Przyjemna to, choć droga gra imprezowa. Cóż, za logo się płaci. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *Wyścigi*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, NS, PC*
- ***Producent; wydawca PL:*** *Visual Concepts/2K Games; Cenega*

eprasa.pl 831690520a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pauza Dwudziestolecia

Na książkę Marka Klecela składają się szkice o 15 pisarzach, którzy słowem, a także czynem przyczynili się do odzyskania przez Polskę niepodległości, odegrali wybitną rolę w II Rzeczypospolitej, a i potem, bez różnicy, czy przyszło im żyć na emigracji czy w jakże innej od ich wyobrażeń ojczyźnie, pamiętali o tym, co celnie ujął jeden z bohaterów tych esejów, Ferdynand Goetel, pisząc: „Być Polakiem nie jest to tak wielka rzecz, jak nam się wydaje. Ale przestać nim być znaczyłoby przestać być człowiekiem".

Autora „Pisarzy Niepodległości" interesują związki twórczości literackiej z pisarskimi biografiami. A te w przedstawionych tu wypadkach są wyjątkowo mocne. Dość przypomnieć walczących z bolszewikami Eugeniusza Małaczewskiego, Stanisława Rembeka i Józefa Mackiewicza, korespondenta wojennego Juliusza Kadena-Bandrowskiego, a wreszcie najstarszego – nestora polskich zmagań o niepodległość, urodzonego jeszcze przed powstaniem styczniowym Wacława Sieroszewskiego, sławnego Sirkę, który na wieść o utworzeniu legionów natychmiast stawił się na Oleandrach i komendant musiał podeszłego wiekiem entuzjastę przekonywać, że większy będzie z niego pożytek w działaniach propagandowych niż w bojach orężnych.

W świetnie zilustrowanej książce wyróżniają się, moim zdaniem, szkice o Janie Lechoniu, w których Klecel m.in. wnikliwie omawia rzadko przywoływaną przez krytykę nieukończoną powieść twórcy „Karmazynowego poematu" – „Bal u senatora" o Zofii Kossak i Kazimierze Iłłakowiczównie. W tym ostatnim autor zwraca uwagę na serię odczytów wygłoszonych przez Iłłę w latach 30., w wielu miastach zachodnioeuropejskich, podczas których opowiadała o Piłsudskim i prostowała liczne krzywdzące opinie na temat Polski. Nie było to łatwe zadanie. W Szwecji np., w dyskusji z paniami ze środowiska naukowego, wytykano jej oczywiście polski antysemityzm: „W długiej i beznadziejnej dyskusji – wspominała potem – nie mogłam oczywiście bronić bicia Żydów, ale starałam się uświadomić moje interlokutorki o ich liczbie w Polsce i o ich zupełnej rasowej i obyczajowej odrębności". Cóż, przekonania, że Polska jęczy pod surową dyktaturą, nie udało się jej zmienić.

W szkicu o Józefie Mackiewiczu szczególne miejsce zajmuje powieść „Lewa wolna", zdaniem Marka Klecela „jedna z najwybitniejszych i nielicznych powieści o odzyskiwaniu i obronie niepodległości w latach 1918–1920". Dlaczego nielicznych? II Rzeczpospolita żyła burzliwie, pięknie, ale bardzo, bardzo krótko. Nieprzypadkowo przecież cytuje Marek Klecel słowa Andrzeja Zawady z „Dwudziestolecia literackiego": „Między kolejnymi trudnymi lekcjami historia podarowała nam pauzę, podczas której mogliśmy zabawiać się w normalność. Pięć pokoleń czekało na ten czas. Czekało i pracowało dla niego".

Ta „pauza" może i nie byłaby dłuższa, ale na pewno zgoła inaczej wyglądałaby, a i na późniejszych wydarzeniach komunizm nie odcisnąłby takiego piętna, gdyby Piłsudski nie potraktował Sowietów jako mniejsze zło w porównaniu ze znaną mu aż za dobrze „białą" Rosją. Tymczasem według interpretacji Mackiewicza „biali" nie mogli już zagrozić niepodległemu bytowi Polski. „Czy nie jest to jednak – nie bez racji pyta Marek Klecel – interpretacja ex post, z perspektywy skutków późniejszych, które trudno było przewidzieć i uwzględniać w rachubach politycznych?".

Ciekawy jest również rozdział odnoszący się do iście wyjątkowej sytuacji, gdy w okupowanym Wilnie „człowiek, któremu darowano życie, miał zabić człowieka, któremu życia jeszcze nie darowano". Tymi ludźmi byli Sergiusz Piasecki, autor „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy", i Józef Mackiewicz właśnie. „Na szczęście – czytamy – spotkanie Mackiewicza i Piaseckiego w okupowanym Wilnie nie skończyło się tragicznie. Znaleźli się wtedy ludzie, którzy uznali, że nie należy Mackiewicza uśmiercać. Dzięki temu powstały świadectwa i dzieła, których nikt inny by nie napisał".

O Józefie Mackiewiczu można już głośno mówić. I mówi się, tyle że – cytuję Marka Klecela – „często można odnieść dziwne wrażenie, że, owszem, mówić można, byle nie za głośno. Mackiewicz nadal bywa niewygodny, bo chociaż »prawda jest ciekawa«, to przecież znów zwycięża kłamstwo – nowe kłamstwo, wyrastające zawsze na gruncie starego".

„Pisarze Niepodległości" to książka o pisarzach, którzy – często wbrew niesprzyjającym okolicznościom – poważnie traktowali swój zawód i swoje obowiązki wobec czytelników, a przede wszystkim Tej, którą sobie wyśnili, wymarzyli i wywalczyli. ©℗

★★★★☆☆

MAREK KLECEL „PISARZE NIEPODLEGŁOŚCI. SZKICE O LUDZIACH I DZIEJACH"
IPN, WARSZAWA

eprasa.pl 831690520a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wyspa Štefánika

Pewnego dnia Słowacy powiedzieli „dość!" i opuścili swoją ojczyznę. Czy można się im dziwić? Żyli wszak w niebezpiecznym miejscu świata, po którym nieustannie przetaczał się tam i z powrotem walec historii. Drogę wyznaczył Milan Rastislav Štefánik, słowacki bohater narodowy, podróżnik i badacz, który wpadł podczas swych peregrynacji na pomysł, że nową ojczyzną dla umęczonych współbraci mogłaby być Polinezja Francuska. Cały naród wyruszył ku ziemi obiecanej. Opis marszu przez Europę, aż do francuskich portów, gdzie na Słowaków czekały statki, jest najlepszą częścią powieści Michala Hvorecký'ego.

„Tahiti. Utopia" to oczywiście historia alternatywna, dla której ustanowienia najistotniejszymi zmianami są brak w traktatach po pierwszej wojnie światowej decyzji dających własne państwo Słowakom oraz inicjatywa wspomnianego Štefánika, który z woli autora zamiast zginąć w roku 1919, ma okazję żyć dalej i otworzyć nowy rozdział w dziejach swojego narodu. Całą historię opowiada nam narratorka żyjąca współcześnie, w owej alternatywnej rzeczywistości, czyli mieszkanka Nowej Słowacji, analizująca dzieje XX w. Ponieważ jej prace historyczne nie podobają się władzom, sięga po formę powieści alternatywnej i w ten sposób przybliża nam całą historię exodusu i jego skutków.

Powieść Hvorecký'ego dobrze jest napisana, a prócz tego gęsta od nawiązań, aluzji i grepsów, które czytelne będą przede wszystkim dla słowackiego czytelnika. Dla Polaka to ciekawe świadectwo odważnych ćwiczeń z wyobraźni prowadzonych przez sąsiadów, o których mimo geograficznej bliskości wiemy niewiele. Największym zagrożeniem dla istnienia Słowacji i Słowaków – i ostatecznym powodem zbiorowej migracji – są Wielkie Węgry. Wycieczka do starej ojczyzny po latach okazuje się bardzo smutna, ale i Nowa Słowacja nie jest rajem na ziemi.

Co z tego wszystkiego wynika? Jest książka „Tahiti" fantazją, przestrogą, kpiną, konsekwentnym rozwinięciem jednego szalonego pomysłu, który jednak nie prowadzi nas do wyraźnej puenty. Może i dobrze, historia nigdy się nie kończy, ale cierpliwość czytelnika zwykle kiedyś tak. Powieść Hvorecký'ego to ostatecznie książka o tożsamościach – nie tylko narodowych. I o tym, że marzenia marzeniami, ale przed trudnymi wyborami uciec się nie da. Nawet na Tahiti. ©®

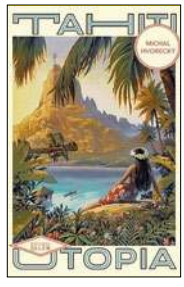

★★★★☆

MICHAL HVORECKÝ „TAHITI. UTOPIA" BIBLIOTEKA SŁÓW 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pięćdziesiąt dwa wyjaśnienia powszechnych nieporozumień na temat wiary katolickiej. Amerykański teolog opowiada lekko i potoczyście; bardzo jego wywody przydałyby się hollywoodzkim scenarzystom.

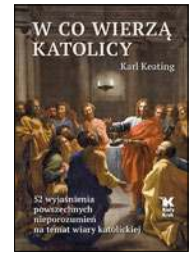

KARL KEATING „W CO WIERZĄ KATOLICY" BIAŁY KRUK

Dzieje słynnego portretu Adeli Bloch-Bauer okazją do opowieści o Gustavie Klimcie, zamiłowaniu nazistów do „skażonej sztuki żydowskiej" i amnezji w kwestii Holokaustu, która nagle dotknęła Austriaków po 1945 r.

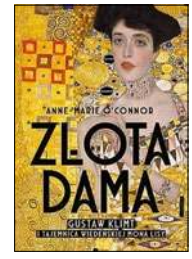

ANNE-MARIE O'CONOR „ZŁOTA DAMA" ZNAK

Jedna z najlepszych powieści japońskiego noblisty. Starcie tradycji z nowoczesnością, opowieść o samotności, dumie i przemijaniu, ubrane w zapis pożegnalnej partii starego mistrza.

YASUNARI KAWABATA „MEJIN – MISTRZ GO" PIW

Nie tylko brzuchaci donowie z cygarami w zębach i nie tylko sycylijscy brutale o urodzie bloków cementu. Nadeau opowiada o kobietach, które stały się wpływowymi postaciami mafii.

BARBIE LATZA NADEAU „MATKI CHRZESTNE" ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „NADSTAW UCHA, ŚLICZNA MARCIO"

Kolejny na polskim rynku album cenionego brazylijskiego artysty komiksowego („Wolfram", „Modlitewnik narodowy"). Zbuntowana córka kontra zaharowana matka, półświatek przestępczy i codzienne życie na społecznych nizinach; ten „thriller rodzinny" jest w istocie opowieścią o sile miłości. Zarówno tej, którą Marcia darzy swoją nieznośną córkę, jak i tej, na którą wydaje się Marcii, że nie zasługuje.

MARCELO QUINTANILHA „NADSTAW UCHA, ŚLICZNA MARCIO" TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2023

eprasa.pl 831690520a

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Zwierzę przede mną

Pierwsza w powojennej historii Muzeum Narodowego w Poznaniu wystawa organizowana wspólnie przez studentów i muzealników jest efektem niemal rocznej współpracy z Instytutem Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Muzeum udostępniło swe zbiory, a studenci opracowali scenariusz ekspozycji, której motywem ikonograficznym – to także ich decyzja – jest zwierzę.

FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Tytuł wystawy – „Zwierzę przede mną" – wzięty został od Jacques'a Derridy, francuskiego postmodernistycznego filozofa proponującego odejście od koncepcji, że to człowiek jest w centrum świata. Koncept kontrowersyjny, prowokujący do dyskusji. O co zapewne młodym kuratorom chodziło.

Wśród wyselekcjonowanych eksponatów znalazły się dzieła malarskie, rzeźby, plakaty, obiekty sztuki użytkowej. Wszystkie z motywami animalistycznymi. Podzielone na działy tematyczne. Pochodzą z Galerii Malarstwa, Plakatu i Rzeźby oraz Muzeum Sztuk Użytkowych w Zamku Królewskim w Poznaniu. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Narodowe w Poznaniu***
KIEDY? ***do 20 sierpnia***

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

NIE ZMARNUJCIE NIEPODLEGŁOŚCI

Warszawska odsłona ogólnopolskiego projektu wystawienniczego koordynowanego przez Muzeum Narodowe w Poznaniu. Projektu prezentującego srebrne pamiątki, które znalazły się wśród darów przekazywanych przez Polaków w ramach zbiórki prowadzonej w latach 1936–1939 w ramach Funduszu Obrony Narodowej. W Zamku Królewskim prezentowane są przedmioty związane ze stolicą. ©℗

GDZIE? ***Zamek Królewski w Warszawie, Galeria Arcydzieł***
KIEDY? ***do 10 września***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Ona wie

Nosowska jest na naszym rynku instytucją. Dawno przestała być Kasią. Teraz nie tylko jest Artystką, której płyty „się" analizuje, lecz także dzięki sukcesom komercyjnym swoich książek stała się Influencerką. To zobowiązuje i ogranicza. Tyle że Katarzyna idzie nie tyle pod prąd, ile własną drogą.

Muzycznie nie jest to szczególnie odkrywczy album, choć słucha się go z przyjemnością. Na pierwszym planie jest wokal Katarzyny, która „używając" głosów z różnych etapów kariery, wyznacza granice osobistej wolności i sprzeciwia się stadnym nawykom. Celnie trafia zarówno bezrozumnych przyjaciół, jak i tych, którzy chętnie spaliliby ją na stosie. „Póki szklanka pełna / miło skwierczy grill / elektryczny pastuch / nie przeszkadza / w szambie można długo / i wygodnie żyć / byle tafla ścieku / była gładka" – śpiewa w „Larum". A w „Przytomnej" oskarża: „Mordę mi dorobią / Domalują wąsy / Albo jeszcze gorzej / Ku.asa na czole / Świat mi umeblują / Wedle swego gustu / Uczynią galerą / Ze śpiącym u steru".

Szczególnie interesująco wypada ekologiczny erotyk „Runo". Do tej grupy zaliczają się też historie o przemocowych związkach („Rzekomo" i „Senny majak"). Zaskakująco dobrze wychodzi połączenie bolesnych słów („Zaklnij forte jeszcze raz / Akompaniament szkła / Nasz hymn, nasza melodia") z onirycznym podkładem muzycznym. ©℗

★★★★★★
NOSOWSKA
„DEGRENGOLADA"
KAYAX

★★★★★★
FOO FIGHTERS
„BUT HERE WE ARE"
RCA
Album pojawił się nieco ponad rok po niespodziewanej śmierci perkusisty Taylora Hawkinsa. Strata i smutek przewijają się w piosenkach. Dave Grohl ponownie zasiadł za bębnami, nadając nagraniom pulsu znanego nam jeszcze z Nirvany. Szczera, klasyczna rockowa płyta.

★★★★★★
SPARKS
„THE GIRL IS CRYING IN HER LATTE"
ISLAND
Bracia Ron i Russell Mael, mimo zacnego wieku, nie zwalniają. Po dokumencie o zespole, musicalu „Annette" stworzyli filmowy album przepełniony sarkastycznymi tekstami i muzycznymi zwrotami akcji. W teledysku do tytułowej piosenki wystąpiła Cate Blanchett.

eprasa.pl 831690520a

„1989” – fajny mit

Grzegorz Kondrasiuk

„Czy możemy mieć wreszcie pozytywny mit… jakiś hit, co nas nie podzieli, lecz połączy?” – zapytuje dyrekcja Teatru im. Słowackiego, która po „Dziadach” Mai Kleczewskiej kontynuuje nurt wielkich formacyjnych narracji

FOT. BARTEK BARCZYK

Aże nic tak dobrze nie nadaje się do transmitowania w naród pozytywnych mitów jak sceniczne tańce i śpiewy – decyzja padła na musical, z odległą inspiracją hitowym „Hamiltonem”. Teksty napisał pomysłodawca przedsięwzięcia, Marcin Napiórkowski, muzykę skomponował Webber (ten od bitów szczecińskiego rapera Łony), wyreżyserowała Katarzyna Szyngiera, no i mamy – musical „1989”. Hit rzeczywiście jest, bilety schodzą na pniu i w krakowskim „Słowaku”, i w gdańskim Teatrze Szekspirowskim, a spektakl zdążył odwiedzić festiwale w Łodzi, we Wrocławiu, w Warszawie, Toruniu, czyli – jak to się dziś mówi – robi duże zasięgi, co teatrowi nie przydarza się często.

W mizernym pejzażu teatralnego sezonu 2022/2023 ten hip-hopowy musical błyszczy niczym diament. Obsada i twórcy to zespół ludzi utalentowanych i pracowitych. Pierwszy raz w teatrze widziałem zawodowych aktorów, którzy nie udają raperów, ale po prostu rapują z naturalnością uczestników freestyle'owych potyczek. Dopracowanie każdego szczegółu, obsada bez słabych punktów zrobiona po talencie, a nie po znajomości, komunikatywne teksty (z nadmiarem męskich rymów częstochowskich, pełne wulgaryzmów, bo to przecież sztuka dla młodzieży…), lekkie, zgrabne melodie i bity (raczej Mioush niż Łona), choreografie rodem z koncertów popowych gwiazd… Wokół „1989” zrobiło się całkiem sporo zamieszania.

Wszystko świetnie, tylko spektakl i jego promocyjne opakowanie można np. porównać ze świeżo odbytym marszem w rocznicę 4 czerwca. To samo odwoływanie się do mitu pojedynku z komunistami „w samo południe”, promieniowanie wizerunkiem fajnopolaków, mobilizacja w obliczu wspólnego wroga, a pod spodem – przypudrowane, ale wciąż buzujące, niewygaszone antagonizmy społeczne. Bo mity – o czym wiedział mądry Roland Barthes – są najlepszymi narzędziami pudrującymi niezagojone rany i konserwującymi status quo. Mit to sposób wytwarzania normalności, opowieść wyprasowująca nieciągłości i absurdy procesów historycznych. Tak się właśnie stało z mitem polskiego sukcesu A.D. 1989. Pozytywnego mitu owego roku czy – szerzej – mitu transformacji nie trzeba szukać, jest on porządnie usytuowany w umysłach części społeczeństwa i opowiedziany na wiele sposobów. Ale jest to narracja wytworzona w kontrze, której rewersem jest inny mit, negatywny: zdrady narodowej, prywatyzacji, wykluczenia części społeczeństwa z grona beneficjentów przemian. Jakoś nie widać końca tego pojedynku na narracje, skoro nigdy rzetelnie nie podsumowaliśmy rachunków zysków i strat po pokojowym przejęciu władzy i wdrożeniu planu Balcerowicza. Stąd skazani jesteśmy na powtarzane bez uzasadnienia tezy o bezalternatywności polskiego wariantu transformacji, o tym, że „inaczej się nie dało”. Historię piszą zwycięzcy – a w tym przypadku zwycięzcą jest neoliberalny porządek globalnego Zachodu. W głębszej warstwie mit sprzedawany w „1989” to jeszcze jeden odprysk tezy Fukuyamy o końcu historii.

I choć opowieść urywa się w momencie startu III RP, kiedy to żadne decyzje nie zostały jeszcze podjęte, choć jedną z osi opowieści jest spór „liberałów” i „socjalistów”, to na „1989” patrzymy z naszego dzisiaj. Znamy odpowiedź na pytanie zadane przez zatroskanego Kuronia (Marcin Czernik) w zaskakującym, łamiącym musicalową konwencję finale: „A co, jeśli wygramy?”. Ale odpowiedzi na zawieszone w próżni pytania nie padają, bo nie na tym polega cała zabawa. Po pierwszych scenach spektaklu było to najzupełniej oczywiste, że fakty nie mają tu żadnego znaczenia, bo jest to praca twórcza na zbiorowych wyobrażeniach z najnowszej historii. Ale dziś już mało kogo interesują fakty, skoro to nie faktami walczy się o rząd – ten symboliczny, rząd dusz, i ten realny, pochodzący z wyniku wyborów.

Cieszmy się zatem prawie trzema godzinami show, gangstersko wystylizowanym Frasyniukiem, komiczno-heroicznym Wałęsą, przewspaniałą, charyzmatyczną Danutą Wałęsową (Karolina Kazoń), wyśpiewującą i wytańcowującą – zamiast mowy noblowskiej męża – feministyczne manifesty w imieniu wszystkich kobiet Solidarności. Zadumajmy się przy scenie chocholego tańca z pijanego wesela, na tle filmu ze słynnej popijawy w Magdalence, ucieszmy się ze zwycięstwa Wałęsy nad Miodowiczem w debacie zrobionej jako rap beattle, a na koniec krzyknijmy: „Ten tłum robi BUM!”. ©℗

„1989”
REŻYSERIA: KATARZYNA SZYNGIERA
SCENARIUSZ: MARCIN NAPIÓRKOWSKI, KATARZYNA SZYNGIERA, MIROSŁAW WLEKŁY
REDAKCJA RAPÓW: PATRYK „BOBER” BOBREK
MUZYKA: ANDRZEJ „WEBBER” MIKOSZ
KOPRODUKCJA TEATRU IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE I GDAŃSKIEGO TEATRU SZEKSPIROWSKIEGO
PRAPREMIERA: 19 LISTOPADA 2022 R.

eprasa.pl 831690520a

Wsparcie na skrzydłach

Wojciech Golonka

Czy przekazanie F-16 Ukrainie ma pomóc powstrzymać Rosję przed kolejnymi działaniami, gdy konflikt zostanie zamrożony?

Dostawa myśliwców F-16 dla Ukrainy jest już w zasadzie przesądzona. Pod koniec maja państwa G7 postanowiły na szczycie w Hiroszimie o szkoleniu pilotów i przekazaniu maszyn bojowych, premier Mateusz Morawiecki bierze obecnie aktywny udział w montowaniu koalicji państw, które takie samoloty mogłyby naszemu wschodniemu sąsiadowi rzeczywiście przekazać, a zwłaszcza sam prezydent Ukrainy aktywnie lobbuje w tej kwestii, podróżując raz po raz do kolejnych zagranicznych ośrodków decyzji, w tym na wspomniany szczyt w Hiroszimie.

Z swej strony Moskwa już standardowo, choć nie bez enigmatycznej stanowczości, odpowiada, że podobny krok będzie stanowił dalszą eskalację konfliktu i spotka się z adekwatną odpowiedzią.

Od strony komentarzy spektrum jest szerokie: od euforii sukcesu do paradoksalnych głosów, że w rzeczywistości decyzja ta jest przejawem desperacji Zachodu i fatalnego położenia Ukrainy. Ponad tym wachlarzem sprzecznych opinii eksperci, z szefem połączonych sztabów armii USA na czele, są jednak zgodni i studzą zapał, twierdząc, że samoloty F-16 nie będą w tej wojnie „game changerem" ani cudowną bronią. Jaki jest zatem cel ich przekazania i jakie mogą być tego konsekwencje, jeśli chodzi o dalszą fazę wojny?

ZIELONE ŚWIATŁO Z USA

Sprawa przekazania samolotów F-16 dla Ukrainy była już, zdaje się, przesądzona w chwili, gdy w styczniu ogłaszano decyzję o przekazaniu Ukrainie niemieckich leopardów oraz amerykańskich czołgów Abrams, zaznaczając wówczas, że nieplanowane jest przekazanie Ukrainie zachodnich myśliwców, w tym samolotów F-16. To oficjalne zaprzeczenie jawiło się bowiem jako początek przygotowywania opinii publicznej na coś, co jeszcze rok wcześniej, w przypadku kwestii przekazania m.in. polskich migów-29

eprasa.pl 831690520a

FOT. ADOBE STOCK

Ukrainie, sami politycy głównych krajów NATO przedstawiali jako możliwe wejście w bezpośredni konflikt zbrojny z Rosją.

Dla przypomnienia, sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg mówił wówczas: „NATO nie chce być częścią tego konfliktu. Nie zamierzamy wysyłać żadnych wojsk na Ukrainę, nie zamierzamy wysyłać samolotów do ukraińskiej przestrzeni powietrznej". Wtórował mu minister obrony Wielkiej Brytanii Ben Wallace, przestrzegając: „Polska zrozumie, że wybory, których dokonuje, nie tylko bezpośrednio pomogą Ukrainie, co jest dobrą rzeczą, ale mogą także sprowadzić ją na bezpośrednią linię ognia takich krajów jak Rosja czy Białoruś".

Najbardziej krytyczny wobec tego pomysłu, według doniesień prasowych, właśnie ze względu na ryzyko eskalacji, miał być sam prezydent Joe Biden. Ówczesny rzecznik Pentagonu, adm. John Kirby, tłumaczył nawet, że z jednej strony myśliwce nie zwiększą potencjału Ukrainy do odzyskania zajętego przez Rosję terytorium, ale z drugiej zwiększą możliwość wciągnięcia NATO bezpośrednio w konflikt.

Powodem, dla którego Stany Zjednoczone regularnie powtarzały, że nie biorą pod uwagę przekazania Ukrainie samolotów F-15 czy F-16, była prosta kalkulacja bilansu zysku i strat. Poniekąd ta linia została utrzymana, wszak oficjalne stanowisko USA, wyrażone przez Joe Bidena w Hiroszimie, brzmi: Stany Zjednoczone nie będą blokowały swych sojuszników od przekazania „ich" myśliwców F-16 Ukrainie oraz będą wspierać „ich" wysiłki na rzecz szkolenia ukraińskich pilotów właśnie na tych maszynach. Jak widać, z jednej strony nastąpiła wyraźna zmiana, z drugiej Ameryka nie odeszła od swej przezorności. Cóż zatem zdecydowało, że jednak USA dały zielone światło swym zachodnim partnerom na tego typu ruch?

Odpowiedzi, na pierwszy rzut oka, może być kilka. Po pierwsze, kluczowe kwestie techniczne. Myśliwce w obecnej wojnie powinny służyć m.in. do eskorty bombowców, które mają za zadanie niszczenie fortyfikacji (wspomagając natarcie piechoty), stanowisk artylerii oraz radarów wroga. Eskortujące ukraińskie bombowce MiG-29, myśliwce trzeciej generacji, są jednak w dużej mierze bezbronne wobec polujących na nie rosyjskich migów-35, z racji mniejszego zasięgu radarów (90 km vs. 160 km), nie mówiąc już o najnowszych wielozadaniowych rosyjskich myśliwcach Su-35, o zasięgu radarowym ponad 350 km. W przypadku F-16, myśliwców czwartej generacji, ich starsze radary miały zasięg 150 km, nowsze – już 300 km.

Oprócz ich zasięgu w przypadku radarów zachodzą dodatkowe, niebagatelne dla powietrznej walki „na odległość" szczegóły. Jak wskazywał Szymon Tetera, redaktor naczelny miesięcznika „Lotnictwo", w niedawnym wywiadzie dla „Dziennika Gazeta Prawna", znaczenie ma także czas podświetlania celu na radarze – w przypadku starszych myśliwców w służbie ukraińskiej armii cel na radarze trzeba podświetlać od wycelowania w niego rakiety aż do jego trafienia, co automatycznie odsłania sam atakujący samolot na radarach wroga przez przynajmniej kilkadziesiąt sekund; w przypadku zaś F-16 podobne podświetlanie celu na radarze trwa jedynie kilka sekund.

Po drugie, kwestie strategiczne, ale i propagandowe. Nie trzeba być ekspertem wojskowym, aby stwierdzić, że mimo otrzymanego zachodniego sprzętu i wyszkolenia w krajach NATO w ciągu ostatnich miesięcy położenie ukraińskiej armii w przededniu zapowiadanej kontrofensywy jest trudne, armia rosyjska ufortyfikowała zajęte przez siebie południowe tereny, a zajęcie (zburzenie) Bachmutu po dziewięciu miesiącach szturmu Grupy Wagnera otwiera rosyjskiej armii kolejne możliwości operacyjne w Donbasie. Tymczasem planowane do dostarczenia F-16 mają nie tyle wzmocnić zapowiadaną kontrofensywę, ile wzmocnić ukraińskie siły zbrojne najwcześniej na przyszły rok, chyba że piloci ukraińscy byli już szkoleni na tych maszynach od dłuższego czasu (co jest jak najbardziej możliwe, a medialne przekazy o potrzebie dłuższego, ponadrocznego czasu na dostarczenie tych myśliwców Ukrainie byłyby wówczas klasycznymi działaniami dezinformacyjnymi). Niezależnie od wszystkiego informacja o podjętej w Hiroszimie decyzji ma znaczący wpływ na samo morale sił zbrojnych Ukrainy i jej populacji wobec skali podejmowanych wysiłków oraz ludzkich i materialnych kosztów stawianego Rosji oporu.

Samoloty F-16 dla Ukrainy to sukces czy przejaw desperacji Zachodu?

Po trzecie – to opinia dyskusyjna, o wiele mniej oczywista, ale z pewnością warta przytoczenia – płk Douglas Macgregor w swych różnych wypowiedziach twierdził, że w rzeczywistości przekazanie F-16 Ukrainie jest głównie ruchem PR-owskim wobec braku pomysłu Zachodu na wygranie tej wojny przez Ukrainę.

Opinia ta jest o tyle interesująca, że – jak już wspomniałem – eksperci z różnych krajów są zgodni co do tego, że

eprasa.pl 831690520a

F-16 nie okażą się w tej wojnie „game changerem" ani nie będą „cudowną bronią", jak studził emocje sam gen. Mark Milley, szef połączonych sztabów sił zbrojnych USA.

BLISKO ZAMROŻENIA KONFLIKTU?

O co zatem dokładnie chodzi? Dlaczego państwa dostrzegające dotychczas w przekazaniu Ukrainie zachodnich myśliwców pokroju F-16 duże ryzyko wciągnięcia NATO w bezpośredni konflikt z Rosją ostatecznie ochoczo, a zwłaszcza ostentacyjnie decydują się na ten ruch? Dlaczego, w końcu, myśliwców tych nie przekazano wcześniej, pod kątem zapowiadanej od dłuższego czasu kontrofensywy ukraińskiej, coraz częściej przedstawianej jako ostatnia szansa, a planuje się te dostawy najwcześniej na przyszły rok?

Myślę, że tu właśnie leży możliwy logiczny klucz do spójnego wytłumaczenia całości. W rzeczy samej, coraz częściej pojawiają się głosy, że trudno będzie utrzymać ten sam poziom zaangażowania zachodniej pomocy zbrojnej dla Ukrainy, stąd m.in. jasno wypowiedziana przez prezydenta Czech, gen. Petra Pavela, opinia, że obecna kontrofensywa jest tak naprawdę ostatnim otwartym okienkiem działania ofensywnego w najbliższej perspektywie czasowej. Ale czy podobna ukraińska ofensywa ma w obecnych realiach w ogóle szanse powodzenia?

Wobec rozbudzonych przez media oczekiwań nie brakuje głosów ekspercckich studzących wyobraźnię, dających do zrozumienia, że zważywszy na umocnienia obronne i gotowość sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej oraz jej wciąż przeważające możliwości artyleryjskie, ukraińska ofensywa z prawdziwego zdarzenia mogłaby zostać okupiona zbytnią daniną krwi atakujących, na którą Ukraina po prostu pozwolić sobie nie może. Nie odmawiając Kijowowi możliwości zaskoczenia tych ostrożnych, by nie powiedzieć sceptycznych głosów, ich echo słychać także wśród wyższej rangi wojskowych amerykańskiego Departamentu Obrony, którzy – jak donosiło w maju Politico – mówią wprost, że najbardziej realistyczną perspektywą zakończenia obecnej wojny jest jej zamrożenie na wzór „koreański". Aby jednak taki wariant był możliwy, Ukraina musiałaby dysponować odpowiednimi siłami zniechęcającymi

F-16 mają nie tyle wzmocnić kontrofensywę, ile wzmocnić ukraińskie siły zbrojne najwcześniej na przyszły rok

Rosję do „odmrażania" raz po raz konfliktu na jej korzyść – a w taki plan logicznie wpisywałaby się silna flota kilkudziesięciu myśliwców F-16 (ze strony ukraińskich polityków pada rząd wielkości 50–100 sztuk).

Na poparcie tej tezy wskazywałby także inny, prozaiczny element. Trudno sobie wyobrazić przekazanie Ukrainie tej wielkości floty zaawansowanych technologicznie samolotów bez zróżnicowanego personelu obsługi naziemnej. Planowane na cztery miesiące szkolenie na samolotach F-16 ukraińskich pilotów sowieckich myśliwców może okazać się o wiele krótsze niż np. formowanie rodzimych mechaników wyspecjalizowanych w obsłudze tych amerykańskich maszyn, nie wspominając o problemie chronienia towarzyszącej im technologii w kraju bądź co bądź wciąż ogarniętym korupcją, by przypomnieć niedawne afery zarówno wśród władz cywilnych (Sądu Najwyższego), jak i wewnątrz resortu obrony.

Trudno w każdym razie wyobrazić sobie, aby w dobie obecnej wojny cały zachodni korpus obsługi, potrzebny w dodatku dla przynajmniej kilku rozproszonych lotnisk, był tak po prostu wysłany na Ukrainę, bez reakcji Moskwy, nie wspominając o tym, że zarówno ten personel, jak i same maszyny byłyby priorytetowym celem dla rosyjskich rakiet.

Można, owszem, odrzec, że podobne rzeczy i tak już się dzieją, że zachodni kontrahenci wojskowi różnych branż specjalizacyjnych już pracują na Ukrainie, ale, po pierwsze, chodzi tu o efekt skali i znaczenia całej takiej floty myśliwców, a po drugie, systematyczne uzasadnianie faktów dokonanych w ostateczności może się okazać mieczem obosiecznym, przynajmniej na poziomie retorycznym. Mało zauważony, ale prawdziwy paradoks: kiedy sekretarz obrony Wielkiej Brytanii uzasadniał niedawną ukraińską inkursję zbrojną na terytorium Rosji w obwodzie biełgorodzkim (co do której Amerykanie pospieszyli oświadczyć, że nie mają z nią nic wspólnego), wypowiedział w rzeczywistości zasadę ofensywnej wojny prewencyjnej, umożliwiającej uprzedzające niszczenie potencjału militarnego wroga na jego własnym terytorium. Zdaję sobie sprawę, że podobny wariant wpisuje się w założenia wojny sprawiedliwej, ale pomijając już to, że dokładnie identyczną retorykę Rosjanie stosują wobec Kijowa od początku ich „operacji specjalnej" mającej właśnie rozbroić Kijów – czytaj: uczynić Ukrainę krajem militarnie neutralnym wobec Rosji (z Krymem włącznie) – równie dobrze np. kluczowe dla Ukrainy w państwach przyfrontowych bazy logistyczne też mogą w końcu stać się celem „prewencyjnych" uderzeń Rosji. Mimo dotychczasowego braku spektakularnie odczuwalnych dla zachodniej opinii publicznej działań odwetowych (co nie znaczy, że takich działań w ogóle nie ma – patrz: notoryczne wykolejenia w USA pociągów z substancjami chemicznymi, trudno wytłumaczalne w inny sposób), nie można tak po prostu dojść do konkluzji, że ostatecznie, po tylu dostawach coraz bardziej zaawansowanego sprzętu (leopardy, baterie Patriot…) czy nawet zasobów ludzkich (by wspomnieć samozwańczy, ale angażujący mimo wszystko w swej nazwie Polskę „Legion Polski", atakujący terytorium rosyjskie), nie ma dla Zachodu, w tym Polski, nieprzekraczalnych czerwonych linii, na które Moskwa, a zwłaszcza Moskwa postawiona pod ścianą, w końcu nie zareaguje.

Możliwe jednak, że to tłumaczenie, które w moich oczach jawi się jako najbardziej logiczne – przygotowanie przyszłych sił zbrojnych Ukrainy na czas zamrożonej wojny – trafne nie jest, a europejscy przywódcy, z błogosławieństwem USA, które jednak przezornie wolą wciąż trzymać się w tej kwestii z boku, przestali sądzić, że dostarczenie wysokiej klasy myśliwców bojowych Ukrainie stanowi poważne ryzyko eskalacji konfliktu z możliwością jego rozlania się na inne kraje tudzież po prostu wojna z Rosją przestała być im straszna. Owszem, nie brakuje głosów nawołujących do minimalizacji, a zwłaszcza akceptacji zachodzącego ryzyka, ale jeśli o mnie chodzi, to podobną zmianę wcześniej wyrażonego zdania w tak „wrażliwej" kwestii, przy jednoczesnych oczywistych unikach odpowiedzialności ze strony USA, traktowałbym jako przejaw szaleństwa.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

Szwecja zmienia kurs

Łukasz Warzecha ze Sztokholmu

Migranci i związana z nimi przestępczość już zmieniły polityczne wybory Szwedów. Czy obecny rząd upora się z tym problemem? I czy mieszkańcom wystarczy cierpliwości, by doczekać efektów?

W maju centrum Sztokholmu wygląda pięknie, choć nie do końca odpowiada wyobrażeniom o stolicy kraju głęboko ekologicznego i progresywnego. W godzinach szczytu wąskie ulice mocno się korkują, a samochody to w zdecydowanej większości pojazdy spalinowe, a nie elektryczne. Mimo wspaniałej pogody rowerzyści wcale nie dominują. Rozległy terytorialnie Sztokholm to nie zwarta i stosunkowo niewielka Kopenhaga – obiekt westchnień naszych rodzimych aktywistów.

W okolicach przystani, przy placu Raoula Wallenberga (dopiero co odsłonięto tam popiersie dyplomaty ratującego Żydów podczas drugiej wojny światowej), w rejonie, gdzie można znaleźć Muzeum Narodowe, Pałac Królewski oraz budynki Riksdagu, szwedzkiego parlamentu, roi się od turystów. Po wrzynającym się w środek miasta malowniczym fiordzie pływają białe statki wycieczkowe. Jednym słowem – sielanka. Tyle że to centrum. Niewielu turystów decyduje się – bo i po co – na odwiedziny w peryferyjnych dzielnicach Rinkeby, Norsborg czy Fittja, gdzie dominują imigranci, a niebezpieczeństwo, że padnie się ofiarą przestępstwa, jest szczególnie wysokie.

Wszystko to dzieje się w kraju, który we wrześniu ubiegłego roku przeżył polityczne trzęsienie ziemi. Po blisko dziewięciu latach Szwedzi opowiedzieli się przeciwko socjaldemokratom – choć w Riksdagu mają oni nadal największą reprezentację – 107 posłów w liczącej sobie 349 miejsc izbie. Są oni jednak w opozycji, która w sumie ma 173 głosy.

MIGRACJA I WYBORY

Koalicja tworząca rząd to trzy partie: Chadecja, Liberałowie oraz Umiarkowana Partia Koalicyjna, z której wywodzi się premier Ulf Kristersson. W sumie to 103 głosy, więc rząd nie mógłby powstać i funkcjonować, gdyby nie wsparcie ze strony Demokratów Szwecji (DS – 73 miejsca). Przewaga strony rządowej nie jest zatem ogromna, ale wystarczająca do stabilnego rządzenia – pod warunkiem utrzymania poparcia DS.

Demokraci Szwecji (błędnie nazywani w Polsce „Szwedzkimi Demokratami" – a jednak jest to znaczeniowo co innego) to coś w rodzaju szwedzkiej wersji Konfederacji. W standardowej retoryce mainstreamu ugrupowanie założone w 1988 r. określane jest jako prawicowe i populistyczne – określenie stosowane wobec praktycznie każdej partii wyłamującej się z utartego schematu. DS nie przystają w pełni do tego, co określilibyśmy w Polsce jako partia o konserwatywnych zapatrywaniach, bo wspierają choćby „małżeństwa" jednopłciowe oraz inne „postępowe" postulaty z tej sfery. Są jednak krytyczni wobec multikulturowego modelu społecznego, a więc bezkrytycznego przyjmowania imigrantów oraz azylantów, rozdawania im socjalu czy wzrostu podatków.

Poparcie dla DS systematycznie rosło od lat, ale po raz pierwszy mają tak duży wpływ na władzę, co niewątpliwie miało swoje źródło w tym, jak Szwedzi oceniają sytuację w swoim kraju.

– Te wybory oznaczały cofnięcie się w hierarchii potrzeb Maslowa [amerykański psycholog, 1908–1970 – przyp. red.] – mówi „Do Rzeczy" komentator polityczny szwedzkiego dziennika „Svenska Dagbladet" Henrik Torehammar. – Można to umownie przedstawić w następujący sposób: jeśli się bałeś, że padniesz ofiarą strzelaniny lub nie będziesz w stanie ogrzać domu, to głosowałeś na zmianę. Główny nurt opinii uważa, że imigracja wpłynęła na zwiększenie przestępczości, bo nie udało się imigrantów zintegrować, a zamiast tego stworzono nową klasę niższą. I chociaż socjaldemokraci wiele tutaj zmienili, skupili się na silnym państwie i twardej walce z przestępczością, to niewielka większość wyborców uznała, że partie prawej strony lepiej się w tych kwestiach sprawdzą – wyjaśnia szwedzki komentator.

„OBSZARY WRAŻLIWE"

W 2015 r. Jarosław Kaczyński w trakcie sporu o politykę migracyjną UE stwierdził, że w Szwecji istnieją 54 strefy, w których obowiązuje szariat i nie działa szwedzkie prawo. Po lewej stronie sceny politycznej zakipiało oburzenie, a słowa prezesa PiS krytycznie komentowała szwedzka ambasada. Tyle że wszystkie sprzeciwy opierały się na manipulacji.

Twierdzenie o ponad 50 strefach typu no-go (czyli takich, w których policja praktycznie się nie pojawia) Kaczyński wziął z raportu szwedzkiej policji z końca 2014 r. Ambasada Królestwa Szwecji w odpowiedzi na wypowiedź Kaczyńskiego podkreśliła, że „w Szwecji obowiązuje szwedzkie prawo" – tyle że w żaden sposób nie zaprzeczało to stwierdzeniu Kaczyńskiego. Jasne jest, że na całym obszarze państwa, formalnie rzecz biorąc, obowiązuje jego prawo. Problem w tym, że istnieją miejsca, w których obowiązuje ono czysto teoretycznie, ponieważ

eprasa.pl 831690520a

w praktyce nie ma go jak wyegzekwować – i do tego właśnie sprowadza się istota no-go zones.

Lewicowe portale twierdziły, że nie jest to żaden dowód na problemy z imigracją, ponieważ są to po prostu obszary o „zwiększonej przestępczości", a takie istnieją również w Polsce. To oczywista bzdura. Zwiększona przestępczość ma tam miejsce swoją drogą i jest skutkiem etnicznej kompozycji tych miejsc (np. w Rinkeby blisko 90 proc. mieszkańców to imigranci w pierwszym lub drugim pokoleniu), natomiast wspomniane obszary to coś znacznie więcej. I faktycznie są to miejsca pozostające w dużej części poza kontrolą państwa.

Szwedzka policja na określenie takich rejonów używa pojęcia „utsatt område", czyli „obszar narażony" czy też „obszar wrażliwy". Pojęcie „no-go zones" nie funkcjonuje w oficjalnej nomenklaturze, jest natomiast stosowane przez media. Przyjęło się jednak w potocznym języku – podczas spotkań w stolicy Szwecji w maju słyszałem je z ust Szwedów pracujących w instytucjach nie tylko rządu szwedzkiego, lecz także Komisji Europejskiej. Nie zmienia to istoty rzeczy: mowa o obszarach z wysokim współczynnikiem imigrantów, wysoką przestępczością, wysokim bezrobociem. Wszystkie te zjawiska są ze sobą w sposób oczywisty powiązane.

W tej grupie są jeszcze obszary szczególnie narażone i być może o tych raczej powinien był mówić Kaczyński. W 2015 r. takich miejsc było w Szwecji 15. W policyjnym raporcie z roku 2017 mowa była już o aż 61 „utsatt område", aczkolwiek nie miało to podobno związku z pogorszeniem się sytuacji, a jedynie z zaostrzeniem kryteriów raportowania. Obszary szczególnie narażone były 23, czyli o osiem więcej niż dwa lata wcześniej. Będąc w Sztokholmie w maju, od jednego ze szwedzkich urzędników usłyszeliśmy, że obecnie jest ich 22. W samym Sztokholmie to sześć miejsc, w tym wspomniana dzielnica Rinkeby. W Malmö szczególnie narażone są trzy obszary ryzyka z w sumie czterech. W Göteborgu – pięć na dziewięć. Duże szwedzkie miasta wypadają tu, rzecz jasna, najgorzej.

Podczas rozmów, które prowadziliśmy w Sztokholmie, problem obszarów szczególnie wrażliwych omawiany był jako oczywistość. Żaden z naszych rozmówców nie próbował tego zjawiska maskować czy udawać, że nie istnieje. Byłoby to zresztą kompletnie bezcelowe, wziąwszy pod uwagę, że był to jeden z motywów zeszłorocznej kampanii wyborczej, a dane pojawiają się w oficjalnych raportach. Można było jednak mieć wrażenie, że po zmianie władzy nastąpiło w tej sprawie swego rodzaju odblokowanie.

Premier Ulf Kristersson (pozdrawiający ręką) stworzył rząd popierany przez prawicowych Demokratów Szwecji FOT. NILS P. NILSSON/GETTY IMAGES

WZROST PRZESTĘPSTW Z UŻYCIEM BRONI

Problemem, który skłonił Szwedów do powierzenia rządów nowej ekipie, był także drastyczny wzrost brutalnej przestępczości – przede wszystkim tej z użyciem broni. Szwecja odnotowywała coraz większą liczbę tego rodzaju przestępstw od połowy lat 2000. W 2021 r. wzrost przestępstw z użyciem broni palnej był 10-krotny w relacji do początku lat 90. Ta tendencja jest nieodmiennie wiązana z przestępczością zorganizowaną, a do większości czynów dochodzi we wspomnianych obszarach wrażliwych. Ofiarami padają przede wszystkim inni członkowie gangów, ale – jak to w przypadku strzelanin w publicznych miejscach – nie tylko. W latach 2011–2020 od broni palnej zginęło aż 46 przypadkowych osób.

W samym 2022 r. za pomocą broni palnej zamordowano w Szwecji 60 osób. Statystyka jest alarmująca i radykalnie różni Szwecję od państw regionu, gdzie podobnych przestępstw zdarza się zaledwie kilka w ciągu roku. To zresztą dowód na brak związku pomiędzy liczbą sztuk broni w prywatnych rękach a poziomem

eprasa.pl 831690520a

tego typu przestępczości. W Szwecji na 100 osób przypada 23,14 sztuki broni, a sąsiedniej Finlandii – 32,36 sztuki, a tymczasem w ubiegłym roku odnotowano tam tylko dwa zabójstwa z użyciem broni palnej.

Kilka lat temu miałem okazję rozmawiać z ówczesnym szwedzkim ambasadorem w Warszawie. Pytany o przestępstwa z użyciem przemocy wyjaśnił, że faktycznie dochodzi do nich w zdecydowanej większości w środowiskach imigranckich. Mechanizm wygląda tak, że za przybywającymi do Szwecji imigrantami, którzy zakładają swoje małe biznesy – np. restauracje – przyjeżdża mafia z danego kraju, która zaczyna wymuszać haracze głównie od swoich rodaków. Jest to problem choćby z imigracją z Bałkanów, szczególnie z Albanii. Do gwałtownych przestępstw dochodzi, gdy poszczególne gangi w ramach tej samej nacji zaczynają walczyć o wpływy lub próbują wykraczać poza swój zwyczajowo przyjęty obszar działania (np. Albańczycy próbują wymuszać haracze od Syryjczyków).

Poprzedni, socjaldemokratyczny rząd dostrzegał problem – zapewne przez pryzmat własnych spadających notowań – zaostrzył więc kary za przestępstwa z użyciem broni i zabrał się za wzmocnienie zbyt słabej policji. W ok. 10,5-milionowej Szwecji jest ok. 21 tys. policjantów, co oznacza, że na 100 tys. mieszkańców przypada ok. 205 funkcjonariuszy. W Polsce jest to ok. 265 policjantów na 100 tys. obywateli.

WZMACNIANIE POLICJI, ZATRZYMANIE MIGRACJI

Co zamierza z tym ambarasem zrobić rząd Kristerssona? Jeden z naszych rozmówców, związany z obecną władzą, stwierdził, że zaniedbania są ogromne, więc nie da się ich naprawić szybko. Mowa była o dwóch, nawet trzech kadencjach. Jednym z podstawowych sposobów miałoby być wprowadzenie do stref szczególnie narażonych policji na stałe. Najpierw jednak konieczne jest ukończenie procesu jej reformowania i wzmacniania. Kluczowe natomiast ma być powstrzymanie napływu nowych imigrantów.

– Jeśli tego nie zrobimy, to nie będziemy w stanie poradzić sobie z problemami, które mamy w tej chwili – usłyszeliśmy. Już teraz Szwecja akceptuje jedynie 25 proc. składanych tam wniosków azylowych.

– To oznacza – mówił nasz rozmówca – że pozostałe 75 proc. to zwyczajni imigranci zarobkowi, którzy próbują skorzystać bezzasadnie z procedury azylowej. To nie znaczy, że w krajach, z których pochodzą, jest doskonale, ale nie ma tam sytuacji uzasadniającej przyznanie im azylu politycznego.

Jeśli rząd Kristerssona sobie nie poradzi, to wyborcy mogą szybko cofnąć mu kredyt zaufania.

– Obecna sytuacja wyraźnie odbija się w badaniach – tłumaczy Henrik Torehammar ze „Svenska Dagbladet". – Znacznie większa niż wcześniej liczba Szwedów o lewicowych poglądach uznaje teraz, że sprawy w kraju idą w złym kierunku, podczas gdy prawicowi wyborcy uważają, że idą lepiej niż przedtem. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, niezadowolenie z działań rządu w tych sprawach jest wysokie – zaznacza szwedzki komentator. – Partie tworzące koalicję bardzo wywindowały oczekiwania, a zmiany wymagają czasu. Przestępczość jest nadal na czołówkach gazet i to się szybko nie zmieni.

Pytanie brzmi: Czy prawicowy szwedzki rząd jest w stanie w ogóle osiągnąć deklarowane cele i czy wyborcy będą na to cierpliwie czekać? Zwłaszcza że problemy znane były od lat, a niezadowolenie rosło. Jeszcze w 2018 r. niezależny magazyn internetowy zajmujący się tematyką społeczną, „Kvartal", opublikował wywiad wideo Pauliny Neuding (dziś w „Svenska Dagbladet") z dwoma wieloletnimi pracownikami szwedzkiego pogotowia: Henrikiem Johanssonem i Gordonem Grattidgem. Obaj związani byli ze związkami zawodowymi, zrzeszającymi pracowników ratownictwa medycznego. Johansson i Grattidge tłumaczyli, że ataki na pracowników służb ratunkowych to nie są już – jak kiedyś – odosobnione incydenty. Opowiadali, że ambulanse są atakowane przez zorganizowane grupy ludzi i że dzieje się to szczególnie w wyżej opisanych obszarach szczególnie wrażliwych.

Do stref szczególnie narażonych policja ma być wprowadzona na stałe

– Gdy kiedyś o tym mówiliśmy, bardzo brzydko nas nazywano… – mówił Johansson.

– Rasistami? – indagowała Neuding.

– Tak – potwierdził Johansson.

Niektóre tabu, jak widać, walą się pod naporem skrzeczącej rzeczywistości. Byłoby dobrze, gdyby Polska nie powtarzała cudzych błędów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wizytę polskich dziennikarzy w Sztokholmie zorganizowało przedstawicielstwo Komisji Europejskiej w Warszawie.

eprasa.pl 831690520a

Z prof. Tomaszem Panfilem, głównym specjalistą Biura Edukacji Narodowej IPN w Warszawie
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Firmy Hitlera

TOMASZ D. KOLANEK: Na początku roku wystartowała wystawa IPN na temat gospodarki III Rzeszy pana autorstwa. Krótka piłka, panie profesorze: które z do dzisiaj istniejących niemieckich firm współpracowały z reżimem Adolfa Hitlera?

PROF. TOMASZ PANFIL: Przepraszam, panie redaktorze, ale obiecał pan, że nasza rozmowa potrwa maksymalnie godzinę...

?

Godzina na pewno nie wystarczy, żeby wymienić wszystkie niemieckie firmy współpracujące z Hitlerem.

Aha... No to proszę, aby wymienił pan te najważniejsze...

Tytułem wstępu: Aly Götz – niemiecki historyk, który napisał bardzo dobrą, chociaż dość trudną w lekturze książkę pt. „Państwo Hitlera" – twierdzi, że 90 proc. niemieckich firm w okresie 1933–1945 korzystało z pracy robotników przymusowych. Oznacza to, że te firmy nie tylko akceptowały postępowanie sprzeczne z jakimikolwiek prawami człowieka i konwencjami podpisanymi przez Niemcy. Oznacza to również, że firmy te budowały swój majątek, korzystając z pracy czysto niewolniczej oraz bardzo taniej, przymusowej. Robotnicy przymusowi w III Rzeszy otrzymywali bowiem wynagrodzenie, ale było ono znacznie niższe od wynagrodzenia robotników niemieckich, a w dodatku jeszcze obłożone rozmaitymi podatkami, które szły na rachunki III Rzeszy.

Mieliśmy więc do czynienia z potrójną eksploatacją robotników przymusowych: byli zmuszani do pracy na rzecz państwa, które zaatakowało i podbiło ich kraj; dostawali groszowe pensje, przez co niemieckie firmy znacznie obniżały koszty i podnosiły zyski; płacili wysokie podatki, które trafiały na rachunek III Rzeszy i były wykorzystywane na zbrojenia i dalsze podboje.

Pyta pan o „najważniejsze firmy". Jedną z nich był Auto Union. Nazwa może być niektórym obca, ale jak powiem, że znaczkiem tej firmy były i są cztery splecione ze sobą kółka, to wszystko będzie jasne...

Bayer – firma znana zdecydowanej większości Polaków. W czasach

eprasa.pl 831690520a

Ferdinand Porsche prezentuje Adolfowi Hitlerowi model Volkswagena

FOT. HEINRICH HOFFMANN/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

III Rzeszy była to jedna z najbardziej ohydnych firm, jakie w ogóle można sobie wyobrazić.

Producent leków ratujących zdrowie i życie?

A tak! Na początku 1943 r. w dzienniku „Warschauer Zeitung" (nr 8) firma Bayer reklamowała się następująco: „Niech Państwo pomyślą o tym, ile chorób można uleczyć środkami leczniczymi firmy Bayer, ile cierpień złagodzić". W tym czasie Niemcy uśmiercili już ponad 2 mln Żydów, znaczną część z nich przy pomocy cyklonu B. Producentem cyklonu B była firma Degesch w 42,5 proc. należąca do Bayer AG. To firma Bayer, pracując nad rozmaitymi lekarstwami, wykorzystywała w charakterze królików doświadczalnych więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych.

Pewien pracownik firmy Bayer, kiedy został lekarzem obozowym w Dachau, pisał do swoich kolegów po fachu z Leverkusen, gdzie znajduje się siedziba tej firmy: „Możecie sobie wyobrazić, z jakim zapałem rzuciłem się w wir nowych obowiązków, zwłaszcza że mam możliwość praktycznego wypróbowania także naszych preparatów. [...] Gdy porównuję wszystko z poprzednim okresem, wydaje mi się, że trafiłem do raju". Tym rajem był dla niego OBÓZ KONCENTRACYJNY w DACHAU! To nie jest przykład jakiegoś fanatycznego nazisty. Takich przypadków były setki tysięcy, miliony, co pokazuje, jaka była mentalność „zwykłego pracownika zwykłej niemieckiej firmy".

Dalej mamy firmę chemiczną AGFA, mamy firmę motoryzacyjną Daimler-Benz, mamy firmę Henkel, mamy firmę Mercedes.

Ferdinand Porsche opracował „samochód dla ludu", czyli Volkswagen. Stało się to na osobiste życzenie Hitlera. Warto tutaj zwrócić uwagę, że prawie 400 tys. robotników odkładało co tydzień pieniądze na książeczkę, żeby dostać volkswagena. Żaden z nich do wybuchu wojny nie dostał swojego egzemplarza „samochodu dla ludu". To, co przygotowano rzekomo dla ludu w czasie drugiej wojny światowej, służyło do produkcji tzw. Kübelwagen, czyli znanych wszystkim miłośnikom filmów wojennych niemieckich terenówek. Wyprodukowano ich ponad 52 tys. właśnie w zakładach Volkswagena. Kübelwagen był podstawowym samochodem Wehrmachtu.

Cały czas wymienia pan tylko te „najważniejsze firmy"?

Tak! Znana wszystkim, doskonale funkcjonująca do dzisiaj i mająca się bardzo dobrze firma Siemens to kolejny przykład.

Następna jest firma Hugo Boss, która w 1932 r. była na skraju bankructwa, a w roku 1941 zarabiała ponad 3 mln marek rocznie, czyli 100 razy więcej niż 10 lat wcześniej. To dobrze pokazuje skalę „rozwoju firmy" pod rządami hitlerowców.

Firma Continental, która do dzisiaj produkuje opony. Warto wiedzieć, że firma ta w czasach III Rzeszy nieustannie doskonaliła skład gumowych mieszanek, z których robiła opony. Nowe mieszanki testowano w ten sposób, że robiono z nich podeszwy do chodaków i zmuszano więźniów obozów koncentracyjnych do maszerowania. Więźniowie maszerowali dziesiątki, setki kilometrów. Jak któryś padał z wyczerpania, to go dobijano. Życie było warte mniej niż zużycie podeszew dla firmy Continental.

Z wyników firmy Continental korzystały inne firmy, np. zajmujące się obuwiem. Jedną z nich była znana firma Salamander.

Dalej: jeden z najpotężniejszych niemieckich koncernów spożywczych – Dr. Oetker. Firma ta dorobiła się wielkiego majątku dzięki państwu Hitlera. Zaczęło się od tego, że właściciele firmy wykupowali za bezcen żydowskie przedsiębiorstwa. Z kolei w czasie wojny Dr. Oetker dostarczał III Rzeszy rozmaitego typu koncentraty. Budynie tej firmy, które dzisiaj są powszechnie dostępne w sklepach w Polsce i w Europie, w czasie wojny dostarczano armii w 10-kilogramowych opakowaniach opatrzonych napisem „Puddingpulver für die Wehrmacht".

Nie zapominajmy również o „białych kołnierzykach". Pierwszy z brzegu przykład – Deutsche Bank, czyli firma, która finansowała „niemieckie inwestycje", takie jak obóz w Auschwitz oraz przyległy do niego obóz Monowitz. Pracownicy Deutsche Banku ponadto bardzo „zasłużyli się" Niemcom będącym u władzy, bo np. pomogli przerzucić z Rzeszy do Turcji prawie 5 tys. ton złota pochodzącego oczywiście z rabunku. To jednak nie wszystko. Deutsche Bank to również firma przejmująca – czyli rozkradająca – polskie przedsiębiorstwa, polskie banki oraz trudniąca się paserstwem i przerzutem kosztowności za granicę.

Miał pan rację... Godzina to chyba za mało, bo widzę, że dopiero się pan rozkręca...

Mówiłem panu... Firma ubezpieczeniowa Allianz bardzo chętnie ubezpieczała od nieszczęśliwych wypadków strażników niemieckich obozów koncentracyjnych, którym „mogło się coś stać". Mogli spaść z wieży wartowniczej, mogli przytrzasnąć sobie palce zamkiem karabinu maszynowego, mogli poranić się o drut kolczasty albo oparzyć o rozgrzane drzwi do pieca krematoryjnego...

eprasa.pl 831690520a

Lufthansa chętnie korzystała z pracy robotników przymusowych. Firma ta miała specjalną ekipę, która krążyła po Polsce i wyszukiwała dobrych mechaników po to, aby ich porwać i zmusić do przymusowej pracy.

Deutsche Reichsbahn, czyli koleje niemieckie. Obecnie mają one nazwę Deutsche Bahn, ale jest to ta sama firma, która ukradła 100 proc. polskich lokomotyw i wagonów, którymi woziła niemieckich żołnierzy, ukradzione dobra, więźniów do obozów zagłady, oczywiście pobierając za to wynagrodzenie od państwa niemieckiego. Za wykonaną pracę należała się bowiem odpowiednia płaca, a że działalność niemieckich kolei była niezwykle ważna, to i płaca była niemała.

Proponuję w tym miejscu zakończyć te wyliczenia. Wymienionym przez pana niemieckim firmom w okresie III Rzeszy zależało tylko na zarabianiu wielkich pieniędzy czy może działały one również z pobudek ideologicznych, bo wierzyły w nazizm?

Od dłuższego czasu się nad tym zastanawiam. Bardzo długo myślałem, że Niemcy nas mordowali po prostu z nienawiści rasowej: oni są nadludźmi, my podludźmi; nadczłowiek nienawidzi podczłowieka, więc go likwiduje. Teraz jednak widzę, że było jeszcze gorzej. Niemcy mordowali Polaków, Żydów i innych dlatego, żeby im się cyferki w bilansach zgadzały...

Chodziło o bilans. Każda dobrze prowadzona firma prowadzi książkę wydatków i zysków. Jeżeli wydatki przekraczają zyski, to należy coś zrobić, np. obniżyć koszty. Jeżeli niemieckiemu urzędnikowi nie podobał się bilans zysków i strat, wówczas pisał raport, gdzie stwierdzał np., że getto żydowskie w Łodzi przestało być opłacalne...

Przepraszam, ale jak mogło przestać być opłacalne, skoro – jak sam pan mówił – były tam albo głodowe stawki, albo praca niewolnicza? Jak niewolnik może być nieopłacalny?

Bo za dużo je.

Jak za dużo je?! Osiemset kalorii dziennie na jednego mieszkańca getta to dla Niemców było za dużo?!

Osiemset kalorii... W pewnym okresie w getcie warszawskim wartość kaloryczna przypadająca na jednego Żyda wynosiła... niespełna 200 kalorii.

Chyba lepiej, aby Niemcy zabijali nas z nienawiści, niż traktowali nas jako cyferki w bilansie. Nienawiść jest uczuciem, do którego są zdolni tylko ludzie. Zabijanie na podstawie bilansu, o którym mówię, jest... Nie wiem czym...

Specjalnie w poprzedniej wypowiedzi wywołałem getto w Łodzi, bo było to zupełnie specyficzne miejsce. Przywódcą getta w Litzmannstadt (bo tak nazywała się wówczas przyłączona do Rzeszy Łódź) był Chaim Rumkowski. Człowiek ten głosił hasło: „Naszym jedynym ratunkiem jest praca. Tak długo, jak dobrze pracujemy i zyski z naszej żydowskiej pracy w łódzkim getcie przekraczają straty, tak długo nas nie zabiją".

Po drodze zdarzały się „cięcia kosztów": np. we wrześniu 1942 r. Niemcy żądają od Rumkowskiego, żeby oddał im na zabicie 20 tys. ludzi z getta łódzkiego. Wówczas Rumkowski występuje i wygłasza jedno z najstraszliwszych przemówień w dziejach ludzkości. Mówi on do Żydów: „Ojcowie i matki – dajcie mi swoje dzieci!". I tłumaczy, że chodzi o małe dzieci mające 3, 5, 6, 7 lat. One są nieproduktywne, a wymagają jedzenia. Dzięki zamordowaniu maluchów, starców i chorych – oni też nie mogą pracować – starsze dzieci będą mogły pracować i nie zostaną zabite. I kończy słowami: „Część, która może być ocalona, jest o wiele większa niż ta, która musi być oddana!".

Aż trudno sobie to wyobrazić... Nie wiem, co jest straszniejsze: żądanie Niemców, apel Rumkowskiego czy to, że znaleźli się Żydzi, którzy oddali swoje dzieci do zabicia...

Ponad 20 tys. ludzi, którzy z niemieckiego punktu widzenia byli nieproduktywni, czyli dzieci poniżej 10 lat, czyli chorzy i starcy, poszło na zagładę po to, żeby w łódzkim getcie zostali tylko sprawni i produktywni.

Z 3 mln Żydów, którzy mieszkali w granicach Generalnego Gubernatorstwa, przeżyło kilkadziesiąt tysięcy. Taki jest bilans, kiedy kończy się rok 1943: były 3 mln, zostało ok. 50–60 tys.

Natomiast w getcie w Łodzi, czyli na terenie III Rzeszy, a nie Generalnego Gubernatorstwa, wciąż żyje i pracuje 70 tys. Żydów. Niemcy nie zabijają Żydów łódzkich dopóty, dopóki są oni produktywni, dopóki bilans można zamknąć plusem po stronie zysków.

To była „wojna białych kołnierzyków", ponieważ o śmierci kilkudziesięciu tysięcy Żydów w łódzkim getcie – co nastąpiło w sierpniu 1944 r. – zdecydował urzędnik z ministerstwa finansów w Berlinie, któremu przestał zgadzać się bilans, więc postanowił on „ciąć koszty", czyli wymordować ludzi.

Mówię o tym, ponieważ dochodzę do wniosku, że chyba lepiej, aby Niemcy zabijali nas z nienawiści, niż traktowali nas jako cyferki w bilansie. Nienawiść jest uczuciem, do którego są zdolni tylko ludzie. Zabijanie na podstawie bilansu, o którym mówię, jest... Nie wiem czym...

Ale jakże to niemieckie... W czasie pierwszej wojny światowej niemieccy dowódcy mówili, że kobiety w Niemczech rodzą 2,72 dziecka, a francuskie kobiety jedynie 1,6 dziecka, więc w ostatecznym bilansie to Niemcy przetrwają...

Mówi pan o doktrynie ofensywy pod Verdun. „Wyniszczymy armię jedynaków" – tak brzmiało wówczas hasło niemieckie. Dwadzieścia pięć lat później mieliśmy coś podobnego, a jednocześnie okropniejszego, bo chodziło nie o zabijanie wrogich żołnierzy, lecz o mord dokonywany na najsłabszych i bezbronnych...

Redukcja człowieka do pozycji w bilansie – to jest to, o czym pisał prof. Feliks Koneczny, definiując cywilizację bizantyjską, czyli właśnie niemiecką. Jednostka liczy się o tyle, o ile jest pożyteczna dla państwa. Jeżeli jest niepożyteczna, nieproduktywna i państwo nie ma z jednostki, z człowieka korzyści, to go likwiduje.

Dlaczego Niemcy zabili wszystkich pacjentów szpitali psychiatrycznych? Żeby oszczędzać pieniądze... Niemcom tłumaczono, że to są nieproduktywni ludzie, na których utrzymanie i przeżycie państwo musi wydawać pieniądze. Według niemieckiej logiki tak nie można

eprasa.pl 831690520a

było, więc przeprowadzono akcję T4, mordując ludzi potrzebujących pomocy lekarskiej...

„Życie niewarte życia" – jak mówili Niemcy...

Proszę zobaczyć – NIEWARTE! Zabicie jest oszczędnością. Dzięki zabiciu wszystkich, do których życia trzeba dopłacać, zwykli zdrowi Niemcy będą mogli płacić niższe podatki...

Powtórzę: w przypadku nienawiści przynajmniej wiemy, że mamy do czynienia z ludźmi. W przypadku organizacji niemieckich przedsiębiorstw mamy do czynienia z bezdusznością, z odczłowieczeniem. Dla nas – Polaków wychowanych w cywilizacji łacińskiej – człowiek ma godność. Dla Niemców nie ma godności – ma wartość.

Dlaczego po wojnie wszystkie wymienione przez pana firmy osiągnęły sukces? Dlaczego nikt ich nie rozliczył za to, co robiły?

Po wojnie skazano tych, którzy popełnili zbrodnie. Hugo Boss został po wojnie uznany za aktywnego działacza NSDAP i sponsora partii nazistowskiej. Uznano, że jego firma była beneficjentem reżimu. Bossa ukarano grzywną w wysokości 100 tys. marek. Dodatkowo pozbawiono go praw obywatelskich i zmuszono do oddania firmy. W apelacji uznano jednak, że to, iż wykorzystywał on robotników przymusowych, że szył mundury dla Wermachtu, SS, Hitlerjugend, SA etc., jest nieważne. Uznano, że był tylko sympatykiem Hitlera, a co za tym idzie – cofnięto pierwszy wyrok.

Mamy całe mnóstwo ludzi, którzy zostali skazani za zbrodnie, ale po roku, dwóch–trzech latach wyszli z więzienia.

Doradcą kanclerza Konrada Adenauera był Hans Globke – jeden z autorów ustaw norymberskich, w których definiowano np., kto jest Żydem. Nie był to jedyny nazista w otoczeniu Adenauera. Kanclerz bardzo mocno lubił się nimi otaczać i z nimi współpracować. Dla niego najważniejszą wartością było państwo niemieckie, więc doprowadzał on do ułaskawiania zbrodniarzy III Rzeszy, aby mogli oni działać po wojnie i... generować zyski.

Parę nazwisk z tysięcy: Carl Wurster, pracownik IG Farben, który w 1939 r. przejmował na rzecz syndykatu polskie zakłady chemiczne, w 1941 r. został członkiem Rady Gospodarki Wojskowej Izby Gospodarczej Rzeszy. W 1943 r. otrzymał on Krzyż Zasługi Wojennej I klasy. Od 1952 r. był szefem firmy BASF, potem członkiem zarządu Deutsche Bank.

Fritz ter Meer, pracownik Bayer AG, który planował budowę fabryki IG Farben w Monowicach, budował fabrykę Buna Werke w Auschwitz. Skazany w Norymberdze za ludobójstwo po odsiedzeniu wyroku wrócił w 1956 r. na stanowisko szefa Bayer AG, na którym pozostawał do 1964 r. Pracował również w zarządach innych firm, m.in. Commerzbanku i Bundesverband Deutscher Banken.

Otto Ambros z Bayer AG pracował nad gazami bojowymi, kierował fabryką w Monowicach (Auschwitz III). Do kolegów napisał, że „nasza nowa przyjaźń z SS jest bardzo owocna". Skazany w Norymberdze za zbrodnie przeciwko ludzkości szybko opuścił więzienie i został doradcą kanclerza Konrada Adenauera, pracownikiem amerykańskiej firmy Dow Chemicals oraz ekspertem w US Chemical Corps. Był także szefem komitetu naukowego w firmie Chemie Grünenthal, firmie będącej własnością braci Wirtz, byłych członków NSDAP. Chemie Grünenthal było azylem dla SS-lekarzy i „naukowców" z obozów koncentracyjnych. Chemie Grünenthal kłamało na temat wprowadzonego na rynek farmaceutyczny w końcu lat 50. leku na poranne nudności o nazwie Cortamid. Lek zawierał talidomid – w efekcie zażywania go przez kobiety w ciąży na świat przyszło 12 tys. dzieci z ciężkimi wadami rozwojowymi, bez nóżek, bez rączek.

Wyliczać dalej?

Umawialiśmy się na godzinną rozmowę...

Dlatego pytam. Mówiąc krótko: w Niemieckiej Republice Federalnej po drugiej wojnie światowej na fotelach dyrektorskich zasiadało całe mnóstwo ludzi skazanych za ludobójstwo, za zbrodnie przeciw ludzkości, za zbrodnie wojenne etc. Dlaczego? Bo interes Niemiec tego wymagał! Nowe Niemcy puszczały więc w niepamięć ich „grzeszki". Ludobójcy składali samokrytykę, bili się w piersi i zapewniali, że zostali zdenazyfikowani.

Zbrodniarze i ludobójcy kilka lat po wojnie wychodzą z więzień, a państwo niemieckie wykorzystuje ich „fachową wiedzę" na wszystkich polach. Mówimy tutaj o niemieckich firmach, ale trzeba również pamiętać o innych „wielkich umysłach" III Rzeszy.

Taki np. Hermann Voss – wybitny anatomopatolog. W czasie wojny człowiek ten był w Poznaniu, gdzie zarządzał krematorium i preparował ciała skazanych przez gestapo Polaków. Potem sprzedawał po 25 reichsmarek czaszki Polaków i Żydów. Pisał w pamiętniku: „Miasto Posen przypada mi zupełnie do gustu, tylko nie powinno tu być śladu po Polakach, byłoby wtedy bardzo pięknie.

Zabicie jest oszczędnością. Dzięki zabiciu wszystkich, do których życia trzeba dopłacać, zwykli zdrowi Niemcy będą mogli płacić niższe podatki...

[...] Naród polski musi być całkowicie wytępiony, inaczej nie będzie spokoju na Wschodzie". Hermann Voss był bardzo dobrym dydaktykiem. Urządzał on swoim studentom konkursy, w których nagrodami były... czaszki Polaków i Żydów.

Po wojnie Voss pracował na uniwersytetach w NRD: w 1959 r. został uhonorowany przez rząd komunistycznych Niemiec medalem i tytułem Wybitny Naukowiec Ludu.

Nie tak dawno Muzeum Historii Naturalnej w Wiedniu odkryło, że ma w swoich zbiorach kilkadziesiąt czaszek Polaków i Żydów kupionych od Vossa.

Żeby było jeszcze głupiej: w roku 1974 polskie wydawnictwo lekarskie wydało podręcznik Hermanna Vossa do anatomii. Do kupienia w antykwariatach i na Allegro.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Tomasz Panfil – historyk, nauczyciel akademicki, doktor habilitowany nauk humanistycznych, profesor nadzwyczajny KUL, specjalista Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 831690520a

Najgroźniejszy kret w FBI

Jacek Przybylski

Agent FBI Robert Philip Hanssen przez ponad 20 lat szpiegował najpierw dla Związku Sowieckiego, a potem dla Federacji Rosyjskiej. W ubiegłym tygodniu został znaleziony martwy w celi. Zanim z wyrokiem dożywocia trafił do więzienia o najwyższym rygorze, za tysiące ściśle tajnych informacji zainkasował z Moskwy aż 1,4 mln dol. w gotówce, diamentach i depozytach na tajnych kontach bankowych

Był 12 stycznia 1976 r., gdy młody Robert Philip Hanssen, świeżo upieczony agent FBI, złożył uroczystą przysięgę. Obiecywał przestrzegać konstytucji i chronić amerykański naród przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Były policjant ponoć rzeczywiście marzył o wielkiej karierze łowcy obcych szpiegów, który działałby w terenie niczym James Bond. Szybko przyszło jednak rozczarowanie. Do działalności w terenie nigdy nie został skierowany. Prędko wylądował za to za biurkiem, gdzie jako analityk odpowiedzialny był za przygotowywanie działań kontrwywiadowczych przeciw Sowietom. Był inteligentny, bystry i – jako jeden z nielicznych – biegły w obsłudze komputerów.

GRZECH ZDRADY

Zaledwie trzy lata od złożenia przyrzeczenia zwalczania wrogów Ameryki agent Hanssen zaczął przekazywać tajne informacje ówczesnemu najgroźniejszemu przeciwnikowi USA: Związkowi Sowieckiemu. Już wówczas był dla Rosjan wartościowym agentem. Jako członek amerykańskiego kontrwywiadu miał bowiem dostęp do największych i najbardziej poufnych sekretów amerykańskiego rządu. Ponoć chciał trochę dorobić i wycofać się z tego procederu. Na początku lat

Robert Philip Hanssen zaczął zdradzać Rosjanom sekrety USA zaledwie trzy lata po rozpoczęciu pracy w FBI FOT. FBI

eprasa.pl 831690520a

80. jego żona – Bonnie – przekonała go, aby porzucił zdradziecką działalność i poszedł do spowiedzi. Spowiednik kazał mu oddać zarobione na zdradzie pieniądze na cele charytatywne, co ponoć Hanssen nawet wówczas zrobił. W wierności wobec ojczyzny wytrwał tylko kilka lat. W 1985 r. powrócił – bez wiedzy żony – do pracy dla Sowietów.

Z oświadczenia FBI wynika, że w liście napisanym rzekomo przez Hanssena do Rosjan sprzedajny amerykański agent tłumaczył, że do prowadzenia ryzykownego życia podwójnego agenta zainspirowały go pamiętniki brytyjskiego podwójnego agenta Kima Philby'ego (jednego z członków tzw. siatki szpiegowskiej Cambridge, który jako zagorzały komunista pracował jednocześnie jako agent brytyjskiej Sekcji V Tajnej Służby Wywiadowczej MI6, zajmującej się zwalczaniem szpiegostwa, i jako agent wywiadu sowieckiego NKWD). Wspomnienia brytyjskiego zdrajcy Hanssen miał przeczytać jako 14-latek i to już wówczas zaczął ponoć marzyć o pójściu w ślady Philby'ego.

W ciągu całej swojej kariery Hanssen, który awansował z Nowego Jorku do centrali w Waszyngtonie, przekazał najpierw funkcjonariuszom KGB, a następnie agentom SWR (Służbie Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej) tak wiele sekretów, że zapisał się na kartach historii jako agent, który wyrządził największe szkody Ameryce w całej historii Federalnego Biura Śledczego. „Dokonywał najbardziej zdradzieckich czynów, jakie można sobie wyobrazić" – mówił bez ogródek były dyrektor FBI Louis Freeh, gdy wreszcie po latach morderczego śledztwa udało się aresztować rosyjskiego kreta w centrali biura.

I trudno się z tą oceną nie zgodzić. Hanssen informował wroga o technikach amerykańskiego wywiadu, zdradzał, jak Amerykanie podsłuchują sowieckie satelity telekomunikacyjne, jak prowadzą wywiad elektroniczny i w jaki sposób przechwytują sowieckie, a następnie rosyjskie wiadomości. To on ujawnił Rosjanom, że pod ich nową ambasadą na terenie USA Amerykanie budują tajny tunel, aby móc ich podsłuchiwać.

Przekazywał również tysiące tajnych dokumentów, a także zdradzał informacje dotyczące agentów USA działających na terenie Związku Sowieckiego, a następnie na terenie Rosji. Sowieci nie patyczkowali się zaś ze zdrajcami pracującymi dla Amerykanów. Oficjalnie wiadomo, że co najmniej dwie osoby wskazane przez Hanssena w liście do jednego z głównych oficerów sowieckiej rezydentury w Waszyngtonie (Motorin i Martynow) zostały odwołane do Moskwy, błyskawicznie osądzone i zabite strzałem w tył głowy. Co najmniej kilku innych agentów pracujących dla USA zostało skierowanych do łagru. O losie wielu z setek ujawnionych tajnych współpracowników Stanów Zjednoczonych niewiele wiadomo.

Przez lata Hanssen nie wzbudzał podejrzeń ani swoich kolegów, ani przełożonych FOT. FBI

A to jeszcze nie koniec szkodliwej działalności agenta FBI. Oficjalnie wiadomo np., że przekazał on Sowietom amerykańskie plany dotyczące tego, jak krok po kroku Stany Zjednoczone zamierzają zareagować na sowiecki atak nuklearny, zarówno w zakresie ochrony najwyższych urzędników państwowych, jak i szczegółów ataku odwetowego.

DŁUGIE POSZUKIWANIE ZDRAJCY

Oczywiście Amerykanie zarówno w FBI, jak i w CIA doskonale wiedzieli, że mają w swoich szeregach potwornie szkodliwego kreta. Przez lata nie mogli jednak wpaść na jego trop. Już w roku 1987 Hanssen dostał od przełożonych rozkaz znalezienia… samego siebie. Miał bowiem odnaleźć „kreta" w siedzibie FBI, który doprowadził do odwołania do Rosji i egzekucji Motorina i Martynowa. Oczywiście sprytny agent tak prowadził to śledztwo, aby wyprowadzić FBI daleko w pole.

Kolejną przerwę w zdradzieckiej działalności „kret" zrobił sobie po upadku Związku Sowieckiego, bojąc się, że chaos w służbach specjalnych upadającego mocarstwa może go narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo. W 1992 r. nawiązał jednak kontakt z GRU. Tajne dokumenty przekazywał już jednak tylko sporadycznie. Gdy 24 lutego 1994 r. w ręce CIA wpadł Aldrich Ames, analityk z tajnych struktur Centralnej Agencji Wywiadowczej, który przez wiele lat szpiegował na rzecz Rosji, amerykańscy śledczy część win Hanssena przypisali właśnie Amesowi.

Chociaż nad sprawą kreta w siedzibie FBI pracowało 300 agentów, to Amerykanom zapewne nigdy nie udałoby się złapać Hanssena. Większość przełożonych i kolegów widziało bowiem w nim co najwyżej dziwaka z Opus Dei. On sam doskonale wiedział zaś, że największym zagrożeniem dla takich jak on jest zdrada po drugiej stronie. Dlatego sami Rosjanie nie wiedzieli, kim tak naprawdę jest ich cenny agent, który w kontaktach z KGB i SWR podpisywał się jedynie jako „Ramon Garcia" lub po prostu „B". Do kontaktów używał zaszyfrowanej komunikacji i dawnych metod szpiegowskich, np. tajne materiały zostawiał w „martwych skrzynkach" (dead drop), przez co rosyjskim szpiegom przez lata nie udało się go zidentyfikować (choć centrala wydała im jasne polecenie, by nie tylko sprawdzić, kto to jest, lecz także znaleźć na „Ramona" jak najwięcej kompromitujących informacji).

Śledczym w Waszyngtonie w rozwikłaniu zagadki pomógł dopiero odpowiednik Hanssena w rosyjskich służbach specjalnych. Niejaki Aleksandr Szczerbakow, oficer zatrudniony w KGB, a następnie w SWR, był stosunkowo łatwym celem dla obcych służb, ponieważ był winny lokalnej mafii ponad milion dolarów. FBI dało mu siedem milionów i pozwoliło rozpocząć życie za oceanem. W zamian Szczerbakow przekazał służbom z USA cały karton akt

eprasa.pl 831690520a

Hanssen tak długo nie został wykryty, bo stosował sprawdzone metody szpiegowskie. Na zdjęciu: zostawiony we wcześniej umówionym miejscu worek z tajnymi dokumentami FOT. FBI

rosyjskiego wywiadu dotyczący podwójnego agenta Ramona Garcii, w tym torbę z odciskami palców oraz nagranie jego głosu. W ten sposób FBI ustaliło, że kretem jest Hanssen. Biuro nie miało jednak wystarczających dowodów, aby go skazać, tymczasem wiekowy już agent powoli zaczynał myśleć o zbliżającej się emeryturze. Trzeba więc było szybko złapać go na gorącym uczynku. Aby to zrobić, Hanssena awansowano na kierownika działu cyberbezpieczeństwa, powierzono mu nowe, fałszywe już zadanie (aby odsunąć go od prawdziwych tajemnic) i posadzono w nowym biurze naszpikowanym ukrytymi mikrofonami i kamerami. Dzięki temu szybko ustalono, że agent nadal współpracuje z Rosjanami. Teraz potrzebne były tylko niezbite dowody, a najlepiej ujęcie go na gorącym uczynku.

PODWÓJNY AGENT, POTRÓJNY ZDRAJCA

Był 18 lutego 2001 r., gdy Hanssen zatrzymał się w parku Foxstone na dalekich przedmieściach Waszyngtonu w pobliżu skromnego domku, w którym mieszkał z żoną i sześciorgiem dzieci. Pod małym drewnianym mostkiem w plastikowym worku ukrył wykradzione tajne dokumenty, które miał później zabrać stamtąd agent rosyjskiego wywiadu. Gdy został ujęty na gorącym uczynku, nie wydawał się bardzo zaskoczony. – Strasznie długo wam to zajęło – miał rzucić do otaczających go agentów FBI.

Rosyjski kret w FBI został oficjalnie oskarżony o szpiegostwo na rzecz Związku Sowieckiego oraz Rosji. Podczas rozprawy w lipcu owego roku przyznał się aż do 13 zarzutów szpiegostwa, a także do dwóch dotyczących usiłowania szpiegostwa. Przy okazji śledztwa wyszło na jaw, że zdradzał nie tylko swój kraj, lecz także swoją żonę, którą potajemnie nagrywał w sypialni, a następnie pokazywał swe pornograficzne filmiki jednemu z przyjaciół. Zdradzał też małżonkę z tancerką klubu ze striptizem.

Mimo straszliwych konsekwencji jego działalności dla bezpieczeństwa USA prokurator nie domagał się jednak kary śmierci dla rosyjskiego kreta – wydawałoby się jedynej rozsądnej opcji w tego typu sytuacji (i za takim właśnie rozwiązaniem miał opowiadać się ówczesny sekretarz obrony USA Donald Rumsfeld).

Pozostawienie kreta przy życiu – a więc opcja, którą preferował szef CIA George Tenet – była nagrodą za to, że zdrajca poszedł na współpracę również ze swoimi służbami. Dopiero po jego schwytaniu i przy jego współpracy śledczy odkryli poważne luki w zabezpieczeniach systemu dostępu do tajnych informacji. Hanssen miał pełny dostęp do systemów komputerowych FBI i Departamentu Stanu. Mimo to nigdy przez 25 lat pracy w Federalnym Biurze Śledczym nie został poddany choćby badaniu wariografem. Opowiadając ze szczegółami o swojej współpracy z Sowietami i z Rosjanami, agent FBI przyznał, że otrzymał w zamian 1,4 mln dol. w gotówce, w diamentach i za pomocą przelewów na rosyjskie konta.

CZYSTSZA WERSJA PIEKŁA

FBI zaostrzyło więc procedury dotyczące wewnętrznej kontroli stanu finansów własnych agentów mających dostęp do najwrażliwszych sekretów Stanów Zjednoczonych. Wprowadzono również rutynowe badania, czyli urządzeniem zwanym potocznie wykrywaczem kłamstw, aby zwiększyć szanse na szybkie wykrycie kolejnego kreta.

W 2002 r. Hanssen usłyszał wyrok: 15-krotna kara dożywotniego więzienia bez możliwości wcześniejszego zwolnienia w więzieniu, w którym rygor jest tak wielki, że dla wielu śmierć byłaby o wiele przyjemniejsza. Kret z FBI trafił bowiem do położonego u podnóża Gór Skalistych w Kolorado ADX Florence – nafaszerowanego kamerami, czujnikami ruchu etc. specjalnego zakładu federalnego o maksymalnym rygorze, nazywanego Alcatraz XXI w. Jeden z byłych strażników – Robert Hood – nazwał to miejsce „czystszą wersją piekła". To tu w pojedynczych celach o wymiarach 3 na 2,5 m, w których wszystko, łącznie z biurkiem oraz z łóżkiem, odlano z betonu, trafiały takie „gwiazdy" jak meksykański handlarz narkotykami Joaquín Guzmán Loera („El Chapo"), znany jako Unabomber Ted Kaczynski czy mózg zamachów na World Trade Center z 1993 r. Ramzi Jusuf. Za dobre sprawowanie strażnicy mogą zdalnie włączyć więźniowi radio albo czarno-biały telewizor – oba umieszczone są poza zasięgiem rąk osadzonego, więc gdyby zaczął sprawiać problemy, rozrywkę można odciąć. Z zewnątrz sterowany jest też prysznic, z którego osadzeni mogą korzystać od trzech sekund do pięciu minut dziennie. Do praw grzecznych więźniów należą również godzinne samotne spacery – podczas których mogą samotnie poruszać się w kajdankach po czymś, co przypomina betonową klatkę – a nawet telefoniczne pogaduchy: jedna kontrolowana rozmowa miesięcznie przez maksymalnie 15 minut (choć np. Ramzi Jusuf został i tego przywileju sądownie pozbawiony).

Nikt nigdy nie tylko stąd nie uciekł, lecz także nawet nie próbował. Strażnicy w sześciu wieżyczkach uzbrojeni są bowiem nie tylko z karabiny maszynowe, lecz także mają do dyspozycji nawet rakiety przeciwlotnicze, gdyby ktoś wpadł na próbę odbicia osadzonego za pomocą ataku z powietrza.

5 czerwca 2023 r. ok. godz. 6.55 Hanssen został znaleziony martwy w celi. Przyczyny śmierci 79-latka nie podano.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Wojna propagandowa

W Polskim Państwie Podziemnym toczyła się ostra, często bezpardonowa wojna propagandowa o podłożu politycznym. Nie stosowano w niej taryfy ulgowej, kalumnie i zarzuty zdrady były na porządku dziennym. Wiele z tych zarzutów pokutuje do dziś – historycy, niepotrafiący docierać do dokumentów i poddawać ich solidnej krytyce, obracają się w kręgu stereotypów, nie potrafiąc wyjść poza nie.

Najbardziej jaskrawym przykładem jest sprawa NSZ na tle innych ugrupowań konspiracyjnych. Bazując wyłącznie na propagandowych opiniach, mamy niesłychaną kampanię nienawiści. NSZ zatem jawnie (!) „współpracowały z Niemcami", „mordowały Żydów" i… „rozpętały wojnę domową w podziemiu". Uzasadnieniem były wszelkie fałszywki oraz starannie dobierane, cenzurowane fragmenty dokumentów prawdziwych. Z nich faktycznie wyłania się obraz co najmniej parszywy.

Gdy posługujemy się dokumentami sporządzanymi na użytek wewnętrzny, bardzo łatwo te fałsze obnażyć. Na przykład komuniści w podziemiu, czyli PPR i GL-AL, najbardziej zaciekle zwalczający ugrupowania narodowe, w rzeczywistości mieli o NSZ zupełnie inne zdanie. Oto meldunek wywiadu PPR (czyli NKWD) z kwietnia 1944 r.: „PZP [kryptonim AK – przyp. L.Ż.] przeciwstawiają się oddziały NSZ. Jest to organizacja niezwykle dynamiczna, sprężysta, posiadająca zdobyte wyłącznie własnym nakładem wyszkolone kadry oficerów, podoficerów i dobre uzbrojenie. Uważa się NSZ za organizację niepodległościową, mającą obecnie największe możliwości rozwojowe na prawym skrzydle wachlarza politycznego". Czyż to nie jest niezwykła pochwała?

Terenowy meldunek wywiadu AK z Kielecczyzny (z czerwca 1944 r.) mówił wprost: „Nienawiść SS kieruje się ostatnio wyłącznie przeciwko »nacjonalistom«. Rozwiązano w Gestapo specjalny referat antykomunistyczny. Przypuszczać z tego należy, że akcja będzie skierowana przeciwko organizacjom narodowym". Takich dokumentów jest wiele, są jednak konsekwentnie pomijane, burzą bowiem fałszywie wykreowany obraz, że narodowcy to było „samo zło". Gdy fałsze rozpowszechniają ludzie ze stopniami i z tytułami naukowymi, jest to szczególnie przykre, ponieważ wystawiają fatalną opinię całemu środowisku.

Zamknięciem sprawy jest stanowisko ostatniego dowódcy AK, gen. L. Okulickiego (ze stycznia 1945 r.): „NOW tworzy fuzję z NSZ pod nazwą NZW, co zdaniem Kdta Sił Zbr. będzie stanowić ponad 50% AK, całkowicie oddanego Rządowi Polskiemu żołnierza".

Gdy ideologia i propaganda biorą górę nad faktografią, kończą się nauka oraz jakakolwiek rzeczowa dyskusja. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Skłodowska-Curie w Warszawie

Noblistka nigdy nie zapominała o swym największym marzeniu, czyli o utworzeniu Instytutu Radowego w Warszawie. Projekt popierały polskie władze i gdy 3 czerwca 1925 r. Skłodowska przybyła do stolicy, niebawem położono kamień węgielny pod budowę placówki. Niestety, problemem okazały się sprawy finansowe. Odbudowujące się państwo polskie nie mogło przeznaczyć zbyt wiele środków, wobec czego odwołano się do ofiarności społeczeństwa. Sprzedawano „cegiełki" na budowę instytutu, drukowano znaczki pocztowe, w całym kraju wieszano plakaty z twarzą Marii zachęcające do dobrowolnych składek. Największym problemem był jednak zakup grama radu, co pozostawało poza możliwościami finansowymi organizatorów.

W tej sytuacji noblistka zwróciła się do amerykańskiej przyjaciółki, dziennikarki Marie Meloney. To właśnie ona zorganizowała pierwszą wizytę Skłodowskiej w USA w 1921 r., podczas której społeczeństwo amerykańskie przekazało jej środki na zakup grama radu na potrzeby paryskiego instytutu. Teraz nadszedł czas na powtórkę przedsięwzięcia, choć sytuacja finansowa i gospodarcza na świecie nie była najlepsza.

Meloney ponownie nie zawiodła, ogłosiła zbiórkę pieniężną na zakup radu w celu leczenia chorób nowotworowych. Wprawdzie efekty były znacznie słabsze niż poprzednio, jednak uzyskano wystarczającą kwotę. W tej sytuacji Maria w połowie października 1929 r. przybyła do USA, witano ją niezwykle gorąco, prezydent Herbert Hoover zaproponował jej, by zatrzymała się w Białym Domu. Podobny zaszczyt nie spotkał nigdy wcześniej żadnego obcokrajowca.

Organizatorzy zadbali zresztą, by nie przemęczać gościa. Program pobytu nie był przeładowany, a czasami Marię wyprowadzano bocznym wyjściem, by uniknąć spotkania z dziennikarzami. Mimo to noblistka uznała, że na dłuższą metę nie potrafiłaby się przyzwyczaić do życia w Ameryce, gdzie właściwie każda działalność publiczna musiała przerodzić się w medialny show. Cel jednak osiągnęła, 30 października uroczyście wręczono jej w Waszyngtonie czek na kwotę wystarczającą na zakup grama radu. Transakcję sfinalizowano w drodze oficjalnego przetargu, pierwiastek zakupiono w Belgii, gdzie jedna z firm zaproponowała najlepsze warunki.

Noblistka miała wiele szczęścia, gdyż zbiórka odbyła się w ostatnim możliwym momencie. Dzień przed uroczystością w Waszyngtonie miał miejsce wielki krach na giełdzie nowojorskiej (czarny wtorek), a niebawem USA i świat pogrążyły się w wielkim kryzysie. ©℗

eprasa.pl 831690520a

Obchody 114. rocznicy urodzin Stepana Bandery, Lwów, 1 stycznia 2023 r.

FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

W sprawie Wołynia bez zmian

Maciej Pieczyński

Kijów wydaje tylko pojedyncze zgody na ekshumacje polskich ofiar. Kult OUN i UPA kwitnie. Również wśród żołnierzy, którzy dumnie przyznają się do swoich banderowskich przodków. A w sprawie Wołynia na Ukrainie nadal obowiązuje fałszywa teza o symetrii win

Spór o przeszłość między Łukaszem Jasiną a Wasylem Zwaryczem jak w soczewce pokazał stan relacji polsko-ukraińskich, z historią w tle. Już sama sugestia, że prezydent Zełenski powinien oficjalnie przeprosić za Wołyń, wywołała gniewną reakcję ambasadora. „Wszelkie próby narzucenia prezydentowi Ukrainy lub Ukrainie tego, co powinniśmy zrobić w związku z naszą wspólną przeszłością, są niedopuszczalne i godne ubolewania" – komentował Zwarycz na Twitterze. Później wpis skasował i złagodził ton, zapewniając: „Jesteśmy otwarci na dialog".

Jasina został zawieszony. Być może rzecznik MSZ nie powinien na własną rękę pouczać prezydenta innego kraju. Większym problemem jednak jest to, że Jasina ma rację. Polska powinna głośno domagać się od Kijowa konkretnych gestów w sprawie Wołynia, nawet jeśli odpowiedź drugiej strony będzie odmowna. Ukaranie rzecznika MSZ za słowa, które nie spodobały się Ukraińcom, stwarza wrażenie słabości. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że za o wiele mniej dyplomatyczne wynurzenia Andrij Melnyk nie tylko nie został ukarany, lecz także wręcz awansował z ambasadora w Niemczech na wiceszefa dyplomacji.

SKĄD TEN PROBLEM KIJOWA?

Pochowanie ofiar Wołynia nie musi nawet oznaczać całkowitej rezygnacji z kultu OUN-UPA, którego Ukraina rzekomo tak

eprasa.pl 831690520a

bardzo potrzebuje do walki z Rosją. A jednak Kijów od lat ma z tym problem. Po raz pierwszy władze Ukrainy wydały zakaz wiosną 2017 r. Pretekstem była likwidacja pomnika UPA w Hruszowicach na Podkarpaciu. Na Ukrainie zgody na prace poszukiwawcze wydaje Ministerstwo Kultury i Polityki Informacyjnej, a na ekshumacje – Państwowa Komisja Międzyresortowa ds. Upamiętnień Uczestników Operacji Antyterrorystycznej, Ofiar Wojny i Represji Politycznych. Ówczesny sekretarz komisji, Światosław Szeremeta, dostał od Polski zakaz wjazdu do strefy Schengen.

Na pierwszej linii frontu w konflikcie o pamięć stał też ówczesny szef Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, Wołodymyr Wjatrowycz, historyk znany z sympatii do ruchu banderowskiego (obecnie polityk najważniejszej opozycyjnej partii – Solidarności Europejskiej Petra Poroszenki). W swoich publikacjach przedstawiał on rzeź wołyńską jako jeden z epizodów wojny polsko-ukraińskiej. Kreślił obraz symetrii win ze wskazaniem na nieco większą winę strony polskiej. Obraz ten jest bardzo popularny nad Dnieprem. Wjatrowycz proponował układ następujący: Kijów legalizuje wszystkie polskie pomniki i miejsca pamięci na Ukrainie, Warszawa zaś – wszystkie ukraińskie pomniki i miejsca pamięci w Polsce, w tym również nielegalnie ustanowione pomniki UPA.

Kult OUN-UPA sankcjonowany był polityką historyczną Petra Poroszenki. Jego następca, rosyjskojęzyczny Żyd z południa kraju, obiecujący w kampanii zakończenie konfliktu z Rosją, dawał nadzieję na postępy w sporze z Warszawą o przeszłość. Podczas swojej pierwszej wizyty w Polsce w 2019 r. Wołodymyr Zełenski zapowiedział zniesienie zakazu ekshumacji, dając przy tym jednak do zrozumienia, że warunkiem jest „uporządkowanie ukraińskich miejsc pamięci w Polsce". Nielubianego nad Wisłą Wjatrowycza zastąpił Anton Drobowycz, działacz społeczny, filozof z wykształcenia. Posługujący się o wiele bardziej wyważoną retoryką niż poprzednik, w praktyce jednak również wyznający pogląd o symetrii win między Polską a Ukrainą.

SPÓR O TABLICĘ Z MONASTERZA

W styczniu 2020 r. na górze Monasterz na Podkarpaciu nieznani sprawcy zniszczyli tablicę upamiętniającą partyzantów UPA poległych w walkach z NKWD. Powtórzyła się sytuacja z Hruszowic. Na kolejną likwidację banderowskiego miejsca pamięci w Polsce Kijów znów odpowiedział zakazem ekshumacji. Warunkiem jego zniesienia było odnowienie tablicy. Warunek ten został tylko częściowo spełniony. Z odnowionej tablicy zniknęły napis „Polegli za wolną Ukrainę" oraz nazwiska poległych. Kijów uznał więc, że Warszawa nie wywiązała się z umowy, i sytuacja wróciła do stanu z czasów Wjatrowycza i Poroszenki. Ekshumacje nadal były zablokowane. „Polska musi zrozumieć, że Ukraina jest niepodległym państwem i wymaga pełnej symetrii we wzajemnych relacjach. Możemy się zgodzić na likwidację pomników UPA w Polsce, ale to oznacza, że na Ukrainie nie będzie ani jednego upamiętnienia poświęconego AK. Układ »wszystkie za wszystkie« jest dla was bardziej korzystny niż dla nas. Na Ukrainie jest bowiem więcej polskich nielegalnych upamiętnień niż ukraińskich w Polsce" – mówił Drobowycz w rozmowie ze mną dla „Do Rzeczy" w lipcu 2021 r.

Ukraina nie tyle zniosła zakaz ekshumacji ofiar zbrodni wołyńskiej, ile ten zakaz w kilku przypadkach uchyliła

W listopadzie 2022 r. Fundacja Wolność i Demokracja oraz polskie MSZ ogłosiły, że władze ukraińskie zgodziły się na prace poszukiwawcze i ekshumacyjne mogił Polaków zamordowanych przez UPA na terenie Ukrainy. Decyzja dotyczyła jednak tylko jednego miejsca – dawnej wsi Puźniki na Podolu. Z informacji otrzymanych przez „Do Rzeczy" od biura prasowego Ministerstwa Kultury i Polityki Informacyjnej Ukrainy wynika, że oficjalnie o tę zgodę wystąpiono kilka tygodni temu. „18 maja 2023 r. strona polska zwróciła się [do ministerstwa] o przeprowadzenie wspólnej polsko-ukraińskiej ekspedycji we wsi Sadowe (dawne Puźniki) w rejonie czortkowskim obwodu tarnopolskiego" – wskazuje resort, który formalnie odpowiada za tego typu pozwolenia. Minister kultury stoi na czele Międzyresortowej Komisji ds. Upamiętnień, więc de facto wydaje zgody zarówno na ekshumacje, jak i poszukiwania. Ukraina nie tyle zniosła zakaz, ile ten zakaz w kilku przypadkach uchyliła.

Od momentu dojścia Zełenskiego do władzy ze sprawą ofiar zbrodni w Puźnikach Kijów pięciokrotnie poszedł na „ustępstwa". „Strona polska zwróciła się w 2019 r. i otrzymała pozwolenie Ministerstwa Kultury oraz Polityki Informacyjnej na przeprowadzenie prac poszukiwawczych w mieście Lwowie. Odpowiednie pozwolenia zostały wydane ukraińskiej organizacji poszukiwawczej oraz przeprowadzone w grudniu 2019 r." – informuje biuro prasowe Ministerstwa Kultury. W 2020 r. przedstawiciele Polski zostali zaproszeni jako obserwatorzy na przeprowadzenie prac poszukiwawczych oraz ekshumacyjnych w Drohobyczu w obwodzie lwowskim, na podwórzu dawnego więzienia NKWD. W tym wypadku chodziło więc o ofiary zbrodni sowieckich, nie ukraińskich. W 2021 r. strona polska, znów w roli obserwatorów, została zaproszona na przeprowadzenie prac poszukiwawczych we Włodzimierzu na Wołyniu. W tym samym roku Polacy byli obecni podczas poszukiwań w Odessie. Ekshumacje wykonywane są przez specjalnie do tego powołane ukraińskie instytucje. Celem przeprowadzenia badań polscy specjaliści mają obowiązek zawierania umów z ukraińskimi instytucjami badawczymi oraz organizacjami poszukiwawczymi.

Do tego wszystkiego dochodzą oczywiste komplikacje techniczne związane z wojną. Ze względów bezpieczeństwa część organizacji czy instytucji zajmujących się poszukiwaniami lub ekshumacjami zawiesiła swoją działalność. Wielu fachowców w tej dziedzinie zostało zmobilizowanych do wojska.

PRZYJAZNE KROKI

Zdaniem Drobowycza Ukraina poczyniła wiele przyjaznych kroków wobec Polski w kwestii polityki historycznej. Oprócz pozwoleń na prace poszukiwawcze wymienia m.in. „uwolnienie" lwów na cmentarzu Orląt Lwowskich czy włączanie przedstawicieli Polski do grup koordynujących prace archeologiczne na Ukrainie. – Ale przez ostatnie lata

eprasa.pl 831690520a

nie doszło do żadnej zmiany w sprawie analogicznej kwestii, która by interesowała stronę ukraińską. Pomimo obietnic zniszczone miejsca pamięci (takie jak np. na górze Monasterz) nie zostały odnowione w takim kształcie, w jakim były przed dewastacją, stare cmentarze ukraińskie i greckokatolickie dalej są niszczone i zarastają lasem, a prace poszukiwawcze i badania, nawet te, które odbywały się bardzo blisko ukraińskich miejsc pamięci w Polsce, prowadzone są bez zaproszenia naszej strony i nawet bez poinformowania o nich post factum – mówi szef UIPN w rozmowie z „Do Rzeczy". Jego zdaniem ze strony Polski brakuje gotowości do „parytetowej i równoprawnej współpracy" „pomimo przyjaźni naszych narodów oraz udanej wspólnej walki z rosyjskim agresorem". – Chcę przypomnieć, że istnieje jeszcze wiele zrujnowanych ukraińskich miejsc pamięci w Polsce, co do których od dawna oczekujemy działań ze strony polskiej. I coraz trudniej jest wyjaśniać Ukraińcom, dlaczego te miejsca od tylu lat są znieważane i niszczone, podczas gdy my na Ukrainie dbamy o polskie miejsca pamięci i sprzyjamy zwiększeniu ich liczby – dodaje Drobowycz.

Kijów w dużej mierze zrównuje katów UPA z ich polskimi ofiarami. Ludobójstwo na Wołyniu niezmiennie nazywane jest na Ukrainie „tragedią wołyńską". W cytowanym już wywiadzie dla „Do Rzeczy" Drobowycz, zapytany, czy zgadza się z Wjatrowyczem, że w czasie drugiej wojny światowej trwała równolegle „wojna polsko-ukraińska", zaprzeczył. Nie oznacza to jednak, że obecny szef UIPN nie wyznaje tezy o symetrii win. W jego ocenie to nie była wojna polsko-ukraińska, ponieważ nie istniało wówczas ani polskie, ani ukraińskie państwo, dlatego można mówić raczej o konflikcie etnicznym, w którego trakcie zginęły tysiące cywilów obu narodowości. – W aktualnym kontekście licznych rosyjskich zbrodni wojennych warto także dodać, że potępiamy wszystkie przypadki zastosowania przez ukraińskie formacje wojskowe siły przeciwko ludności cywilnej w przeszłości. Nawet jeśli chodzi o oddziały (UPA), które walczyły o niepodległość Ukrainy. To dotyczy również polskich formacji wojskowych, które walczyły za wolną Polskę, ale stosowały siłę przeciwko ukraińskiej ludności cywilnej – mówi dziś „Do Rzeczy".

UKRAIŃSCY „NIEZŁOMNI"

Nic nie wskazuje na to, by Kijów w swojej polityce historycznej odciął się od OUN i UPA. Niestety, wojna z Rosją nie tylko nie wypromowała nowych bohaterów narodowych zdolnych konkurować z Banderą czy Szuchewyczem, lecz także wręcz wzmocniła pozycję tych ostatnich. Po 24 lutego kierowany przez Drobowycza Ukraiński IPN zaprezentował projekt „Niezłomni" [„Neskoreni" – tak na Ukrainie nazywa się upowców; „Neskorenyj" to też tytuł pochwalnego filmu biograficznego o Szuchewyczu – przyp. red.]. Polega on na tym, że w krótkich nagraniach wideo „o żołnierzach UPA opowiadają ich potomkowie, którzy dziś na pierwszej linii frontu bronią Ukrainy przed agresją rosyjską".

O przeprosinach nie ma co marzyć, bo Kijów niezmiennie wyznaje dogmat o symetrii win

Mychajło Hałuszczak z 24. Brygady Zmechanizowanej im. Króla Daniela jest dumny z brata swojego dziadka, który walczył w szeregach UPA. „Banderowcom nie udało się stworzyć niepodległej Ukrainy, ale ważni są dla nas dlatego, że mimo wszystko kontynuowali walkę" – mówi Mychajło, który czuje się nie tylko potomkiem, lecz także kontynuatorem dzieła upowców.

Mykoła Arsenycz, przodek Wasyla, żołnierza pododdziału „Sicz Karpacka" walczącego z Rosjanami na południu kraju, był twórcą wywiadu wojskowego OUN. Wasyl wspomina go jedynie jako bohatera starć z Sowietami. „Historia tak się ułożyła, że dziś walczymy z tym samym wrogiem" – mówi przed kamerą potomek ounowca.

Dumny z przodków jest też dowódca Wasyla, Mychajło Stecyk. Jak czytamy na stronie UIPN, brat jego pradziadka Wasyl Andrusiak od początku 1944 r. „dowodził kureniem UPA »Skażeni«, który walczył z nazistami i oddziałami sowieckimi". Był on „jednym z najlepszych dowódców UPA-Zachód". Zginął w starciu z NKWD, jego rodzinę zaś poddano represjom. Na stronie UIPN brakuje informacji o tym, że Andrusiak brał udział w akcji antypolskiej UPA w Galicji.

O przeprosinach za Wołyń nie ma nawet co marzyć, bo Kijów niezmiennie wyznaje dogmat o symetrii win. Przeprosiny możliwe są więc jedynie wówczas, jeśli Warszawa również przeprosi. Banderowcy na oficjalnym poziomie traktowani są jako bohaterowie walki o niepodległość, jako pozytywny wzór dla dzisiejszych żołnierzy. Drobowycz zdradza, że UIPN przygotowuje wiele przedsięwzięć upamiętniających „ofiary konfliktu polsko-ukraińskiego", na które zostanie zaproszona strona polska. – Uważamy, że to bardzo ważne, aby opowiedzieć współczesnym Ukraińcom i Polakom całą tę historię oraz prehistorię. Poczynając od tego, w jakich okolicznościach ziemie zachodnioukraińskie w XX w. tymczasowo znalazły się w granicach państwa polskiego, przez pacyfikację, do tragedii wołyńskiej – mówi Drobowycz.

Część komentatorów na Ukrainie twierdzi, że nawet jeśli jest za co przepraszać Polaków, to takie przeprosiny już padły. W 2016 r. Petro Poroszenko złożył kwiaty pod warszawskim pomnikiem ofiar Wołynia. Dwa lata wcześniej powiedział w Sejmie: „Wybaczamy i prosimy o wybaczenie". Nie powiedział jednak wówczas otwarcie, że chodzi o zbrodnię dokonaną przez Ukraińców na Polakach.

11 lipca 2022 r., pomimo bezprecedensowej pomocy Polski dla Ukrainy, jego następca o Wołyniu nawet się nie zająknął. Podczas kwietniowej wizyty w Warszawie Zełenski powiedział, że „każdy człowiek, który zginął […], zasługuje na to, aby go odnaleźć i pochować; nie może być tutaj mowy o żadnych zakazach". Literalne wcielenie tych słów w życie, ogłoszone w formie konkretnej decyzji 11 lipca 2023 r., byłoby ogromnym krokiem naprzód. Trudno sobie natomiast wyobrazić, aby tego dnia ze strony Kijowa został wykonany jakikolwiek gest uznający, że Wołyń wcale nie był „tragedią", za którą odpowiadają obie strony po równo, tylko niedającą się usprawiedliwić zbrodnią jednej ze stron. „Kult UPA nie tylko nie zniknął, ale wręcz się odradza" – zauważył niedawno Wjatrowycz. Niestety, były szef UIPN ma rację i powody do radości.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

Francja wybiera cywilizację śmierci

Agnieszka Golańska-Bault

Pozbawianie życia pacjentów ma być remedium na niewydolność francuskiego systemu opieki paliatywnej

Problematyka eutanazji i wspomaganego samobójstwa, choć obecna w debacie publicznej we Francji od dziesięcioleci, do niedawna była traktowana przez kolejne francuskie rządy z dużym dystansem. Dbano, aby ten rozpalający emocje temat nie zdominował politycznego dyskursu. Nie inaczej zachowywał się do tej pory prezydent Emmanuel Macron, który nigdy nie zajął w tej kwestii zdecydowanego stanowiska i przez lata ignorował kolejne parlamentarne inicjatywy mające na celu legalizację praktyk eutanazyjnych. Czynił to tak jak jego poprzednicy – nie ze względu na przekonania, ale ze względów czysto pragmatycznych.

Gdy w roku 2021 Emmanuel Macron doprowadził do legalnego rozszerzenia dostępu do procedur in vitro na pary lesbijskie i samotne kobiety, spełniając jedną ze swoich obietnic wyborczych, uczynił wyraźny ukłon w stronę radykalnej francuskiej lewicy, nie miał jednak zamiaru otwierania kolejnego frontu ideologicznej wojny. Pomimo oczekiwań środowisk proeutanazyjnych kwestie związane z końcem życia nie stały się też tematem prezydenckiej kampanii wyborczej w 2022 r.

MOMENT ODWRACANIA UWAGI

Wydaje się jednak, że dziś Emmanuel Macron doszedł do przekonania, że nadszedł właściwy moment, aby nie tylko temat ten podjąć, ale wręcz starać się uczynić go głównym tematem politycznej debaty we Francji. Nie jest to z pewnością moment przypadkowy, a wielu komentatorów życia publicznego uważa, że tego rodzaju kwestie ideologiczne są idealnym sposobem na odwracanie uwagi Francuzów m.in. od kryzysu i chaosu, w którym pogrąża się Francja w związku z niezadowoleniem społecznym wywołanym forsowaną przez prezydenta Macrona reformą systemu emerytalnego. Są też kolejnym zabiegiem mającym na celu zjednanie sobie przez obóz rządzący przychylności skonfliktowanej z prezydentem lewicy.

Punktem zwrotnym w debacie miało być – w zamierzeniu Emmanuela Macrona – powołanie w grudniu ubiegłego roku tzw. konwentu społecznego, ciała składającego się ze 184 osób wybranych losowo, ale mającego odzwierciedlać, dla zachowania pozorów demokratycznej konsultacji, strukturę społeczną Francji. Zadaniem tego gremium był przegląd prawodawstwa dotyczącego zagadnień związanych z końcem życia, ocena jego dostosowania do aktualnej sytuacji oraz przedstawienie rządowi propozycji zmian i kierunków ewolucji prawa w tym zakresie. Wnioski z prac konwentu w formie 81 propozycji rozwiązań oraz manifestu jego uczestników zostały przedstawione samemu prezydentowi Macronowi 2 kwietnia. Uczestnicy konsultacji okazali się zgodni co do negatywnej oceny funkcjonowania systemu opieki nad osobami u kresu życia, wskazując na ogromne trudności w dostępie do opieki paliatywnej we Francji i proponując wprowadzenie prawa gwarantującego dostęp do opieki paliatywnej każdemu obywatelowi. Tyle samo, bo aż 97 proc. z nich, uznało jednocześnie, że istnieją sytuacje, w których medycyna paliatywna oraz rozwiązania przewidziane aktualnie obowiązującymi przepisami ustawy Claeys-Leonetti z 2016 r., regulującej kwestie związane z końcem życia, w tym m.in. z zaprzestaniem uporczywej terapii (pod którą i tak pociągnięto karmienie i pojenie osoby żyjącej w stanie nieświadomości lub bardzo ograniczonej świadomości, jak w słynnym przypadku Vincenta Lamberta, uśmierconego w 2019 r., po 11 latach walki sądowej), nie są wystarczające. Mając na uwadze ową rzekomą bezsilność współczesnej medycyny wobec ludzkiego cierpienia, aż 76 proc. osób obradujących w konwencie uznało za konieczną szybką legalizację eutanazji oraz wspomaganego samobójstwa.

Czy stanowisko „demokratycznego" konwentu, dającego Macronowi asumpt do procedowania prawa eutanazyjnego, odzwierciedla rzeczywiście opinię większości Francuzów? Gdy spojrzeć na sondaż Ipsos z 2019 r., wydaje się, że rzeczywiście aż 96 proc. Francuzów opowiada się za eutanazją. Tymczasem w bardziej zniuansowanym badaniu, zrealizowanym na zlecenie kolektywu sprzeciwiającego się legalizacji prawa w tym zakresie, „Soulager mais pas tuer" („Przynosić

eprasa.pl 831690520a

ulgę, ale nie zabijać"), dla większości Francuzów to nie dostęp do eutanazji jest kwestią priorytetową, gdyż deklaruje to tylko 23 proc. badanych. Około 48 proc. pytanych chce przede wszystkim „nie odczuwać bólu" u kresu życia, a 26 proc. nie chce być poddawanych uporczywej terapii. Wyniki sondażów zarówno w tej, jak i w innych drażliwych kwestiach zależą bowiem od sposobu postawienia pytania i emocjonalnego zabarwienia użytych w nim terminów. Gdy – jak w badaniu dla dziennika „Ouest France" z 2014 r. – wyjaśnia się, na czym polega opieka paliatywna, a czym jest i jak wygląda eutanazja, 53 proc. pytanych optuje za pierwszym rozwiązaniem.

POSZERZONE ZABIJANIE

W raporcie konwentu wybrzmiewa również mniejszościowy głos tych, którzy nie godzą się z planowaną ewolucją prawa i wskazują, że należy jedynie lepiej stosować istniejącą ustawę, która opierała się na trzech zasadach: towarzyszeniu choremu, łagodzeniu cierpienia oraz zaprzestaniu uporczywej terapii. Zwrócono też uwagę na „duży opór bardzo znacznej części pracowników służby zdrowia, którzy obawiają się, że będą zmuszani do wykonywania uśmiercających czynności", jeśli eutanazja zostanie uznana za legalną. Kolektyw lekarzy, w większości specjalistów medycyny paliatywnej i geriatrów, w alarmistycznym tonie przestrzegał w lutym na łamach dziennika „Le Figaro" w artykule „Podejmijmy problematykę związaną ze schyłkiem życia bez uprzedzeń i ideologii", że przyjęcie nowych regulacji doprowadzi do wielu nadużyć, zwłaszcza w przypadku osób bezbronnych i najsłabszych, oraz że legalizacja eutanazji zamknie jakąkolwiek debatę na ten temat, a krytyka samego aktu stanie się niemożliwa, a nawet zagrożona karą, tak jak się stało w przypadku aborcji – działalność pro-life w przestrzeni publicznej jest uważana za dezinformację, a tzw. próby „odwodzenia" kobiet od aborcji są we Francji przestępstwem zagrożonym grzywną w wysokości 30 tys. euro i dwoma latami pozbawienia wolności.

Francuscy lekarze ostrzegają, że uchwalenie eutanazyjnego prawa to złowrogi komunikat dla osób najsłabszych

Obawy lekarzy trudno zatem uznać za wyimaginowane. Belgia, która ma służyć za model dla opóźnionej na drodze progresywnej eutanazyjnej ewolucji Francji, jest tego dobitnym przykładem. Prawo do „godnej śmierci" zostało tam zatwierdzone w 2002 r., a od roku 2014 przysługuje także osobom nieletnim bez ograniczenia wiekowego, pod warunkiem że mają one zdolność „rozeznania swojej sytuacji". Należy też zauważyć, że liczba tamtejszych eutanazji stale rośnie (z 1928 przypadków w 2014 r. do 2655 w roku 2019). We Flandrii eutanazja to przyczyna 4,7 proc. zgonów (w Holandii ten odsetek przekroczył już 5 proc.). Co więcej, zgodnie z badaniem opublikowanym przez belgijski dziennik „Journal du Soir" w marcu 2019 r. aż 40 proc. Belgów uważało, że dla ratowania równowagi systemu ubezpieczeń społecznych należy zaprzestać wykonywania kosztownych procedur medycznych w przypadku osób powyżej 85. roku życia – jak widać, eutanazyjne praktyki kształtują też eutanazyjno-eugenicznego ducha społeczeństw.

W Holandii kryteria stosowania eutanazji również są nieustannie poszerzane – teraz można zabić w świetle prawa osoby chore psychicznie, dzieci, a nawet osoby „zmęczone życiem".

W Kanadzie, jak przystało na kraj pod rządami progresisty Justina Trudeau, „postęp" dokonuje się najszybciej. Ograniczenie prawa do „pomocy medycznej w umieraniu" dla osób śmiertelnie chorych zostało tam uznane za dyskryminujące i od 2021 r. przysługuje wszystkim, którzy zmagają się z chroniczną chorobą, niepełnosprawnością i z tego powodu „doświadczają fizycznego lub psychicznego cierpienia", którego nie da się ukoić „za pomocą akceptowalnych środków". Według federalnych statystyk za rok 2021 z powodu tzw. pomocy medycznej w umieraniu (Medical Aid in Dying – MAiD) zmarło 10 064 osób, czyli 10 razy więcej niż w roku 2016, gdy procedurę tę zalegalizowano.

Głos francuskich lekarzy wybrzmiał również bardzo dobitnie 16 lutego na łamach dziennika „Le Figaro", w opinii etycznej zatytułowanej: „Eutanazja i wspomagane samobójstwo nie mogą być uznane za opiekę medyczną", sygnowanej przez 13 francuskich organizacji zrzeszających 800 tys. pracowników służby zdrowia. Czytamy w niej m.in., że uchwalenie eutanazyjnego prawa będzie złowrogim komunikatem dla osób najsłabszych, takich jak „dzieci, osoby niesamodzielne, osoby z zaburzeniami psychicznymi lub poznawczymi, a nawet osoby w bardzo trudnej sytuacji społecznej". Piszą, że etyka oraz normy prawne określające ramy opieki zdrowotnej są nie do pogodzenia z realizacją eutanazji i samobójstwa wspomaganego medycznie […], chyba że definicja ta zostanie zasadniczo obalona". Wzywają jednocześnie ustawodawcę, aby niezwłocznie zapewnić „skuteczny dostęp do opieki paliatywnej dla wszystkich, którzy jej potrzebują" i zaniechać prób wprowadzania do sektora opieki medycznej jakichkolwiek form zalegalizowanego zabijania pacjentów.

HOUELLEBECQ OSTRZEGAŁ

Czy to właśnie ci odważni lekarze, wierni przysiędze Hipokratesa, stojący

eprasa.pl 831690520a

Emmanuel Macron doszedł do przekonania, że nadszedł właściwy moment, by eutanazję uczynić głównym tematem politycznej debaty we Francji
FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

u wezgłowia swoich bezbronnych pacjentów, staną się w praktyce ostatnimi przyczółkami oporu wobec narzucanej im deontologicznej rewolucji?

Takie przypuszczenie wyraził m.in. wybitny współczesny pisarz francuski, zadeklarowany ateista i skandalista Michel Houellebecq. Rzadko bierze on bezpośredni udział w debacie publicznej, ale już w 2021 r., przy okazji parlamentarnej dyskusji na temat legalizacji eutanazji, zdecydował się na opublikowanie swojego zdecydowanego sprzeciwu wobec planów legalizacji eutanazji. „Zwolennicy eutanazji szafują słowami, których znaczenie przekręcają do tego stopnia, że nie powinni nawet mieć prawa ich wypowiadać. W przypadku »współczucia« kłamstwo jest namacalne. W przypadku »godności« jest ono bardziej podstępne. Poważnie odeszliśmy od Kantowskiej definicji godności, stopniowo zastępując byt moralny bytem fizycznym (negując samo pojęcie bytu moralnego), zastępując prawdziwie ludzką zdolność do działania w posłuszeństwie imperatywowi kategorycznemu bardziej zwierzęcą i płaską koncepcją stanu zdrowia, który stał się swego rodzaju warunkiem istnienia ludzkiej godności, a nawet stając się jej jedynym znaczeniem" – pisze Houellebecq. Zdaniem pisarza tak definiowanej godności nie potrzebuje żaden człowiek, można się bez niej obejść i można szczęśliwie żyć, gdyż to, czego potrzebujemy, to „czuć się mniej lub bardziej potrzebnym, kochanym lub przynajmniej docenianym". „Każdy, kto ma wybrać między nieznośnym cierpieniem a śmiercią, wybierze śmierć" – pisze on dalej, ale jest to alternatywa z gruntu fałszywa w dzisiejszych czasach, gdy uśmierzanie fizycznego bólu jest w zdecydowanej większości przypadków możliwe.

Houellebecq nie ukrywa, że głośne zapewnienia polityków, iż legalizacja eutanazji nie ma nic wspólnego z eugeniką i kalkulacją ekonomiczną, wzbudzają jego daleko idącą nieufność. Z właściwym sobie sarkazmem i sceptycyzmem mówi o roli, jaką prawdopodobnie odegrają w tej – jak już dziś widać – nierównej walce o prawdziwą ludzką godność ludzie religijni: „Katolicy będą stawiać opór najlepiej, jak potrafią, ale, niestety, przyzwyczailiśmy się już raczej do tego, że katolicy przegrywają za każdym razem. Muzułmanie i Żydzi myślą na ten temat [...] dokładnie to samo, co katolicy; media na ogół robią wszystko, by to ukryć. Nie mam wielu złudzeń, że przedstawiciele różnych wyznań w końcu ugną się pod jarzmem »republikańskiego prawa«; ich księża, rabini czy imamowie będą towarzyszyć w przyszłości osobom poddawanym eutanazji, mówiąc im, że [...] nawet jeśli ludzie ich porzucą, to Bóg się nimi zaopiekuje".

Tymczasem, zyskawszy nieoczywistego sojusznika w osobie słynnego pisarza, Konferencja Episkopatu Francji obradująca w Lourdes na przełomie marca i kwietnia uroczyście opowiedziała się zdecydowanie przeciw planom ustawodawców, publikując deklarację „Aktywne wspomaganie życia – braterski obowiązek". Rzecznik prasowy francuskich biskupów ks. Pierre-Antoine Bozo zauważył, że zgodnie z konkluzjami konwentu społecznego remedium na niewydolność francuskiego systemu opieki paliatywnej ma być pozbawianie życia pacjentów, którzy takiej opieki potrzebują. „W chwili, gdy odpowiedzią na słabość, na chorobę, może być zakończenie życia, jest oczywiste, że nie będzie się mobilizować dodatkowych ludzkich zasobów", a „we wszystkich krajach, w których zalegalizowano eutanazję lub wspomagane samobójstwo, opieka paliatywna przestaje być w ogóle priorytetem". Dla współczesnych śmierć i cierpienie to przerażające tabu, które trzeba przełamać, ucząc się na nowo „dobrej śmierci", która, zwłaszcza dla ludzi wierzących, nie musi być czymś strasznym.

Jednak zarówno dla francuskich hierarchów, jak i dla areligijnego Houellebecqa sprzeciw wobec eutanazji nie tyle jest aktem religijnym, choć Ewangelia rzuca nań dodatkowe światło, ile dokonuje się on na poziomie antropologicznym i cywilizacyjnym. To niejako walka o „resztki honoru cywilizacji", jak pisze Houellebecq, dodając: „Muszę powiedzieć bardzo wyraźnie: kiedy kraj – społeczeństwo, cywilizacja – legalizuje eutanazję, traci w moich oczach wszelkie prawo do szacunku. Wtedy staje się rzeczą nie tylko uzasadnioną, ale wręcz pożądaną, aby go zniszczyć; aby mogło pojawić się coś innego – inny kraj, inne społeczeństwo, inna cywilizacja".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

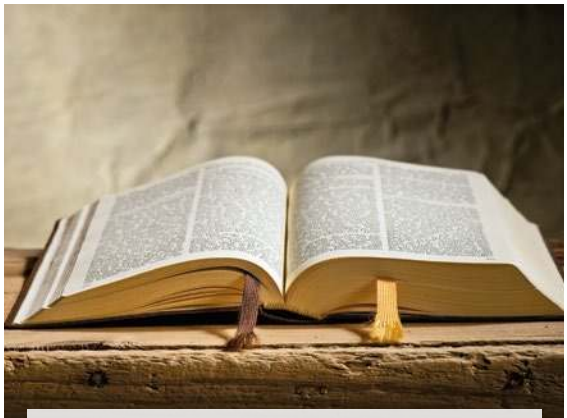

FOT. ADOBE STOCK

BIBLIA USUWANA ZE SZKÓŁ W USA

Władze stanu Utah w ubiegłym roku uchwaliły ustawę nakazującą usuwanie ze szkolnych bibliotek książek „pornograficznych" i „nieprzyzwoitych". W związku z tym usuwano pozycje dotyczące np. orientacji seksualnej. Jeden z rodziców złożył skargę na utrzymywanie w szkołach Biblii. Jego zdaniem to nieodpowiednia lektura w świetle nowych regulacji – przytoczył opis zniszczenia Sodomy i Gomory. Komisja, która rozpatrzyła skargę, uznała ją za zasadną. Ze szkół zaczęto usuwać egzemplarze Biblii.

ZAKAZ KRYTYKOWANIA RZĄDU

Parlament Zimbabwe, zamiast bawić się w powoływanie komisji śledczych do różnych spraw, wpadł na prosty sposób pętający opozycję – wprowadził „ustawę patriotyczną". To poprawka do kodeksu karnego, która przewiduje do 20 lat więzienia za „celowe szkodzenie suwerenności i narodowym interesom". Jak sprawdza się ustawa, będzie wiadomo do sierpnia – bo wówczas odbywają się w tym kraju wybory prezydenckie i parlamentarne.

ANGLICY TESTUJĄ DOCHÓD ZA NIC

W Anglii rozpoczyna się test bezwarunkowego dochodu podstawowego. Chodzi o pieniądze, które mają być wypłacane bez spełniania jakichkolwiek warunków socjalnych. Do testu wybrano 30 osób z miasteczka Jarrow oraz dzielnicy East Finchley w północnym Londynie. Będą otrzymywać miesięcznie w przeliczeniu ok. 8,3 tys. zł. Badacze będą sprawdzać, jak zmienia się ich sytuacja w porównaniu z osobami, które nie dostają takich pieniędzy z budżetu państwa.

SZARAŃCZA KONTRA ROSJANIE

W rosyjskiej propagandzie zaczęto rozpowszechniać informację o ataku… owadami. Agencja RIA Nowosti umieściła na Telegramie relację żołnierki z samozwańczej Ługańskiej Republiki Ludowej. Ta ujawniała, że USA przygotowały w laboratoriach dla Ukraińców „bojową szarańczę". Owady miały trafić do Rubieżnego, a stamtąd być wysyłane na „misje bojowe".

RACHUNEK ZA ABSENCJĘ NA WESELU

Młoda para z Chicago zaprosiła ok. 300 osób na wesele na Jamajce. Nie wszyscy przyjechali. Pan młody opublikował w sieci rachunki, które wystawił nieobecnym na ok. 1 tys. zł każdy. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polska wciąż zbytnio niańczy

Nanny State Index. Tak nazywa się międzynarodowy ranking, którego autorzy – Institute of Economic Affairs oraz European Policy Information Centre – wskazują kraje, które traktują swoich obywateli jak skończonych idiotów, którzy nie potrafią odpowiadać sami za siebie, i starają się wymusić „odpowiednie" zachowania za pomocą zakazów, podatków od „grzechu" lub „cukru" czy karnych danin nakładanych na „złą" żywność lub wyroby alkoholowe, papierowy, e-papierosy.

Im wyższa pozycja danego kraju w rankingu, tym gorzej. Niestety, Polska w najnowszej edycji Nanny State Index znów znalazła się w czołowej dziesiątce, a dokładnie na miejscu dziewiątym.

Najgorsze zdanie o własnych obywatelach mają najwyraźniej władze Turcji, która przez autorów rankingu została uznana za „najmniej wolny" kraj z 30 badanych. Miejsca przed Polską w tym niechlubnym zestawieniu państw, w których władza myśli, że wie lepiej, znalazły się Norwegia, Litwa, Finlandia, Węgry, Irlandia, Estonia i Łotwa.

Wśród krajów, których władze nie czują się mądrzejsze od wyborców i nie dyktują obywatelom, czego mają nie jeść i czego nie palić, prym wiodą Niemcy, Czesi oraz Włosi. W gronie wolnych ludzi, którym władza pozwala ponoć ponosić odpowiedzialność za swoje własne wybory dietetyczne i zdrowotne, znaleźli się również Luksemburczycy, Hiszpanie, Słowacy, Bułgarzy, Maltańczycy, Belgowie, a nawet Austriacy. Kampania to dobry czas, by poprosić polityków: poluzujcie ten kaganiec i skoro nie pomagacie, to choć nie przeszkadzajcie – i w życiu prywatnym, i zawodowym. ©℗

eprasa.pl 831690520a

Już 19 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 831690520a

Z Sergiejem Druczinem, asystentem w Katedrze Ekonomii Akademii Leona Koźmińskiego i analitykiem Polskiego Instytutu Ekonomicznego
rozmawia Tomasz Cukiernik

Ukraińska gospodarka wojenna

FOT. ARCHIWUM SERGIEJA DRUCZINA

TOMASZ CUKIERNIK: W jakim stanie znajduje się aktualnie gospodarka Ukrainy?

SERGIEJ DRUCZIN: Gospodarka ukraińska znajduje się w nie najlepszym stanie. Władze przewidują w tym roku lekką poprawę. Według danych Narodowego Banku Ukrainy w zeszłym roku PKB Ukrainy skurczył się o prawie 30 proc., a na ten rok przewiduje się wzrost o 2,5 proc. Nie będzie to jednak wynik jakiegoś spektakularnego wzrostu aktywności gospodarczej, a raczej efekt tzw. niskiej bazy. W zeszłym roku PKB Ukrainy tak mocno spadł, że w tym roku musiałoby być naprawdę bardzo źle pod względem sukcesów gospodarczych i na froncie, żeby spadek się powiększył. W tym roku w pierwszym kwartale zanotowano jeszcze spadek PKB o 13,5 proc., a w drugim kwartale szacuje się, że PKB będzie wyższy o 15 proc. w porównaniu z drugim kwartałem zeszłego roku.

W zeszłym roku była też rekordowa stopa bezrobocia: 30 proc. Co trzeci Ukrainiec nie miał pracy. W tym roku bezrobocie spada. W czwartym kwartale przewiduje się bezrobocie na poziomie 22,6 proc., co i tak jest bardzo wysokim wynikiem. Zaskoczyło mnie natomiast to, że Narodowy Bank Ukrainy pod koniec roku planuje obniżyć stopy procentowe z 25 proc. do 23,2 proc. Nie jest to duży spadek, ale plany są optymistyczne.

Ukraiński przemysł zlokalizowany jest głównie na wschodzie kraju, na terenach zajętych przez Rosję, czy też tam, gdzie toczą się walki. Jaki procent PKB Ukrainy przed wojną tworzyły tereny zajęte aktualnie przez wojska rosyjskie?

Według stanu na 2013 r. obwody doniecki, ługański oraz Krym, czyli tereny, które zostały nieoficjalnie zajęte przez Rosjan w 2014 r., łącznie generowały 17,5 proc. PKB Ukrainy. Wraz z terenami przejętymi w 2022 r. wytwarzały one jeszcze większą część PKB. Teraz te terytoria są poza kontrolą władz ukraińskich. Cały produkt, który wytwarzają, idzie na korzyść gospodarki rosyjskiej. Podając dane w statystykach, przed wojną używało się określenia „bez tymczasowo okupowanych terytoriów i bez Autonomicznej Republiki Krymu". W statystykach szacuje się utracone możliwości. Z tego też wynika tak duży spadek PKB o 30 proc. – największy od momentu uzyskania niepodległości przez Ukrainę

eprasa.pl 831690520a

w 1991 r. Trzeba pamiętać, że w latach 90., od upadku Związku Sowieckiego, Ukraina była w nieprzerwanej recesji przez dziewięć lat, ale tak dużego spadku gospodarczego w ciągu jednego roku nie zanotowano.

Narodowy Bank Ukrainy podaje, że najbardziej ucierpiało budownictwo. Najmniej straciła energetyka. Pomimo ostrzałów, które miały miejsce jesienią zeszłego roku, już w lutym Ukraina mogła znowu eksportować energię

Które branże najbardziej ucierpiały z powodu wojny, a które najmniej?

Przede wszystkim ucierpiał przemysł. Na przykład produkcja stali spadła o ok. 80 proc. Jest to spowodowane tym, że większość zakładów znajduje się na terenach, które są okupowane przez Rosję. Narodowy Bank Ukrainy podaje, że najbardziej ucierpiało budownictwo. Wbrew pozorom według stanu na luty 2023 r. najmniej straciła energetyka. To jest skutek bardzo mocnej sieci energetycznej na Ukrainie. Pomimo tych wszystkich ostrzałów, które miały miejsce jesienią zeszłego roku, już w lutym Ukraina mogła znowu eksportować energię. Handel skurczył się tylko o 12 proc. Mówię „tylko", bo w porównaniu z innymi sektorami jest to stosunkowo niewielki spadek. Usługi natomiast cały czas funkcjonują dobrze. Obawiam się, że niektórych danych nie możemy uwzględnić, bo jednak spora część gospodarki znajduje się w szarej strefie. Władze Ukrainy wykorzystują stan wojenny, żeby uszczelniać te wszystkie luki dotyczące VAT, CIT i PIT. Z kolei ponad 10 mln Ukraińców wyjechało za granicę, co również miało niebagatelny wpływ na spadek PKB.

Bezpośrednie straty spowodowane atakami na ukraiński przemysł Kijowska Szkoła Ekonomii szacowała na poziomie ok. 140–150 mld dol. Jeśli dodamy do tego koszty utraconych możliwości plus straty demograficzne, to ta wartość może sięgać biliona dolarów

W sierpniu 2022 r. władze Ukrainy zapowiedziały, że 1 stycznia tego roku wejdzie w życie reforma podatkowa 10-10-10. Podatki PIT i CIT miały zostać obniżone z 18 do 10 proc., a VAT z 20 do 10 proc. Czy tak się stało?

Do tej pory reforma podatkowa nie została wprowadzona. Wciąż trwają rozmowy, ale na razie pojawiły się konflikty interesów. Myślę, że obniżenia podatków na Ukrainie można się spodziewać dopiero po wojnie, co będzie miało na celu zachęcenie inwestorów.

Czy Ukraina nadal kupuje od Rosji gaz i za niego płaci?

Przez pierwsze miesiące wojny Rosja płaciła za tranzyt gazu gazociągiem „Przyjaźń". Obecnie te dostawy mają być wstrzymane. Ale to już są sprawy geopolityczne. Teraz Ukraina nie kupuje gazu z Rosji. Dostawy gazu pochodzą głównie z krajów Unii Europejskiej, w tym część gazu importowana jest również z Polski. Polska importuje jeszcze gaz skroplony LPG statkami z Rosji. Gaz ten nie podlega pod unijne embargo nałożone na rosyjskie paliwa kopalne. Ukraina ma też pewne własne złoża. Obecnie zapewnia 88 proc. konsumpcji z własnych złóż gazu. Poza tym konsumpcja gazu przez ukraińską gospodarkę zmniejszyła się o 40 proc., bo skurczył się przemysł.

Na ile wyceniono dotychczasowe straty Ukrainy związane z wojną? Na czym one polegają?

Jeszcze w zeszłym roku premier Ukrainy, Denys Szmyhal, mówił o kwocie od 600 mld do 1 bln dol. To raczej wartość abstrakcyjna, bo jest to ośmiokrotność ukraińskiego PKB. Natomiast jeśli wliczymy w to także utracone możliwości, to łącznie jest to w sumie prawdopodobna wartość. Bezpośrednie straty spowodowane atakami na ukraiński przemysł Kijowska Szkoła Ekonomii szacowała w styczniu tego roku na poziomie ok. 140–150 mld dol. Jeśli dodamy do tego koszty utraconych możliwości plus straty demograficzne, to ta wartość może faktycznie sięgać biliona dolarów.

Co się wlicza do tych strat wojennych?

Według stanu na grudzień 2022 r. zniszczono budynki mieszkalne o wartości 54 mld dol., infrastrukturę o wartości 35,6 mld dol., aktywa przedsiębiorstw i przemysłu na sumę ok. 13 mld dol. Rolnictwo doznało strat na 6,6 mld dol. To są tylko bezpośrednie straty. Do tego dochodzą pośrednie, takie jak straty środowiskowe – o czym nasz instytut przygotował osobny raport – które mogły wynieść aż do 20 proc. PKB, czyli ok. 30 mld dol.

Z czego Ukraina finansuje wysiłek wojenny?

Prawie wszystkie dochody budżetowe Ukraina przeznacza na przemysł obronny. W trzecim kwartale 2022 r. wydatki na obronę były o 103 proc. wyższe niż w tym samym okresie rok wcześniej. Dochody budżetowe w 2023 r. mają wynieść 1,3 bln hrywien, a wydatki wojenne 1,1 bln hrywien. Całą resztę wydatków Ukraina finansuje z obligacji – z papierów dłużnych, przez co wzrósł dług publiczny. Wartość wyemitowanych 15-letnich obligacji zwiększyła się dwukrotnie. Najwięcej wyemitowano obligacji 30-letnich – wzrost z 12 mld hrywien do 262 mld hrywien. Cały dług publiczny zwiększył się z 49 proc. na początku zeszłego roku do ok. 78 proc. PKB obecnie. W 2022 r. wpływy podatkowe były o 3 proc. niższe niż rok wcześniej. Najwięcej budżet ukraiński uzyskuje z grantów i pożyczek z zagranicy. W 2022 r. Ukraina otrzymała 32 mld dol. wsparcia od partnerów zachodnich (17,9 mld dol. w formie pożyczek oraz 14,3 mld dol. w formie grantów).

Które kraje i w jakiej wysokości wspierają finansowo Ukrainę?

Jeśli mówimy o źródłach finansowania budżetu państwa w 2023 r., to

eprasa.pl 831690520a

Łączna polska pomoc Ukrainie wraz z wydatkami na uchodźców wynosi prawie 2 proc. PKB Polski. W relacji do PKB Polska udziela Ukrainie znacząco większej pomocy niż Stany Zjednoczone

największym jest Unia Europejska. Według danych Ministerstwa Finansów Ukrainy z międzynarodowych ustaleń wynika, że w 2023 r. Bruksela powinna przekazać w formie kredytów 6,5 mld dol. Na drugim miejscu jest dług wewnętrzny – ukraiński rząd będzie się zadłużał u obywateli i inwestorów itd. Na trzecim miejscu są Stany Zjednoczone, które zobowiązały się w formie bezzwrotnych grantów przekazać Ukrainie 4,75 mld dol. Na czwartym miejscu jest Międzynarodowy Fundusz Walutowy, który powinien udzielić pomocy o wartości 2,7 mld dol.

Jak wygląda pomoc Polski dla Ukrainy?

Łączna polska pomoc Ukrainie wraz z wydatkami na uchodźców wynosi prawie 2 proc. PKB Polski. W relacji do PKB Polska udziela Ukrainie znacząco większej pomocy niż Stany Zjednoczone. Bezpośrednia pomoc Ukrainie do stycznia 2023 r. przez Kiel Institute szacowana jest na prawie 17 mld zł, reszta – w formie pośredniej.

Czy Ukraina ma pieniądze na wypłaty dla urzędników, na emerytury, służbę zdrowia, szkoły, świadczenia socjalne itd.?

Ukraina wypłaca te pieniądze z omawianej pomocy. Po prostu aktualnie żyje na koszt partnerów. Należy jednak podkreślić, że spadają wydatki na ochronę zdrowia czy edukację.

W jaki sposób ludzie na terenach, gdzie nie ma wojny, np. we Lwowie, ją odczuwają?

Ludzie oczywiście odczuwają wojnę. Inflacja wynosi ok. 20 proc. W lutym zostało przeprowadzone badanie przez Grupę Socjologiczną „Rating", w którym Ukraińcy z różnych rejonów wskazywali, jak odczuwają wojnę. Największe różnice pomiędzy wschodem a zachodem kraju dotyczyły kwestii przymusowego przesiedlenia i migracji – na wschodzie dotyczy to ponad połowy ludności, a na zachodzie jest to kwestia marginalna. Niemal jedna trzecia ludzi ze wschodu straciła pracę, a na zachodzie jest to problem jedynie 6 proc. ankietowanych. Na zachodzie kraju niemal nie istnieje problem zniszczeń lub uszkodzeń mienia (1 proc.), podczas gdy na wschodzie dotyczy to jednej trzeciej ankietowanych. W całym kraju natomiast w podobnym natężeniu pojawia się kwestia pogorszenia stanu zdrowia, utraty członka rodziny, śmierci lub zranienia bliskiej osoby.

Jak mocno wojna uderza w gospodarkę i finanse publiczne Rosji?

Wojna zdecydowanie słabiej uderza w Rosję, bo toczy się na terytorium Ukrainy, a nie Rosji. W 2022 r. gospodarka rosyjska poradziła sobie lepiej niż spodziewano się w Polsce i w ogóle na Zachodzie, ale w dłuższej perspektywie Rosja będzie odcięta od technologii, półprzewodników, od większości dostaw pewnych surowców. Mimo że sankcje są obchodzone, bo są pewne sposoby na ich obejście, to nie jest to już ta skala handlu, jak to było przed wojną. Sankcje bardzo uderzają w gospodarkę Rosji, ale bardziej w perspektywie długoterminowej. Biorąc pod uwagę obecne działania rządu rosyjskiego, trzeba przyznać, że w zeszłym roku Narodowy Bank Rosji zdał egzamin i utrzymał rubel na poziomie sprzed wojny, co było dość poważnym wyzwaniem. Natomiast z punktu widzenia polityki fiskalnej nie ma źródeł finansowania tych wszystkich programów socjalnych, które zapowiadał prezydent Putin podczas swojego przemówienia na Zgromadzeniu Federalnym.

Nawet tzw. państwa przyjazne wobec Rosji nie są zainteresowane udzielaniem pożyczek rosyjskim władzom

Problem w tym, że dochody budżetowe ze sprzedaży gazu i ropy za pierwszy kwartał tego roku były o 47 proc. niższe niż przed rokiem. W kwietniu budżet federalny Rosji osiągnął deficyt, który był planowany na cały rok. Międzynarodowy Fundusz Walutowy ocenił, że deficyt budżetu w Rosji będzie trzykrotnie głębszy, niż szacuje Ministerstwo Finansów Rosji (6,2 proc. PKB wobec 2 proc.). To już jest wyzwaniem dla gospodarki rosyjskiej. Nie widzę takiej możliwości, żeby Rosja znalazła jakiś inny rynek w postaci Chin czy Indii, które będą tyle samo konsumować, ile konsumowała Unia Europejska. Rosja jest w kryzysie systemowym. Nie ma teraz sukcesów na froncie. Rośnie niezadowolenie społeczne. Rosną koszty. Zapowiada się coraz więcej programów socjalnych, a dochody budżetowe są coraz niższe.

Czy Rosję w ogóle stać na dalsze prowadzenie wojny?

Na razie stać. Są pewne szacunki, które mówią, że Rosja ma jeszcze środki finansowe na rok prowadzenia takiej wojny. Biorąc pod uwagę specyfikę tamtego kraju, niektóre źródła finansowania tej wojny, tam jest też duży procent szarej strefy. Gdyby władze na Kremlu doszły do wniosku, że są w kryzysie, to zacznie się uszczelnianie wszystkiego, co się da. Już teraz chcą opodatkować blogerów. To jeden z przykładów podatku, który pojawił się nagle, bo ewidentnie nie starcza na finansowanie wojny i programów socjalnych. Ponadto zobowiązali się do odbudowy okupowanych terytoriów na wschodzie Ukrainy. Nie wyobrażam sobie, jak oni to wszystko sfinansują. Według raportu Wyższej Szkoły Ekonomii w Moskwie to jedyna instytucja w Rosji, która publikuje w miarę sensowne raporty, a jeżeli ktoś w Rosji wskazuje, że jest problem, to najprawdopodobniej ten problem faktycznie istnieje – Rosja ma problem z zaciąganiem pożyczek za granicą. W związku z tym, że z Rosji wycofały się wszystkie agencje ratingowe, nikt teraz nie szacuje ryzyka kredytowego. W rezultacie nawet tzw. państwa przyjazne wobec Rosji nie są zainteresowane udzielaniem pożyczek rosyjskim władzom. To jest przykład skuteczności zachodnich sankcji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kłamstwo emerytalne

Prawie połowa Polaków (44,8 proc.) chce jeszcze bardziej obniżyć wiek emerytalny – mimo niedawnego obniżenia go przez rząd PiS. Czyli wedle niemal połowy z nas należy obniżyć wiek emerytalny, który jest w Polsce już i tak jednym z najniższych w Europie; równie krótko na emeryturę pracują jeszcze tylko Rumuni, Bułgarzy i Austriacy, a Francja właśnie ten wiek podniosła.

Ale co tam – jeśli Polacy tak chcą, to nie ma się na co oglądać i trzeba wiek emerytalny jeszcze bardziej obniżyć. Do 55 lat dla kobiet i 60 dla mężczyzn? A może do 50 lat dla kobiet i 55 dla mężczyzn?

Bo czemuż by nie – skoro i tak jest on już u nas niemal całkowitą fikcją? To znaczy emerytura ze świadczenia, którego wysokość – z założenia – powinna pozwolić się utrzymać, staje się – ze względu na swą dramatycznie spadającą realną wartość i wysokość (np. w proporcji do średniej płacy) – jedynie skromnym dodatkiem do pensji uzyskiwanej przez tego samego emeryta z pracy. Z pracy, którą tenże emeryt – z powodu coraz bardziej iluzorycznych, ze względu na ich wysokość, emerytur – już dziś musi (jeśli nie chce umrzeć z głodu) wykonywać do końca życia. I z każdym kolejnym rokiem będzie musiał tę dożywotnią pracę wykonywać „coraz bardziej", bo stosunek ostatniej średniej pensji emeryta do jego emerytury, który już spadł z 63,7 proc. w 2015 r. do zaledwie 56,4 proc. w 2020 r., w 2030 spadnie do 47,1 proc., w 2040 – do 37,6 proc., w 2050 – do 28,7 proc., a w 2060 – do już tylko 24,6 proc. Lawinowo przybywa też osób inkasujących tzw. groszowe emerytury, czyli niższe niż najniższa; w tej chwili jest ich prawie 400 tys. W 2022 r. 17 proc. „groszowych" emerytów otrzymywało świadczenie niższe niż 600 zł, kolejne 24 proc. – w wysokości od 600 do 800 zł, a ok. 59 proc. – od 800 do 1338 zł.

I ten proces – zmuszania emerytów do zarobkowania do późnej starości – już w Polsce zachodzi. Liczba takich emerytów od 2011 r., kiedy to pracowało ich niecałe 550 tys., najpierw rosła nieznacznie, bo do mniej niż 600 tys. w 2016 r. Lecz potem – po słynnym obniżeniu przez rząd PiS wieku emerytalnego z 67 lat dla kobiet i mężczyzn do, na powrót, 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn – pracujących emerytów zaczęło gwałtownie przybywać; w 2022 r. było ich już ponad 800 tys. I szybko ich liczba przekroczy milion, zważywszy na to, że dziś proces pauperyzacji polskich „wczesnych emerytów" dodatkowo przyspiesza szalejąca inflacja.

A zatem: nasze coraz bardziej fikcyjne emeryturki możemy sobie wypłacać nawet od 50. roku życia, ale wyżyć się za nie bez pracy nie da. Jeśli więc tego chcemy – pracować do końca życia – to jesteśmy na dobrej drodze do zrealizowania tego celu. I rząd nam w tym pomoże. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Skończmy z art. 212

Pierwsze przymiarki do wykreślenia z Kodeksu karnego art. 212, mówiącego o pomówieniu i grożącego za nie nawet karą pozbawienia wolności, miały miejsce już wiele lat temu. Ponad dekadę wstecz kilka spotkań z ludźmi mediów zorganizował w tej sprawie ówczesny minister sprawiedliwości Jarosław Gowin. Skończyło się na niczym. Opór przeciwko wykreśleniu nieszczęsnego przepisu stawił wtedy wiceminister Michał Królikowski, a następnie sprawa się rozmyła.

W tej sprawie warto być pragmatykiem i Zbigniewowi Ziobrze kibicować

PiS, będąc w opozycji, pokazywał art. 212 jako bat na wolność słowa i wskazywał, że jego obecność w kodeksie oznacza tzw. efekt mrożący, czyli coś w rodzaju prewencyjnej autocenzury, którą sami na siebie nakładają dziennikarze, a także blogerzy czy aktywiści, którzy nie chcą mieć kłopotów. Przykładów było wiele. O ile jakoś z oskarżeniami z 212 radzili sobie znani publicyści czy dziennikarze z centralnych mediów – czasami ułaskawiani po prostu przez aktualnego prezydenta – o tyle znacznie gorzej rzecz się miała na szczeblu lokalnym, gdzie dziennikarze tracili pracę i zdrowie już tylko dlatego, że stawali się oskarżonymi. O skazaniu nie mówiąc.

Niektórzy zniechęcali się w ogóle do dziennikarstwa. W 2017 r. w takich okolicznościach zrezygnował z pracy w tym zawodzie Łukasz Ernestowicz z „Gazety Pomorskiej". „Boję się już podejmować kontrowersyjne tematy. Może mój przypadek przyczyni się do zniknięcia tego paragrafu z polskiego prawa" – mówił wówczas rozgoryczony.

PiS na temat art. 212 po zdobyciu władzy nagle zamilkł. Cóż, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. W 2019 r. z art. 212 przeciwko „Gazecie Wyborczej" postanowił skorzystać sam Jarosław Kaczyński. Teraz jednak gotowy projekt ustawy znoszącej ten przepis prezentuje Suwerenna Polska. Motywacja jest łatwa do wykrycia – kampania wyborcza. W tej sprawie warto być jednak pragmatykiem i Zbigniewowi Ziobrze kibicować. Mniej istotne, z jakich pobudek swój projekt przygotował. Ważniejsze, żeby przepis krytykowany wielokrotnie przez Europejski Trybunał Praw Człowieka, uderzający w swobodę wypowiedzi, wreszcie z polskiego ustawodawstwa zniknął. ©℗

eprasa.pl 831690520a

Cichy luksus – nowa obsesja mody

Kadr z serialu „Sukcesja". Na zdjęciu: Sarah Snook jako Siobhan „Shiv" Roy FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Joanna Bojańczyk

Bogaty nie musi się starać. Kto się ubiera na bogato, nie jest bogaty

W chaosie informacyjnym mody ludzie dawno stracili orientację, jak się ubierać. Co jest właściwie modne? Co jeszcze można, a czego już nie? Z dnia na dzień obciach staje się nakazem, za tydzień nakaz jest już obciachem. Kto nadąży? Z tego, co widzimy na czerwonych dywanach, festiwalach, balach itp., wyłania się jedna reguła: można wszystko.

Jednak w ostatnim czasie z tego mętliku komentatorzy mody (ja wśród nich) wyłowili wątek, który zgodnie uznano za najważniejszy. A to już coś, czego można się trzymać, gdy wokół same niewiadome. Zaczęło się od serialu „Sukcesja". Nie wiem, czy państwo oglądali, ja nie, ponieważ pierwsze 10 minut, które szczelnie wypełniało słowo „f…", skutecznie mnie zniechęciło (ta superordynarna nawet jak na współczesne standardy, lista dialogowa młodszym ode mnie podobno nie przeszkadzała). Serial opowiada o rodzinie amerykańskiego magnata prasowego i komplikacjach związanych z dziedziczeniem jego imperium. Powstały już cztery sezony.

Bohaterowie serialu, członkowie nowojorskiej elity finansowej, są oczywiście świetnie ubrani. Jak? To pytanie zaczęło dręczyć redaktorów. Jak właściwie ubierają się bogaci? I co my możemy z tego mieć? Zaczęto się doszukiwać nazw marek, ale nic nie było widać gołym okiem. Żadnego wielkiego napisu: Balenciaga, Dior, Chanel. Żadnych spodni dresowych drukowanych z logo Gucci, żadnych T-shirtów Supreme. Żadnej logomanii. Zdiagnozowano i nazwano sytuację: oto mamy fenomen „quiet luxury". Cichy luksus to nowa obsesja mody, która do tej pory zainteresowana była raczej czymś głośnym. Ciche nikogo nie obchodziło. Teraz ciche stało się głośne i poszło w świat.

Zaczęto szukać i szperać. Skontaktowano się z Michelle Matland, autorką kostiumów do „Sukcesji", i odnaleźli się poszukiwani: te marki, których poza bogatymi nikt nie zna. Brunello Cucinelli, Khaite, The Row, Loro Piana. Mało znane, niszowe, drogie. I o to właśnie chodziło. Komu? Bardziej publiczności niż projektantce. Ta nie podejrzewała sukcesu. „To są kostiumy, nie moda – powiedziała pani Madland dziennikowi »Washington Post«. – Dziwię, się, że to stało się modą". Istotnie, w jakiś sposób te drogie kurtki, tenisówki Lanvin i kaszmirowe bejsbo-

eprasa.pl 831690520a

lówki nagle stały się modą. Nie po raz pierwszy kino/telewizja narzuca modę: widzieliśmy to już nieraz, zwłaszcza w serialach „Seks w wielkim mieście", „Downton Abbey", „House of Cards".

Fenomen zyskał dodatkowe wsparcie w szczegółowo komentowanym – szczególnie przez amerykańską, lecz także naszą prasę – procesie Gwyneth Paltrow. Aktorka, którą narciarz oskarżył o potrącenie na stoku, pojawiała się w sądzie – co oczywiście pokazywały media – ubrana w proste, eleganckie zestawy. Po bliższym przyjrzeniu się koszulowa bluzka i spódnica, za duży płaszcz okazały się Pradą. Podchwyciły to gazety i zaraz w „Time Magazine", „Vogue", „New York Post" ukazały się przewodniki po cichym luksusie. A w nich bluzka z kapturem Toma Forda za 1390 dol., czapka bejsbolowa z kaszmiru za 650 dol. itp. A pani Paltrow została ikoną nowego stylu „cichy luksus".

„U NAS" TAK SIĘ UBIERA

Moda jest silnie zakorzeniona w wyobrażeniach o statusie społecznym. Ubieramy się dla kogoś, dla sytuacji, dla okoliczności, dla podniesienia statusu. Bo chcemy pokazać, że jesteśmy kimś albo że nie zależy nam, żeby być kimś. „Stare pieniądze" arywistów poznają od razu. A raczej dorobkiewicze sami dają się poznać i w ten sposób wpadają we własne sidła. Na przykład, kiedy (w serialu „Sukcesja") narzeczona Grega, Bridget, pojawia się z ogromną torbą w kratę Burberry, rodzina od razu wie, że kobieta nie należy „do nas". „U nas" nikt by się nie pojawił z czymś tak ostentacyjnym, czytaj: wulgarnym, jak obrandowana torba szeroko znanej marki.

„Stare pieniądze" nie muszą się popisywać statusem, ubierać na bogato. Mogą nosić zniszczone ubrania nieznanych marek. To należy nawet do osobliwego szyku klasy wyższej. Ten zwyczaj nie jest nowy: nową walizkę należało dać lokajowi, żeby ją choć trochę zniszczył, bo dżentelmenowi nie wypadało pokazać się z nową… Mój stary znajomy, Francuz, właściciel zamku i arystokrata w kolejnym pokoleniu nosił pocerowany krawat, zelowane buty i zniszczony płaszcz Burberry z przetartymi rękawami; skarpetki kupował tylko wełniane i tylko czarne w jednym sklepie w Paryżu, gdzie zaopatrywał się jego ojciec.

Styl klasy wyższej zawsze pozostawał domeną aspiracji klasy niższej. Na tym próbowały budować swój wizerunek firmy mody, które chciały naśladować (bliżej nieokreśloną) pożądaną elitę. Taką firmą była mało u nas znana amerykańska J.Crew (tę markę nosiła Michelle Obama), u nas za coś w tym rodzaju można uznać Marc O'Polo. Francuzi nazywają to BCBG – bon chic, bon genre. Dyskretna elegancja.

Pewną jego wariacją jest amerykański „preppy chic" – styl studentów Ligi Bluszczowej, którego motywy wielokrotnie podejmowała moda na całym świecie. Japończycy przyjeżdżali specjalnie do Harvardu, żeby poznać jego tajniki. Szkoły z internatem, koszule i bluzy, uczelniane krawaty. Opisano to nawet w książce „Official Preppy Handbook" Lisy Birnbach, którą pożyczył mi znajomy Amerykanin i której (o wstydzie) dotąd nie zwróciłam. Ta książka rozszyfrowywała kody Ligi Bluszczowej. Dziurawy krawat i poplamiona bluza do rugby nie mogły strącić z wysokości pozycji społecznej. Bogaty nie musi się starać. Kto się ubiera na bogato, nie jest bogaty. Słynne są już wielokrotnie opisywane czarne golfy Steve'a Jobsa, które zamawiał tuzinami u Japończyka Isseya Miyake oraz nie mniej sławne T-shirty Marka Zuckerberga od Brunello Cucinelli. I jeśli „cichy luksus" jest czymś więcej niż etykietą, to one były właśnie cichym luksusem.

JAK MILION DOLARÓW

W Polsce jesteśmy trochę daleko od tego wszystkiego, choć każdego roku coraz bliżej. Światowe trendy docierają nad Wisłę, znajdując tu niekiedy osobliwą, lokalną interpretację. Po transformacji wybuchł u nas zapał do wszystkiego, co zagraniczne; trudno się dziwić, skoro 40 lat byliśmy tego pozbawieni. W latach 90. kwestia jakości nie grała roli, liczyło się to, co widoczne i kolorowe.

Ten etap mamy chyba za sobą, ale też nie dochrapaliśmy się następnego. Z prostej przyczyny: o bogatych u nas trudniej niż na Zachodzie. A jeśli już są, to chętnie pochwalą się tym, co mają. Pokażą rezydencje w Konstancinie i torebki za 10 tys. Reporterzy Pudelka czyhają na Małgorzatę Rozenek, która przed studiem TVN zademonstruje swoją najnowszą „stylizację". Przy każdej części ubrania będzie cena. „Wyglądasz jak milion dolarów" – to największy komplement. Czytelnicy to kochają. Psychologowie mówią, że bardzo interesuje nas to, czego nie możemy mieć.

Ale jest też inna, ironiczna i przewrotna strona dialektyki: „stare pieniądze versus nuworysze".

Pokolenie urodzone w latach 80. i 90. nie jest zainteresowane blichtrem, elegancją „na bogato". Odrzucają nadęty styl rodziców. Nawet eklektyczny postmodernizm wczesnych lat 90. jest przez nich wyśmiewany. Ludzie X i Y chętnie etykietują się jako „nouveaux pauvres" – „nowobiedni". Nazwa ta – w opozycji do pogardliwych „nouveaux riches" – oznacza ludzi, którzy doznali gwałtownego zubożenia na skutek zmian społecznych i kryzysów ekonomicznych. Squatersi, bohema, grunge – jedni naprawdę biedni, inni tylko na biednych wystylizowani.

Powstaje z tego cały styl. Już na początku lat 90. w designie pojawił się „shabby look" – moda na wszystko, co stare, zniszczone. Przetarte ściany, meble z warstwami odpryskującej farby, śladami rdzy na okuciach, wyblakłe tkaniny o dawnych wzorach lansowała brytyjska projektantka Tricia Guild. Styl ten, który zbiegł się z etniczną modą na Toskanię, Prowansję i Grecję, stał się najpierw modny w kręgach brytyjskiej bohemy i neohipisów, a potem rozszedł się na Europę.

Trashy, grunge, destroy. Zaczęło się już w latach 80., gdy na scenę muzyczną wszedł grunge. Styl alternatywnego rocka rodem z zachodniego wybrzeża Stanów w latach 90. został zawłaszczony przez modę. Ubrania rozdarte, niewykończone, sztucznie poplamione, szyte na lewą stronę, z fastrygami i podszewkami na wierzchu, w ponurych kolorach opanowały wybiegi. Celowały w tym firmy niszowe: Martin Margiela, Comme des Garçons, ale podpięły się pod niego także establishmentowe i typowo luksusowe domy mody. U Chanel ukazał się wtedy słynny żakiet z wystrzępionymi brzegami. Stał się jednym z bestsellerów firmy i produkowany jest do dziś. Uchodzące u nas za „kultowe" T-shirty Roberta Kupisza, które wyglądają tak, jakby nosił je już ktoś przed nami, sprzedają się jak świeże bułki mimo wysokiej ceny.

Jak państwo widzą, moda nie jest ani tak prosta, ani tak głupia, jak by się mogło wydawać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 831690520a

MITSUBISHI ECLIPSE CROSS PHEV

Kompaktowy SUV japońskiej marki to samochód, obok którego trudno jest przejść obojętnie. Wzrok przyciągają awangardowa sylwetka, ciekawy układ LED-ów do jazdy dziennej oraz najważniejszy punkt stylistycznego programu Mitsubishi, czyli dynamiczna tarcza (ponoć ma wyrażać siłę, solidność i bezpieczeństwo; w życiu bym się nie domyślił, ale motyw wygląda ciekawie i wyróżnia auto na tle setek innych SUV-ów). W wersji Ralliart model Eclipse Cross PHEV wygląda zaś jeszcze dynamiczniej i bardziej sportowo. Naprawdę może się podobać.

We wnętrzu nowocześnie prezentuje się dźwignia zmiany biegów. Ośmiocalowy dotykowy ekran systemu multimedialnego też cieszy, choć jakość użytych grafik już nieco rozczarowuje. Kierowca ma do dyspozycyjny dwa zegary i 3,7-calowy wyświetlacz komputera pokładowego, który obsługuje się za pomocą przycisków umieszczonych na lewo od kierownicy (nie jest to superwygodne). W testowanej wersji InstylePlus cieszy za to wyświetlacz przezierny (Head-Up Display), pozwalający odczytać najważniejsze informacje dotyczące jazdy bez konieczności odrywania wzroku od drogi. Na pokładzie są też aktywny tempomat, system monitorujący martwe pola, kamery 360 stopni i przydatna opcja aktywowania widoku z kamer z przodu i z boku za pomocą przycisku na kierownicy.

Jeśli chodzi o wystrój kabiny, to widać miłość projektantów do materiału zwanego „piano black", czyli do czarnego plastiku, który w testowanym modelu błyszczy, gdzie tylko może. Co kto lubi. Pomijając odciski palców na pianinowych ozdobach, wnętrze wygląda dobrze. Ładnie prezentują się zwłaszcza pokryte białą skórą, wygodne fotele z elektryczną regulacją i podgrzewaniem. Miejsca jest całkiem sporo zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie (choć osoby wysokie muszą przy wsiadaniu pamiętać o nisko opadającej linii dachu). Plus za płaską podłogę z tyłu.

Napęd testowanego modelu to próba pogodzenia wody z ogniem, czyli połączenie silnika benzynowego o pojemności 2,4 l oraz dwóch silników elektrycznych. Maksymalny zasięg na prądzie wynosi ok. 30 km. Szału nie ma, ale z domu do biura się dojedzie. Silnik spalinowy dostarcza energii elektrycznym, dzięki czemu wewnątrz panuje przyjemna cisza, jakbyśmy jechali typowym elektrykiem. Auto jest też dynamiczne, choć trudno w tym przypadku mówić o sportowych emocjach (od zera do setki przyspiesza w 10,9 s). Układ napędowy działa bez zarzutu. Zresztą nie bez powodu Mitsubishi daje aż pięć lat gwarancji. Na pochwałę zasługuje też napęd 4 x 4. Gorzej jest ze spalaniem. Co prawda, w mieście dzięki odzyskiwaniu energii z hamowania można zejść do ok. 6 l/100 km, ale na autostradzie testowany SUV pali już średnio ok. 10 l/100 km.

Inne wady? Patrząc na solidną bryłę auta, negatywnie zaskakuje niewielki kufer. Bagażniczek modelu Eclipse Cross PHEV ma bowiem pojemność zaledwie 359 l. Wystarczająco jak na miejskie auto, ale SUV powinien móc zmieścić więcej.

Za bestseller Mitsubishi trzeba zapłacić 199,9 tys. zł. Wersja Instyle Plus z pakietem Ralliart, HUD-em etc. to już wydatek ok. 220 tys. zł. ©℗

INTELIGENTNY DOM WEDŁUG TP-LINK

Kolejne badania pokazują, że Polacy pokochali inteligentne domy. Producenci prześcigają się więc we wprowadzaniu na rynek gadżetów, które zwiększają komfort mieszkania, bezpieczeństwo czy ułatwiają oszczędzanie energii.

TP-Link – chiński producent sprzętu sieciowego znany choćby z inteligentnych żarówek czy gniazdek – wypuścił na rynek kilka nowych produktów, które przeznaczone są do domu typu smart. Sercem inteligentnego lokum według Chińczyków jest Tapo H100. Niewielki biały gadżet to urządzenie typu trzy w jednym. To jednocześnie inteligentny dzwonek do drzwi i inteligentna syrena alarmowa, która jest już na tyle głośna (90 dB), że może służyć do odstraszania nieproszonych gości. Przede wszystkim jest to jednak hub gotowy, aby stać się centrum sterowania całym domem. Tapo H100 potrafi bowiem obsłużyć do 64 podłączonych bezprzewodowo urządzeń. Podłączenie urządzenia jest bajecznie proste: wystarczy podpiąć je do prądu i sparować z aplikacją. Niskomocowy protokół sieci sprawia, że bezprzewodowe urządzenia mogą działać na baterii do 10 razy dłużej. Cena: 99 zł.

Co można do takiego huba podłączyć? Na przykład czujnik ruchu T100 (za 76 zł), który może automatycznie wyzwolić wspomnianą wyżej syrenę alarmową w razie wykrycia intruzów (ochronie domu służy też czujnik magnetyczny T110 za 65 zł) lub po prostu zapalać inteligentną żarówkę, gdy wrócimy do domu. Można też dodać czujnik temperatury i wilgotności T310 (cena: 85 zł), dzięki któremu użytkownik może zdalnie sprawdzać warunki w domu. Gadżet potrafi również automatycznie alarmować, gdy np. poziom wilgotności zacznie odbiegać od ustalonego wcześniej przedziału (np. spadnie poniżej zalecanych 40 proc.), a także może w odpowiednim momencie włączyć lub wyłączyć nawilżacz, grzejnik etc.

Hub H100 obsługiwać też może inteligentne włączniki światła S210 i S220 (dzięki czemu można je zapalić lub zgasić tradycyjnie bez korzystania z aplikacji czy komend głosowych, nie tracąc możliwości zdalnego sterowania) czy inteligentny przycisk S200B (za 85 zł). To coś dla leniwych/inteligentnych, którym nie chce się włączać aplikacji na smartfonie. Przycisk można zaprogramować do działań za pomocą pojedynczego kliknięcia (np. w celu włączenia inteligentnej żarówki w salonie), podwójnego kliknięcia (np. aby zapalić lampę na antresoli) lub obrotu (np. aby rozjaśnić lub ściemnić wybraną żarówkę). Przycisk można też zainstalować w domu starszych osób, aby mogły łatwo wezwać pomoc. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X3)

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 831690520a

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Korrida w Dynowie

Dynów na Pogórzu Karpackim to jedno z ciekawszych miejsc na południowym, podgórskim szlaku osiedli mających pozostałości unikalnej historycznej zabudowy. Moje typy to, patrząc od wschodu, Próchnik, a potem kolejno: Dynów, Strzyżów, Ciężkowice, Lipnica Murowana i Lanckorona. Dynów wprawdzie rynek ma murowany, ale w samym miasteczku pozostało wiele dawnych drewnianych domów tworzących ciekawy klimat tego miejsca. Historia miasta jest jak zwykle burzliwa; założone zostało w pierwszej połowie XV w., być może w miejscu poprzedniej osady, spalonej przez Tatarów – stąd pochodzenie nazwy: od łacińskiego „de novo". W 1429 r. uzyskał prawa miejskie, a już w 1436 r. zajechał go i zajął Mikołaj Kmita, kasztelan przemyski, który w 1441 r. musiał ustąpić dobra dynowskie Małgorzacie z Kmitów Mościcowej. Kolejno miasto przechodziło do rąk jej potomków piszących się już jako Dynowscy, potem do ich krewnych Rzeszowskich, w 1496 r. Dynów sprzedany został Janowi Amorowi Tarnowskiemu, wreszcie w 1532 r. dobra przejęli Wapowscy. Z rodu tego najbardziej znany był Andrzej, kasztelan przemyski i podkomorzy sanocki, który w 1575 r. próbował rozwadzić na dziedzińcu Wawelu Samuela Zborowskiego i Jana Tęczyńskiego, za co został przez tego pierwszego uderzony czekanem w głowę i zmarł w wyniku powikłań oraz zakażenia. Za ten czyn Zborowski został skazany na banicję, otwierając poczet polskich buntowników i swawolników.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. QBA

Dynów odziedziczył wówczas Jan Stanisław Wapowski, syn Andrzeja. I on właśnie zasłynął z urządzenia w 1603 r. pierwszej w Polsce korridy, połączonej być może z encierro, czyli hiszpańską ceremonią przepędzania byków przez ulice miasta do zagrody, gdzie odbędą się walki. Z okazji narodzin córki Wapowski urządził osobliwy triumf – kazał pozamykać bramy i drzwi w domach przy rynku w Dynowie, pozagradzać ulice, następnie rozdał dworzanom i mieszczanom broń palną. Potem kazał wypuścić na ulice rozjuszonego byka i strzelać do niego.

Zabawa skończyła się tragedią. Po pierwsze, wody wówczas nie pito, więc w trakcie pijackiej strzelaniny zginął jeden z dworzan, 20-letni Mikołaj Pawłowski, trafiony przez pomyłkę w serce. Po drugie, mieszczanie i uczestnicy zabawy słabo znali się na broni palnej, co zaskakuje w burzliwym wieku XVII. Jak czytamy w protestacji Jana, ojca zabitego – przeciwko Wapowskiemu – m.in. „ledwie co drugi rusznicę w ręce wziąć umiał". Jak skończyła się cała sprawa – nie wiadomo, zapewne jednak Jan Stanisław Wapowski musiał wypłacić sowity basarunek za głowę zabitego.

Wapowski w czasie zbrojnych awantur ze Stanisławem Stadnickim z Łańcuta wystąpił po stronie kasztelana Mikołaja Spytka Ligęzy z Rzeszowa, któremu Diabeł Łańcucki zatrzymał kupców w czasie wojny o jarmarki. Być może w odpowiedzi na to Stadnicki wpadł zbrojnie do Dynowa, a potem kazał posłać mu we wrota domu, zapewne umocnionego zameczku, osławioną Czarną Strzałę, która oznajmiała, że Diabeł wypowiada właścicielowi nieubłagalną wojnę. Właśnie w Dynowie, jak przekazują dawne akta grodzkie, uczynił to po raz pierwszy.

Dynów podupadł bardzo od 1657 r., kiedy w czasie najazdu węgierskiego ludzie księcia Rakoczego zdobyli i złupili miasteczko, zniszczyli także zamek i kościół św. Wawrzyńca. Miasto odbudowywało się powoli, jeszcze w 1691 r. nowy właściciel ks. Grzegorz Ogiński, hetman wielki litewski, próbował podnosić je z upadku. Niestety, wkrótce na Dynów spadło nowe nieszczęście – w 1702 r. złupili go i spalili Szwedzi, którzy usiłowali schwytać właściciela, wspomnianego księcia Ogińskiego, stronnika króla Augusta II. Od tego czasu miasto długo pozostawało zaniedbane, podnosząc się z upadku dopiero w XIX w., za czasów Trzecieskich, którzy pozostawali właścicielami okolicznych majątków aż do 1944 r.

Pamiątką z dawnych czasów jest dziś kościół św. Wawrzyńca, ufundowany pierwotnie w 1462 r., przebudowany przed 1604 r. przez Katarzynę Wapowską, a po nieszczęsnym najeździe Rakoczego odbudowany w 1663 r., kiedy uzyskał dzisiejszy wygląd. ©℗

eprasa.pl 831690520a

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Mamałyga

Kuchnia krajów Półwyspu Bałkańskiego charakteryzuje się bogactwem smaków i różnorodnością kolorów, a prawie wszystko, co znajdziemy na talerzach, pochodzi bezpośrednio od natury. To kraj górzysty z ogromną liczbą hal i pasących się tam owiec, więc sery owcze są składnikiem wielu potraw. Rumunia była pomostem łączącym Wschód z Zachodem. Również wpływy innych narodów na przestrzeni wieków, a szczególnie Turcji, Francji i Włoch, pozostawiły tam swój ślad w kwestii smaku. Kraj słynie z potraw jednogarnkowych, zup gotowanych i zakwaszanych żurem oraz wyśmienitych sarmali, czyli miniaturowych gołąbków zawijanych w liście winogron. Znajdziemy tu zarówno dania mięsne, dobrze doprawione duszone i treściwe gulasze wołowe, jagnięce i wieprzowe, jak i wegetariańskie aromatyczne potrawy, które równie dobrze zaspokajają gusta nawet najbardziej wybrednych smakoszy. Rumuńskie stoły uginają się od ilości serwowanych potraw, mieszkańcy tego kraju po prostu mają to we krwi – uwielbiają biesiadować. Wszyscy mieszkańcy są tu bardzo gościnni i serdeczni wobec turystów. Rumuńska kuchnia nie istnieje bez kukurydzy, uprawia się ją tutaj od wieków i serwuje na różne sposoby: gotowaną w całości, same ziarna prażone z kukurydzy oraz w postaci kaszy, z której robi się tradycyjne danie, czyli mamałygę.

FOT. ADOBE STOCK

To danie to jedno z najlepszych, jakie jadłyśmy w tym kraju. Lekkie, aromatyczne, dokładnie takie, jakie powinno być. Ugotowana kasza lub mączka kukurydziana w zależności od ilości dodanej wody wpływa na gęstość potrawy. Może być dodatkiem do pieczonych lub grillowanych mięs czy warzyw albo być daniem samym w sobie. Najczęściej posypuje się ją świeżym serem owczym lub polewa kwaśną śmietaną i serwuje z dodatkiem pieczonych lub podsmażonych pomidorków koktajlowych. Można też obficie polać ją oliwą i posypać ziołami, zjeść z sadzonym jajkiem i koniecznie posypać ziarnami czarnuszki. Potrawa ma wspaniałe właściwości prozdrowotne, jest bogactwem witaminy E, beta-karotenu, steroli i biotyny. Na deser obowiązkowo słodkości przypominające nieco tureckie baklawy.

Mamałyga

• 25 dag kaszki kukurydzianej • 750 ml mleka • 15 dag masła • sól, pieprz i świeże zioła według uznania, oregano, zioła prowansalskie

Mleko zagotowujemy.

Dodajemy masło i cały czas mieszamy do zagotowania, następnie dodajemy kaszkę kukurydzianą rozrobioną z wodą tak, aby nie zrobiły się grudki. Wlewamy do gorącego mleka, energicznie mieszamy, czekamy, aż zgęstnieje, zagotowujemy. Przekładamy na półmisek, posypujemy tartym serem owczym lub kozim, polewamy kwaśną śmietaną lub oliwą z oliwek. Możemy dodać świeżą pietruszkę lub grillowane albo duszone warzywa.

Możemy również zrobić mamałygę na słodko i zamiast soli dodać cukier lub miód. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kurczęta sezonowe

Przez całą zimę pan Bojańczyk z zapałem wyciskał na śniadanie sok z pomarańcz, zapewniając nam świeżą dostawę witaminy C. – Koniec z pomarańczami – ogłosiłam. – Teraz są truskawki, za chwilę czereśnie i przez cale lato cała rewia owoców sezonowych. Zapomnijmy o cytrusach.

Mój mąż uważa, że skoro wyszliśmy z epoki gospodarki naturalnej i w supermarkecie można kupić w czerwcu marakuje, to nie ma także przeszkód, żeby sok pomarańczowy pić w czerwcu. Ale ja się pytam: Po co? Na naszym targu zatrzęsienie truskawek, szparagów, pomidorów, 100 rodzajów sałat. Czerwiec! Po co pomarańcze?

Sezonowość niby jeszcze jest. Ale i tak kto zabroni w grudniu kupować czereśnie, skoro są? Albo weźmy kurczaki. Czy to potrawa sezonowa? Według współczesnego systemu produkcji żywności absolutnie nie. Jemy je cały rok i bardzo dobrze. Ale zaraz. Odpowiedź ukrywa się w masowo budowanych kurnikach, które jeden za drugim wyrastają niedaleko Żuromina. To nawet nie kurniki, to gigantyczne obozy koncentracyjne.

Także w literaturze jest o tym mowa. Kiedy ktoś zjadał całego kurczaka (pulardę), wcale niekoniecznie musiał to być Gargantua. Po prostu nasze współczesne kurczaki są bardzo duże w porównaniu z tymi, które wykluwały się wolniutko w sposób naturalny. W ciekawych pamiętnikach

FOT. ADOBE STOCK

„Dziwne jest serce kobiety" Zofia Skąpska opisuje swoje doświadczenia z nowoczesną wylęgarnią. Był to inkubator dla piskląt. Działo się to w latach 30. XX w. i pani Zofia, świetna gospodyni i pragmatyczna pani domu, eksperymentowała z technologiczną nowinką: elektryczną wylęgarnią. Sprawdzała, jak niemowlaki rosną i przybierają na wadze. Potem wypuszczało się je na wolność, a w czerwcu były już na tyle duże, że nadawały się na obiad. Można zrozumieć, dlaczego Maria Iwaszkiewicz w swoich gawędach „Z moim ojcem o jedzeniu", wspominając czerwcowe obiady w Stawisku, mówi właśnie o kurczętach. Młodych kurczętach. W czerwcowym menu obiadowym obok nich figurowały także młode kartofle z koperkiem, szparagi, mizeria i zielona sałata ze śmietaną. Na deser truskawki.

Tylko tamte kurczęta nie miały biustów tak obfitych jak te, które kupujemy w supermarkecie.

PS Wymagania poprawności nakazują mi przeprosić wszystkich, których uraziły opisy hodowli i jedzenia drobiu. ©℗

eprasa.pl 831690520a

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

COVID-19 i cykliści

Jak już przewidywałem, przechodzimy w fazę demonstracji ostentacyjnego przymusu. Dla samego przymusu, a właściwie jego pokazuchy. Otóż okazało się, że w tegorocznym Tour de France zostanie utrzymany antycovidowy protokół. Co tam utrzymany – podkręcony! W tym roku kolarze będą mieli zakaz wychodzenia z hotelu, jedzenia na mieście. Padok tylko w maseczkach i hasło instrukcja: „Nie zbliżaj się zbytnio do widzów – dystans społeczny, żadnych selfie, żadnych autografów".

W zeszłym roku na wyścigu nie było takich ograniczeń, ale popatrzmy: kiedy kolarzom można było wychodzić z hotelu w zeszłym roku we Francji, szalał COVID-19 na poziomie ok. 25 tys. przypadków zakażeń (znaczy się w tłumaczeniu na nasze: pozytywnych testów) dziennie. I można było sobie łazić. W tym roku obowiązuje wspomniany dystans społeczny, kiedy Francja zanotowała w dniu tej pandemicznej decyzji 3204 przypadki chorych na testy. A więc jest jak u Lejzorka Rojtszwańca: jak zwalniają, to znaczy, że będą przyjmować. Czyli po covidowemu – jak liczba zakażeń spada, to podkręcamy obostrzenia. To taka dialektyka covidowa.

Po co to może być? No, wydaje się, że cel jest jeden. Dawno już kwestie epidemiologiczne oddzieliły się od obostrzeń. Jedne sobie, drugie sobie. COVID-19 już padł wedle WHO, ale obostrzenia to sobie funduje każdy kraj, jak chce. A te się spodobały. My jedziemy dwa miesiące dłużej z pandemią niż WHO, ale – jak widać – nie jesteśmy osamotnieni. Chcemy więc pokazać ludziom, że obostrzenia mogą funkcjonować bez żadnych uzasadnień. W formie czystej. Oddzielone od procesu przyczyna-skutek, bez przyczyn będą już tylko emanacją czystego skutku, czyli treningiem posłuszeństwa, aportowaniem nakazów.

I tak, zdaje się, będzie. Posłuch ludzki będzie testowany jak nóż wchodzący w masło, bez oporu, czyli bez ograniczeń. Takie nakazy dla kolarzy to czysta demonstracja jak z filmu „Miś", z niemania płaszcza i „Co nam pan zrobisz?". Autorzy ograniczeń nie silą się nawet na uzasadnienie swych działań. A to oznacza, że mogą je wprowadzać, kiedy chcą, pod byle pretekstem albo i bez niego.

Ale cóż tu się dziwić: po doświadczeniach światowej akceptacji trzymania za twarz modus władz pozostaje taki sam, może się tylko zmienią tematy, by nie było nudno. Po koronie wejdzie klimat. Nie wiedziałem, jak to się połączy, ale proszę, znowu zaskoczenie dla człeka o małym duchu: właśnie Instytut Roberta Kocha w Niemczech ogłosił, że przed zmianami klimatycznymi mogą nas uchronić… szczepionki.

Tak że kołowaliśmy, kołowaliśmy i jesteśmy „na ścieżce i na kursie". I na bank nie trafimy w żaden pas. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Zdrówko najważniejsze

Pierwszy element globalnego systemu WHO zacznie działać w czerwcu 2023 r. i ma być rozwijany w nadchodzących miesiącach – informuje WHO w specjalnym komunikacie.

5 czerwca w Genewie UE i WHO ogłosiły współpracę w zakresie globalnych cyfrowych paszportów szczepionkowych. A więc już nie są to teorie spiskowe. To oficjalne stanowisko ogłoszone przez dyrektora generalnego WHO, dr. Tedrosa Ghebreyesusa (byłego etiopskiego komunistę). Przyznaje on, że pandemia wprawdzie dobiegła końca, ale inwestycje w cyfrową infrastrukturę są kontynuowane, a europejski paszport szczepionkowy posłuży jako wzór do wprowadzenia globalnego certyfikatu zdrowia. Unijna komisarz ds. zdrowia i bezpieczeństwa żywności, Stella Kyriakides, przyznała, że to ważny krok na drodze ku cyfrowej globalnej strategii zdrowia UE.

Gdyby nie było to groźne, właściwie mógłby być z tego niezły ubaw. Oto dr Ghebreyesus, który potwierdził swoje kompetencje, prognozując wiosną 2020 r. hekatombę zgonów, porównując COVID-19 do grypy hiszpanki (która zabiła 100 mln ludzi), oraz pani komisarz Kyriakides, ta sama, która przekonywała, że w sprawie dodatkowej umowy, o wartości 1,8 mld euro, między Pfizerem a Ursulą von der Leyen jest wszystko w porządku, że nie było żadnych wykasowanych SMS-ów, że przewodnicząca von der Leyen nie brała udziału w negocjacjach… otóż ta ekipa zapowiada nam wprowadzenie cyfrowych paszportów szczepień w skali globalnej.

Mam wrażenie, że funkcjonujemy w jakiejś postmodernistycznej rzeczywistości. Uchylone zostały prawa logiki, każdy ma swoją prawdę, wybiera i sam określa wersję „rzeczywistości", w której chce funkcjonować. Prace nad wprowadzeniem globalnych paszportów trwają. Dzieje się to po przesłuchaniu w PE dyrektor Pfizera, Janine Small, która przyznała, że koncern nie badał szczepionki pod względem skuteczności blokowania transmisji zakażeń. Dzieje się to już po orzeczeniu Sądu Najwyższego USA, który po zbadaniu sprawy i przesłuchaniu biegłych stwierdził, że „bycie zaszczepionym nie zapobiega zarażeniu się lub przenoszeniu COVID-19 przez daną osobę". Dzieje się to, gdy znane są statystyki porównawcze niepotwierdzające wpływu szczepień na zmniejszenie się liczby zakażeń.

Etiopski lekarz i cypryjska psycholog, zamiast np. zająć się wyjaśnieniem nienotowanego wcześniej w Europie gwałtownego wzrostu nagłych zgonów ludzi młodych (na zapalenie mięśnia sercowego i innych chorób układu krążenia), ogłaszają wprowadzenie globalnego narzędzia przymusu szczepionkowego. Wszystko oczywiście po to, abyśmy zdrowi byli. ©℗

eprasa.pl 831690520a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Kraina Niewiadomo

Piękna nasza Polska jest krajem, w którym nic nie wiadomo. Stop. No weźmy choćby ten marsz. Ilu ludzi maszerowało? Stop. Nie wiadomo. Stop. Według różnych szacunków od 100 tys. do pół miliona. Stop. Ja rozumiem, że w takim tłumie to można się zastanawiać, czy np. byli Igor i Katarzyna. Ale żeby komuś się zgubiło czy też się znalazło 400 tys.? Stop. Zalatuje to przesadą. Stop. Albo z tym hymnem, z „Mazurkiem Dąbrowskiego". Stop. Wiele osób słyszało, że nie słyszało, znaczy, że niby ci, którzy hymn mieli na marszu śpiewać, to nie śpiewali. Stop. Pojawiły się nawet plotki ohydne, że nie umieli, co świadczyłoby o nich średnio. Stop. Ale zaraz przedstawiono dowody, że inne mikrofony wyłapały, że śpiewane było jednak. Stop. No i nie wiadomo teraz, kto jest w posiadaniu racji. Stop. Wałęsa Lech wyszedł i powiedział, że jest człowiekiem sukcesu tysiąclecia i tu też spór, bo wiele osób uważa, że co najmniej kilku, a nie jednego. Stop. Albo z tymi przemówieniami. Stop. Znaleźli się tacy, którzy twierdzą, że szefowie wielkich partii opozycyjnych, którzy byli na marszu, Włodzimierz Czarzasty, Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia, nie przemawiali do ludzi. Stop. Jednak po uważnym prześledzeniu wszystkich materiałów okazuje się, że jednak nie przemawiali. Stop.

No nic nie wiadomo. Stop. Weźmy takie prawo, niby jest, ale jakoby nie było. Stop. Prezydent ułaskawił lata temu Mariusza Kamińskiego i ten Kamiński przez te lata był i jest ministrem spraw wewnętrznych. Stop. Sprawa jednak jest taka, że niby nie wiadomo, czy prezydent może ułaskawić kogoś, kto w świetle prawa nie jest prawomocnie skazany, czyli jest niewinny. Stop. Z tego właśnie powodu zebrał się w kraju, w którym nic nie wiadomo, Trybunał Konstytucyjny i orzekł, że właśnie wiadomo! Stop. Że może, bo prezydent ma takie prawo. Stop. I Mariusz Kamiński odetchnął, ale okazało się, że przedwcześnie odetchnął, bo jednak nie wiadomo. Stop. Gdyż zebrał się Sąd Najwyższy i orzekł, że prezydent nie ma takiego prawa i żadnego ułaskawienia nieprawomocnie skazanego nie ma. Stop. I teraz ten minister Kamiński, który ma pod sobą służby i policję, będzie stawał przed sądem jako oskarżony. I kto wie, jak się skończy? Stop. No właśnie nie wiadomo, taki kraj. Stop. Minister Zbigniew Ziobro obiecał zniesienie art. 212 Kodeksu karnego, czyli więzienie za słowa. Stop. Pamiętam, jak kilkanaście lat temu zmianę tego kuriozalnego prawa obiecywał ówczesny minister sprawiedliwości, Jarosław Gowin. Stop. Gowina w polityce nie ma, a 212 w kodeksie jest. Stop. To akurat wiadomo. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Kto wypije to piwo?

Ciekawe spory toczą się aktualnie wśród amerykańskich piwoszy. Przez lata ich ulubioną marką był Bud Light – którego sprzedaż przekraczała 30 proc. całego amerykańskiego rynku piwa.

Przed dwoma miesiącami wiceprezes produkującego Bud Lighta browaru ogłosiła, że nowa reklama piwa powinna być bardziej „inkluzywna" i „reprezentatywna". Zdaniem 39-letniej Alissy Heinerscheid, pierwszej jak dotąd kobiety w kierownictwie korporacji piwiarskiej Anheuser-Bush, „reprezentatywność jest istotą ewolucji i wzrostu", wymaga więc reklamy skierowanej nie tylko do mężczyzn i kobiet. Dotychczasowy wizerunek Bud Lighta wydał się absolwentce Uniwersytetu Harvarda „zbyt kumpelski".

Po kilku dniach pojawiły się filmy pokazujące tiktokera i aktywistę transseksualnego Dylana Mulvaneya, reklamującego Bud Lighta. Okazja do świętowania była niezwykła, Dylan obchodził właśnie rocznicę dnia, w którym „został kobietą", a okolicznościowe puszki piwa z jego podobizną miały tę okazję uświetnić. Jak dodał Dylan, można też nimi uczcić wydarzenie sportowe March Madness (popularny w USA turniej koszykówki), choć nie miał pojęcia, o jaki sport w nim chodzi.

Konsumenci Bud Lighta zareagowali protestami i bojkotem. Giełdowa wartość korporacji Anheuser-Bush spadła od końca kwietnia o 27 mld dol. Sprzedaż najpopularniejszego piwa w Ameryce obniża się o 20 proc. tygodniowo, nic nie wskazuje na zmianę tego trendu. Zagrożone są miejsca pracy w amerykańskich browarach firmy, bankructwo patrzy w oczy dystrybutorom i sprzedawcom Bud Lighta.

„Inkluzywna" wiceprezes Alissa została już odesłana na bezterminowy urlop. Stanowisko prezesa koncernu zachował jednak zarabiający ok. 12 mln dol. rocznie Brendan Whitworth. Przy okazji okazało się, że ten 46-letni biznesmen, także absolwent Harvardu, pracował w latach 2001–2005 jako operations officer w CIA, zajmując się zwalczaniem terroryzmu w Pakistanie, Tunezji i Iraku. Zajmował się tam analizą danych i pozyskiwaniem osobowych źródeł informacji. Czyżby w ojczystym kraju nie zdołał on zauważyć, że transseksualiści nie pociągną masowej sprzedaży piwa? Danych takich mmogliby dostarczyć mu pierwsi z brzegu sprzedawca i barman. Nie są one objęte tajemnicą państwową.

Rewolucja „woke", pustosząca dziś Stany Zjednoczone, gwałtownie przyśpiesza. Piwo, które warzą nam dzisiaj jej polityczni sponsorzy, może być paskudne i wyjątkowo kosztowne. W odróżnieniu od amerykańskich piwoszy trudno nam będzie sięgnąć po produkt konkurencji. ©℗

eprasa.pl 831690520a

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ławeczka Staffa

Oprócz Iłły (Kazimiery Iłłakowiczówny) i starego Poldzia Staffa cała polska literatura maszeruje, jak bolszewicy każą" – pisał Lechoń w swoim „Dzienniku" w 1954 r. Podziwiał ponad 70-letniego Poldzia, „schnącego starca", nie tylko za piękne, klasyczne wiersze, lecz także za to, że dawał sobie radę w Polsce Ludowej, nie podpisywał żadnych nikczemnych depesz, nie pisał wierszy do Stalina, a gdy go naciskano, wykręcał się: „Jestem stary i nic nie rozumiem" (choć oczywiście rozumiał wszystko).

Staff odmawiał akcesu do „Bierucji", za co zapłacił kilkoma latami biedy, bezdomności i tułaczki. Po powstaniu warszawskim, w którym spłonął jego dom z bezcenną biblioteką, przeszedł razem z żoną obóz w Pruszkowie, a później zatrzymał się na jakiś czas w gościnnej plebanii w Skarżysku-Kamiennej. Przez przeszło rok był u starego przyjaciela Ludwisia Morstina w jego dworze w Pławowicach. Gdy komuniści mu go odebrali, schronił się w Krakowie u siostry swojej żony i jej męża, w małej klitce ich dwupokojowego mieszkanka na trzecim piętrze bez windy, ze stromymi schodami, zabójczymi dla jego ciężko chorego serca i początku choroby Buergera.

Zdążył, na szczęście, wydać tomik swoich wierszy w reaktywowanym po wojnie wydawnictwie Mortkowiczów, zlikwidowanym wkrótce, jak wszystko, co prywatne. „Nowi" wydawcy nie interesowali się nim, był dla nich niemodny, nieaktualny, nazywany mumią i naftaliną. Jego znany wiersz „O szyby deszcz dzwoni" figurował w szkolnych podręcznikach jako przykład koszmarnych czasów sanacji.

Wegetował w Krakowie trzy lata. Ściągnął go jednak do ukochanej Warszawy jego uczeń i wielbiciel Julian Tuwim. Miał wobec Staffa wielki dług, jeszcze jako gimnazjalista wysłał mu swoje debiutanckie wiersze, uznane przez Staffa za znakomite. Już wtedy dostrzegł on w Tuwimie talent i go ośmielił. Tuwim nigdy mu tego nie zapomniał i pomagał Staffowi jeszcze podczas swego pobytu na emigracji w przebrzydłym „Niujorczysku". Wysyłał leki i stare ciuchy, np. ciepłe palto, o które Staff prosił, bo miał tylko pożyczoną kurtkę. „Chodził w przypodartym ubraniu, a buty wdziewał na przyboś (na bosą nogę), bo nie miał skarpetek" – wspominał jeden z krakowskich znajomych.

Paczki dla Staffa wysyłał Tuwim dzięki miłośnikom poezji nestora polskich poetów, sam był bowiem bez grosza. Za ślepą miłość do bolszewików i Związku Sowieckiego, kontakty z komunistycznymi działaczami (m.in. Oskarem Lange) rząd emigracyjny w Londynie cofnął mu zasiłek. Zerwali z nim jego wieloletni przyjaciele – Wierzyński i Lechoń, na których skarżył się w listach do Staffa: „Wydają pismo gloryfikujące durnia Bora-Komorowskiego i zbója Andersa".

Skuszony obiecywanym mu luksusem już w 1946 r. wrócił Tuwim do komunistycznej Polski, a jej władcy, wdzięczni za ich uwiarygodnienie, nosili go na rękach, spełniali każdą jego prośbę, choć tylko do czasu. Tuwim natychmiast więc zorganizował Staffowi wielką galę z okazji 70. urodzin i 50-lecia pracy twórczej, z udziałem samego Bieruta, przyznaniem Krzyża Komandorskiego Odrodzenia Polski i tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Staff jednak, co komentowano, nie wygłosił nawet krótkiego przemówienia, tylko podziękował za zaszczyty. Nie zależało mu na „blachach" i tytułach. Ucieszyła go tylko przyznana mu wreszcie emerytura, zasmucił brak przydziału mieszkania w Warszawie, na co liczył. Ciągle go jednak dla starego Staffa – księcia poetów – nie było, mimo że Tuwim naciskał, prosił, zawstydzał władze i Związek Literatów.

W odbudowywanej Warszawie to właśnie pisarze, zwłaszcza ci po linii, dostawali najlepsze mieszkania – na Starówce np. „pryszczaci", Grzegorz Lasota, Andrzej Braun, Bogdan Hamera; na WSM porucznica Czajka; na MDM Kazimierz Koźniewski; w alei Róż – Adam Ważyk; w Domu Literatury Nałkowska i Breza. Władze zwodziły jednak Staffa, obiecując mu willę, którą nagrodziły Broniewskiego i Tuwima, ale to trwało, przeciągało się. Z puli premiera Cyrankiewicza przyznały mu więc tymczasowe trzypokojowe mieszkanie na rogu Nowego Światu i Ordynackiej, na wysokim drugim piętrze, bez windy... Tuwim mieszkał jeszcze wtedy na Nowym Świecie, popijali więc w Kuchciku wódeczkę, bo Staff lubił sobie golnąć. Lechoń wymienia go w swoim dzienniku wśród takich pijaków jak Gałczyński i Broniewski.

Wkrótce jednak zdrowie blisko 80-letniego Staffa gwałtownie się pogorszyło. Poruszał się z coraz większym trudem, prosił więc władze Związku Literatów o zamianę mieszkania na parter, ale bezskutecznie. O willi dla niego dawno zapomniano, a w 1954 r. zmarł niespodziewanie Tuwim i nie miał kto o Staffa walczyć. Postanowiono więc na koszt Związku postawić mu na półpiętrze ławeczkę, żeby mógł sobie staruszek odsapnąć i przestać wreszcie zawracać głowę. Niedługo się nią cieszył. Zmarł w lipcu 1957 r., kilka miesięcy po swojej ukochanej żonie. ©℗

eprasa.pl 831690520a

TRANS

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Facet, który przebiera się za kobietę, jest po prostu świrem i nie ma co się bawić w inne określenia; tym bardziej w określenia „afirmujące". Afirmacja? Ktoś zwariował, a my mamy razem z nim grać w tę grę TRANS, grzecznie kiwać głową i mówić do mężczyzny „Proszę pani"?

W taką stronę to poszło, ale wreszcie odbiło się od ściany i mamy trend przeciwny. Przynajmniej w USA. Ludziom się przejadło granie ze świrami w ich grę. Ktoś uważa, że jest Napoleonem, jego sprawa. Ale ja uważam, że nie jest Napoleonem, i dlatego nie będę mówić do świra Wasza Cesarska Wysokość.

***

Obecnie w USA miliony osób identyfikują się jako trans. Kliniki do zmiany płci nawet u DZIECI rosną jak grzyby po deszczu. Rodzice przynoszą maluchy, twierdząc, że mają córkę „uwięzioną w ciele syna, bo córka bawi się samochodzikami". Te dzieci poddawane są okaleczaniu – amputacji genitaliów, chemicznej kastracji… To wszystko jest legalne w wielu stanach, bo nie zostało zakazane.

Jeśli jeden z rodziców nie zgadza się na zmianę płci swego dziecka, to przegrywa w sądzie ZA KAŻDYM RAZEM. W Kanadzie jeden ojciec siedzi w więzieniu za to, że odmówił mówienia o córce per „syn". Nazwanie dziewczynki, która chce być chłopcem, dziewczynką jest w Kanadzie przestępstwem, takim jak pobicie dziecka. Podobne przepisy wprowadził stan Waszyngton: jeśli jeden rodzic chce zmienić płeć dziecka, a drugi rodzic nie, to ten, który nie chce, traci prawa rodzicielskie. Joe Biden wydał deklarację, w której potępił stany takie jak Tennessee i Teksas, które wprowadziły zakaz okaleczania dzieci. Biden popiera operacje na dzieciach na życzenie jednego z rodziców lub na życzenie zbuntowanego nastolatka, który się naoglądał TikToka, i wtedy to się odbywa BEZ ZGODY RODZICÓW. Czyli jest okropnie, ale Ameryka właśnie odbiła się od ściany.

***

Pierwsze odbicie było instynktowne. Najbardziej popularne piwo Bud Light zrobiło kampanię reklamową z udziałem faceta trans. Ameryka zareagowała z hukiem – przestali kupować to piwo. Korporacja podkuliła ogon, usunęła reklamy, wprowadziła inne, normalne, ale do dzisiaj nie są w stanie odrobić strat i odbudować rynku. Ich piwo kojarzy się z niesmakiem.

Target był drugi. Wystawili kolekcję zboczonych ubranek dla dzieci. Reakcja klientów była niezorganizowana, ale MOCNA, gwałtowna. Target musiał wzmocnić ochronę, przesunąć te ubrania na tył sklepu, zmniejszyć kolekcję do jednej trzeciej, a w końcu usunąć – wszystko pod naporem klientów. Straty dla korporacji: 15 mld dol.

Kolejną firmą, która dostała od swoich klientów po łapach, była sieć Kohl's – wystawili kolekcję tęczowych śpioszków trans. Rozwścieczyli zwyczajne matki. Teraz kojarzą się ze słowem OBRZYDLIWE. A potem Ameryka obejrzała jeden film dokumentalny na temat tego, czym jest trans.

***

Film „What Is a Woman?" zrobił furorę – pokazuje prosto prawdę na temat ideologii trans i przemysłu okaleczania dzieci. Twórcy filmu opublikowali go na Twitterze. Twitter zablokował film jako obraźliwy, nie dało się go udostępniać, był niewidoczny w wyszukiwarce itp. Ludzie zaczęli go przeklejać i kopiować, a twórcy filmu zwrócili się do Elona Muska z pytaniem, dlaczego film jest tłumiony. Musk początkowo odpowiedział, że film jest wrażliwy, że reklamodawcy takich nie chcą, a potem go obejrzał. Gdy już obejrzał, sam go udostępnił na swoim koncie z dopiskiem „KAŻDY RODZIC POWINIEN TO ZOBACZYĆ".

Film w dwa dni uzyskał 170 mln obejrzeń na oryginalnym poście plus niezliczone obejrzenia na wszystkich przeklejonych kopiach. Pytanie WHAT IS A WOMAN? (co to jest kobieta?) działa jak egzorcyzm. Nikt z opętanych dżenderyzmem nie potrafi na nie odpowiedzieć. Autor filmu, Matt Walsh, zadaje to pytanie różnym „ekspertom" od dżenderu, a oni go wywalają z wywiadów. Jest grzeczny, potulny, słucha i zadaje podstawowe pytania o to, czym jest kobieta. Skoro sobie mogę wybrać i zmienić płeć na kobietę, to czym jest kobieta?

***

Okaleczanie ludzi z kłamliwą obietnicą, że to im zmieni płeć na inną, jest złem. Ktoś ma kłopoty z głową, a my mu pomagamy mieć jeszcze większe. Ma chorą GŁOWĘ, a medycyna zamiast psychiatry proponuje chirurga, który obetnie ptaszka i dorobi cycki. Okaleczony facet kobietą nie będzie nigdy i tyle. Nie ma więcej płci, tylko dwie. I nie można sobie płci wybrać. A jeżeli jakaś organizacja świrów zaczyna od reszty społeczeństwa wymagać, by społeczeństwo stosowało inne zaimki niż ON lub ONA oraz inny podział toalet niż podział na męskie i damskie, to społeczeństwo ma prawo stanowczo odmówić. Uważasz, człowieku, że jesteś innej płci niż te dwie, które zawsze były, twoja sprawa, ale gdy ci wystawiamy dowód osobisty lub gdy idziesz do lekarza, lub do kibla, to albo masz ptaszka, albo nie masz. To tak jak z zasadami ruchu drogowego: prywatnie możesz sobie uważać, że jazda środkiem jezdni jest lepsza, ale w stosunkach z resztą społeczeństwa masz jechać prawą stroną. Koniec rozmowy.

***

Matt Walsh walczy ze zjawiskiem trans od dawna. Był atakowany, przepędzany, zagłuszany, wyśmiewany, wyzywany, ale nic to w porównaniu z przykładami z przeszłości. Święty Karol został zamęczony na śmierć 3 czerwca roku 1886. Za co? Postawił się zboczonemu królowi. Król lubił różne rzeczy, które dzisiaj mieszczą się pod tęczową flagą. Karol stanął w obronie moralności publicznej oraz w obronie gromady chłopaków i młodych mężczyzn. Król kazał Karola palić po kawałku. Najpierw wsadzili mu stopy w ognisko. Gdy spłonęły na popiół i rozsypały się, król zapytał Karola, czy teraz wyrzeknie się wiary i tej swojej moralności. Karol odmówił. Król kazał go palić dalej, kawałek po kawałku, aż doszedł do serca. Taką cenę płaciło się za sprzeciw wobec zboczeńców w roku 1886. ©℗

eprasa.pl 831690520a

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

PAKIET KSIĄŻEK

KS. R. SKRZYPCZAK, P. CHMIELEWSKI: „OGIEŃ W KOŚCIELE", BP J. E. STRICKLAND: „ŚWIATŁO I ZACZYN" ORAZ KARD. W. J. EIJK, A. GALLI: „BÓG ŻYJE W HOLANDII"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~537 ZŁ~~

219,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 318 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 831690520a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

WÓDKA I INNE PATOLOGIE CZERWONEGO IMPERIUM

Jak system komunistyczny zniszczył rosyjskie społeczeństwo

Produkt strategiczny z procentami – Stalin budował potęgę ZSRS m.in. dzięki alkoholowi

Konanie Zygmunta Augusta – Czy król Polski rzeczywiście umierał „otoczony tylko złowrogiemi sokołami"?

Bicz Boży z Florencji – Savonarola zawładnął sercami i umysłami mieszkańców miasta i za pomocą bezwzględnych metod zaczął wprowadzać moralną rewolucję

Największe zwycięstwo Ukraińców – W Konotopie stoi pomnik, na którym trzy szable – ukraińska, tatarska i polska – przybijają do ziemi szablę moskiewską

Oberszpicel i sutenerzy – Istnieją przesłanki, że niezwykle brutalny pogrom warszawskich domów publicznych był prowokacją rosyjskich władz

Cesarscy lokaje Hitlera – Następca tronu Wilhelm Hohenzollern i jego młodszy brat August Wilhelm dali się owinąć nazistom wokół palca

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 831690520a